

MARIA MIKORSKA

DERWISZE
NA ASFALCIE

OD ELBURCU DO PERSEPOLIS

WYDAWCA

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ” SP. Z O. O.

WARSZAWA, KREDYTOWA 1

Copyright by Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, sp. z o. o.
Warsaw 1939

Printed in Poland
Zakłady Graficzne „FENIKS”, Warszawa

1. JADĘ DO PERSJI!

Jadę do Persji. Tak, właśnie jadę do Persji. Kiedy wpadłam na ten znakomity pomysł, nie miałam nic więcej, oprócz tegoż właśnie znakomitego pomysłu, uporu i wrodzonej bezczelności. Widocznie jednak zalety te są wystarczające, skoro projekt — stał się faktem.

Ale do ostatniej chwili nie mogłam w to uwierzyć. Jeszcze, gdy upychając nerwowo i rozpaczliwie rzeczy w walizkach, nuciłam wzorem Nowakowskiego, na melodię z „Pięknej Heleny“: „Mam trzy grubsze kawałki, grubsze kawałki, grubsze kawałki“, jeszcze i wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że jednak — wyruszam.

I prawdopodobnie dlatego wpadłam z rozwianym włosom na peron, zaledwie pięć minut przed odjazdem pociągu.

W pośpiechu zgubił się uroczysty moment pożegnania. Trzask zamykanych drzwiczek, jakieś okrzyki... i zahuczały nad głową wiązania warszawskiego tunelu. Z wrażenia aż siadłam na wąskim sleepingowym łóżku.

„Jadę do Azji, naprawdę jadę do Azji!!“

* *

*

2. W „INTERNACJONALNYM WAGONIE“

Leżąc w rosyjskim wagonie, przebiegam myślą minione cierpienia.

Pojęcie długości i trudności podróży jest dość względne. Widziałam człowieka, który z wybrzeży zatoki Perskiej udał się do Bostonu — na jeden dzień...

Tym niemniej dla przeciętnego Polaka wyprawa do Persji — to wyczyn.

Zwłaszcza, jeżeli rusza w drogę samotna, młoda — no i last non laest — nie najbrzydsza kobieta. I jeśli owa kobieta w chwili formułowania tego znakomitego projektu nie posiada ani grosza.

Zacząło się zatem od poszukiwania kapitałów.

Potem przyszło staranie o paszport. Nie mogę powiedzieć: doznałam wiele uprzejmości i pomocy, starannie przeplatanej życzliwymi informacjami... „pani nie wie co robi, przecież to dzicz! — ...pluskwy chodzą wszędzie, nawet po ulicy (!)...“ „Iran ma 2000 lat zaległości cywilizacyjnych, tego się nie nadrabia“ „...choroby weneryczne i wszelkie paskudztwa panują powszechnie etc .etc.“

Do tego dodawano jeszcze „ostrzeżenia tranzytowe“ „...przez Sowiety? sama? a czy wie pani, że tam nie ma nawet osobnych sleepingów dla mężczyzn i kobiet? ...jakto? chce pani wziąć nóż fiński? — ależ grozi to pani w Rosji aresztem...“

Dobił mnie zaś sekretarz obcej ambasady, dając mój bilet wizytowy i obiecując pomoc, przez swoje stosunki dyplomatyczne, jeśli utknę w Z. S. R. R.

A jednak przetrwałam. Przetrwałam nawet o wiele więcej, bo i trudności w komisji dewizowej i trudności w otrzymaniu tranzytowej wizy sowieckiej (do czego prócz zapalcenia 55 zł dostarczyć trzeba było jeszcze przeróżnych protekcji oraz zaświadczeń: że po rosyjsku nie umiem ani w ząb, że nie mam w Rosji nikogo, że zatrzymywać się nie będę i że nie urodziłam się na ziemiach dziś do Z. S. R. R. należących.

Przetrwałam nawet cios, gdy dwa dni przed wyjazdem, władze ojczyste, zafrapowane moim tajemniczym i niezrozumiałym (!) przejazdem przez Rosję, oświadczyły, że muszą się jeszcze nad wydaniem mi paszportu namyśleć i że potrwa to trzy tygodnie! A bilet (600 zł!) zapłacony, zaś zmiana daty przedstawia ogromne trudności.

Z rozwianym włosem i nieprzytomnymi oczyma, biegałam, prosiłam, rozpaczałam — jednym słowem poruszyłam niebo i ziemię (niebo oznacza w tym wypadku wysoko postawione osoby, ziemia — uprzejmą sekretarkę starostwa).

I paszport był „Zjawił się“, w ostatniej minucie, ale się jednak „zjawił“.

I dzięki temu leżę teraz w wagonie rosyjskim i rozmyślam.

Uspokoiliam się znacznie. Miałam bowiem — co tu owijać w bawełnę — potężnego stracha!

Muszę zaznaczyć od razu: słysząc o moich podróżach, wyprawach etc. można by przypuszczać, że się nie boję. To fałsz — boję się potężnie. Tylko jestem typowym człowiekiem odważnym: bojąc się postępuję tak, jakbym się nie bała.

A zatem leżąc teraz na szerokiej i miękkiej ławce (w rosyjskich dalekobieżnych wagonach, tak w klasie: I i II jak i III, każdy ma miejsce leżące) rozważam przebytą dopiero co rewizję.

Nóż fiński skonfiskowali, owszem, ale nie było przy tym większych trudności. Przejrzeli również wszystkie książki i pisma, zaś najbardziej zastanowiły ich grapfruty. Do nich nawet wezwano specjalną doktorkę, która zresztą orzekła, że 6 sztuk owoców nie grozi higienie Z. S. R. R.

Były też trudności z watą. Pytali do czego?

„Do mycia twarzy wodą kolońską“.

Nieufne spojrzenie i — niezmiernie zresztą uprzejmy — towarzysz, począł kawałek po kawałeczku i kłaczek po kłaczku rozszarpywać biały kłębek. Nie znalazł zresztą nic, ani dynamitu, ani nawet nitrogliceryny.

Innych rzeczy nie ruszono. Bardzo dziwna rewizja! Radzono mi zresztą zaplombowanie kuferków; podróżny jadący przez Rosję tranzytem, unika w ten sposób komory celnej wjazdowej i wyjazdowej. Zgodziłam się, oświadczając, że muszę zatrzymać neseser.

„A po co?”

„Jakże, towarzyszu! Książki, papiery, rzeczy osobiste, toaletowe, do mycia!”

„Jakie tam mycie, towarzyszko! Jedziecie raptem trzy dni!”

Ale jestem uparta. Nie ustąpiłam i neseser pozostał otwarty.

Huczy i szczęka pociąg, kołyszą się wagony. Za oknami bezkresne, szerokie równiny.

Nie znałam oczywiście dawnych Kresów ani Rosji, wiem jednak, że jedziemy przez najurodzajniejsze prowincje wielkiego państwa, a zachwaszczone pola, nędzna uprawa, rzucają się w oczy nawet turysty przemykającego kurierem.

Moje wrażenia z Z. S. R. R. są zresztą, z konieczności, niezmiernie powierzchowne i nikłe.

Zafrapowały mnie dwie rzeczy; po pierwsze: tłumy, po prostu tłumy podróżujących chłopów. Początkowo myślałam, że gra w tym rolę i słynna rosyjska żyłka do włóczęgi, lecz na stacji w Kijowie wmieszawszy się w tłum, wdałam się w rozmowę z jakąś grubą babiną w długich butach i białej chusteczce. Dzięki bliskości

języka ukraińskiego i polskiego, mogłam się z nią dogadać.

Po co przyjeżdża ze wsi? „Po chleb, barysznia“ odpowiada, ukazując w koszyczku ciemny bochenek. „I ona i sąsiedzi i ludzie z innych miejscowości“

Przyjeżdżają ze wsi do miasta po chleb! Zdumiałam się niezmiernie, lecz informacje potwierdzili inni zagadnięci tak w Kijowie, jak na innych stacjach.

Muszę bowiem zaznaczyć, że wszyscy, z kim się przypadkowo zetknęłam na terenie Sowietów, byli dla „inturistki“ uprzedzająco grzeczni.

I prowadząca „internacjonalnyj wagon“ dama z „Inturista“ i urzędnicy kolejowi i służba w restauracyjnym wagonie i spotkania w pociągu czy na stacjach komsomolcy i komsomolki, wyglądający jak z propagandowych sowieckich afiszów.

Bo drugą rzeczą jaka od razu uderza turystę, to „kolekcja twarzy“. Skąd oni biorą tak bajecznie dobrany i zrównany „asortyment bandyckich mord“!? (przepraszam, ale nie ma na to innego wyrażenia). Bo zniszczone, spłowiałe i na ogół niesłychanie marne, choć raczej porządnie utrzymane ubrania, to inna sprawa, ale czy chodzę po stacyjnym peronie (stoi się tu często 30 i 60 minut), czy siedzę w restauracji, czy spaceruję wzdłuż korytarzy i przedziałów, wszędzie te same, po prostu podejrżane, ponure i groźne, mimo uprzejmego uśmiechu fizjonomie. Obojętne czy jest to służba, czy

— bardzo zresztą miła — sowiecka doktorka, czy inteligentny inżynier. Straszliwa gęba pozostaje ta sama.

Imponuje mi to — co za zrównany poziom!

Pociąg pędzi i huczy: zniknął Kijów, pozostał w tyle Charków, sinieją już na południu pasy morza Azowskiego.

Znów noc, rozdygotana ruchem wagonu, znów dzień przedyskutowany w towarzystwie sowieckiej lekarki, wracającej z Europy Persjanki i Francuzeczki, żony sowieckiego dygnitarza na Kaukazie.

Pierwsza punkt po punkcie udowadnia mi, że komunizm to zbawienie świata.

Przy tym oczy patrzą twardo, a krótka czupryna jeży się wojowniczo, zupełnie jak na propagandowym plakacie.

Druga — nie tylko słowem, ale i pięknie maquillowaną twarzą i powolną omdlałością ruchów szczupłego ciała, przekonywa mnie, że jeżeli istnieje coś naprawdę interesującego w życiu, to miłość, erotyzm, wrażenia. A walka, praca? po co? — chyba o mężczyznę, inaczey... Wąskie, pielęgnowanie dłonie czynią nieokreślony ruch, a pyszne podłużne oczy patrzą marząco na migające między telegraficznymi drutami niebo.

„Faut savoir s'adapter“ — wygłasza swe życiowe credo Francuzka i śpiesznie wraca do interesującego tematu, jak znakomicie udało jej się przewieźć z Paryża całą kolekcję sukien, materiałów, pasków etc.

„Baku! Baku! Baku!“

Z trzaskiem rozsuwa towarzysząca-konduktorka drzwi przedziału.

Zrywam się pośpiesznie. Na zaróżowionym przez zachód niebie ostro rysują się niezliczone naftowe wieże wiertnicze.

Pustynia. Żółta, spalona słońcem gleba, dalekie zarysy gór i spienione fale Kaspijskiego morza.

Jutro będę w Iranie.

3. KRAJ W PEŁNYM ROZWOJU

Ogromny rozwój kraju, jaki tu, w Persji obserwować można w ciągu ostatnich lat dziesięciu, zawdzięcza Iran niezaprzeczenie żelaznej woli jednego człowieka, Szacha Reza Pahlevi.

Bezsprzecznie zaś — cokolwiek europejczycy, czy to w założeniu, czy w metodach zarzuciłby mogli — zrobiono olbrzymi krok naprzód.

Do 1923 r. całą siłę zbrojną Persji (poza nieliczną żandarmerią) stanowiła t. zw. „brygada kozacka“ w składzie do 2000 ludzi. Szeregowi oraz podoficerowie byli to przeważnie Persowie, z małą domieszką kozaków, korpus oficerski natomiast składał się wyłącznie z Rosjan.

Pierwszym celem nowego władcy, było stworzenie własnej siły militarnej. Po dziesięciu latach pracy doprowadził on stan armii do 100000 żołnierza, dobrze wyćwiczonego i umundurowanego, aczkolwiek braki w uzbrojeniu i wyposażeniu technicznym są podobno jeszcze dość znaczne.

Z innowacji obchodzą turystę oczywiście przede wszystkim szosy. I na tym odcinku rozwój jest ogromny.

Gdy w r. 1925 było szos w Persji 1400 klm obecnie jest ich 18 tysięcy. A zaznaczyć trzeba, że są one na ogół dobre i starannie utrzymywane.

Nie jest to zresztą zbyt trudne w kraju, gdzie deszcze zdarzają się zaledwie w ciągu trzech, czterech miesięcy w roku, gdzie nie ma wozów, gdzie kamienie drobne i spękane jak szuter, leżą wszędzie.

Sprawę utrudnia tylko brak wody, tak, że ilość potrzebną do budowy nawierzchni, przywozić nieraz trzeba kilkadziesiąt, lub sto kilkadziesiąt kilometrów.

Kwestia komunikacji wewnętrznej jest oczywiście dla państwa sprawą pierwszorzędną doniosłości, również pierwszorzędną jest sprawa znalezienia nowych dróg penetracyjnych i eksportowych dla nowoczesnego Iranu.

Dlatego też w zawartym w lecie 1937 r. specjalnym układzie handlowym z Turcją (nad którym od roku blisko pracowała w Teheranie delegacja z Istambułu), jeden z punktów przewiduje udostępnienie dla eksportu i importu irańskiego drogi Trebizonda — Koi — Tarbiz — Teheran.

Jest to odwieczna, legendarna nieomal „droga jedwabiu“, droga, którą od niepamiętnych czasów ciągnęły karawany weneckich kupców, by później, minąwszy góry Elburcu, przebyć żyzne niziny Hirkanii i poprzez rozległe stepy zawrócić znów ku kolosalnym przełęczom Indu - Kucz i dalekim wyżynom „niebieskiego państwa“.

Kwestia udostępnienia i rozwoju komunikacji na drodze Trebizondzkiej specjalnie zainteresować może eksport polski. Jak dotąd bowiem, drogi penetracyjne dla naszych towarów były trzy: 1. Przez porty zatoki Perskiej, 2. Przez Bagdad — Khanikin, 3. Przez Rosję.

Pierwsza z nich posiada wadę olbrzymiej odległości oraz konieczności korzystania z usług linii okrętowych, mających stałe połączenia z Oceanem Indyjskim i zatoką Perską. Do tamtejszych portów bowiem: Bushir, Bander Szach Pur etc. nie zachodzą nawet polskie statki t. zw. „trampy“. To też towary nasze przesyłane są czasem z Londynu liniami angielskimi, najczęściej zaś z Hamburga i kalkulowane „cif“ ten właśnie port.

Poza tym porty południowe, nie posiadają jeszcze dostatecznie wielkich urządzeń i często wprost zawalone są towarami.

Druga droga Bagdad - Khanikin - Teheran, niezmiernie kosztowna (fracht lądowy — kamiony), dostępna jest tylko mniej więcej przez 8¹/₂ miesiąca, w zimie bowiem olbrzymie przełęcz zawałone są kolosalnymi masami śniegu, uniemożliwiającymi komunikację.

Ekspluatowanie drogi tranzytowej przez Rosję, utrudnionej nawet dla Niemiec i Czechosłowacji, posiadających odnośne traktaty handlowe, tym bardziej niepewne jest dla Polski. Za przykład służyć mogą owe szyny, które zakupione u nas przez szwedzkie towarzystwo, nadzorujące budowę trans-irańskiej linii kolejowej, przybyły do Batum. Nie zdołano jednak otrzymać

pozwolenia na wyładowanie i przewóz, wskutek czego musiano cały transport zawrócić i skierować „naokoło świata“, aż do portu Bander Szach Pur na południu.

Droga Teheran-Trabizonda, dziś już dość dobra, ma być jeszcze znacznie ulepszona, a właśnie obecnie rozpoczęto prace około zorganizowania na tej linii samochodowych towarzystw transportowych.

Ogromne przestrzenie Trebizonda — granica Perska i granica — Teheran, pokrywają dobre kamiony w ciągu 4 do 5 dni, t. j. w czasie mniej więcej takim samym, jakiego potrzeba na przebycie odległości z Bander Szach Pur do stolicy.

W okresie letnim, ze względu na wysokie swoje położenie, droga trebizondzka posiada tę wyższość, iż jest znacznie chłodniejsza, w zimie jednak bywa również zablokowana wielkimi zwałami śniegu.

W każdym razie rozwój tej linii komunikacyjnej może stać się szczęśliwym posunięciem i ułatwieniem dla naszego eksportu do Iranu.

Rząd irański wkłada duży wysiłek w rozbudowę szos. Nie dość jednak mieć drogi, trzeba jeszcze — oczywiście — móc po nich jeździć. A w tym celu należało zwalczyć straszną plagę bandytyzmu, do niedawna jeszcze bajecznie wprost w Persji rozpanoszonego.

Przed laty dziesięciu, o cztery godziny drogi od Teheranu, na najważniejszych ówczesnych arteriach komunikacyjnych grasowały bezkarnie potężne bandy zbójckie, rabując, wymuszając okupy etc, etc.

Istnieli szeikowie (Kuczik-han, Najet-Hossein), którzy nosząc wysoko rycerską godność łupieżcy, urządzali najzupełniej formalne posiedzenia trybunału, dla rozważenia i oznaczenia wysokości żądanej od pojmanego podróżnika sumy etc. etc. Jeżeli działo się to w prowincjach najbliższych stolicy, to cóż mówić o odległym kraju Bahtiari, o Khorrasanie i dzikim Lurestanie.

Tak było jeszcze przed paru laty. Dziś, podkreślić to trzeba z naciskiem, panuje w Iranie zupełne bezpieczeństwo i to nie tylko w miastach, miasteczkach i wsiach, ale i na pustych, dalekich drogach.

To też ruch samochodowy wzmagą się szybko. Dziś ilość zarejestrowanych maszyn przekroczyła już cyfrę 30.000. Zwłaszcza liczba ciężarówek rośnie z dnia na dzień zważywszy, iż wszystkie prawie transporty odbywają się tu kamionami (karawany krążą tylko raczej na krótszych odcinkach, zaś kolosalna linia kolejowa trans-irańska nie jest jeszcze ukończona).

Transport automobilowy jest dość kosztowny, wynosi bowiem w przybliżeniu 15—20 gr od kilometratony, co przy nieodróżnicowanej taryfie i olbrzymich odległościach, stanowi ogromne obciążenie dla młodego irańskiego przemysłu.

Przemysł tutejszy powstał w ostatnich latach, a wobec wielkiej ilości surowców i bogactw naturalnych (nafta, miedź, węgiel, potas etc.), posiada przypuszczalnie znaczną przyszłość.

Dziś istnieje tu i rozwija się szybko przemysł baweł-



niany. Z kilkunastu warsztatów przed wojną rozrósł się on ostatnio do dość imponujących rozmiarów, obejmując kilka nowoczesnie urządzonych fabryk o około 150000 wrzecion.

Z większych zakładów należy wymienić fabrykę w Szachi, własność szacha, o 25 tys. wrzecion, świeżo wykończoną państwową przędzalnię i tkalnię w Aszrafie — 35 tys. wrzecion, fabrykę Kazerouni w Ispahanie, zakłady akcyjne w Ahfazie i t. d. Maszyny i urządzenia wewnętrzne tych fabryk zostały sprowadzone z Niemiec i z Anglii.

W r. 1932 rząd perski przystąpił do zorganizowania własnego przemysłu cukrowniczego, opartego na przeróbce buraka cukrowego.

Od tego czasu wybudowano za kapitały państwowe w trzech cyklach 7 nowoczesnie urządzonych cukrowni, o zdolności przetwórczej 300—500 ton buraków na dobę.

Według obliczeń perskiego departamentu przemysłu, produkcja tych cukrowni ma pokryć już w najbliższym czasie, całkowite zapotrzebowanie rynku wewnętrznego na cukier.

Z innych dziedzin przemysłu należy wspomnieć o zorganizowaniu przez państwo eksploatacji złoża węgla, o budowie w Czalus (nad morzem Kaspijskim) dużej, państwowej przetwórni jedwabiu naturalnego, jedynej, jak twierdzi dyrekcja, w swoim rodzaju w świecie, gdyż

skupia ona w jednej fabryce odkręcalnie, przędzalnie i tkalnie.

Zrobiono również pierwsze kroki w rozwoju własnego przemysłu chemicznego, ceramicznego i hotelarskiego oraz poważne — w dziedzinie przemysłu skórzanego.

Obecnie prowadzone są studia nad budową całego kompleksu przemysłu żelaznego, dla którego rozwoju Iran posiada doskonale warunki, pokłady węgla bowiem znajdują się w pobliżu bogatych złoża rudy żelaznej. Projekt budowy został już opracowany.

Czynione są również przygotowania do eksploatacji rud miedzi. Podobno koncesja na tę eksploatację była, między innymi, zaofiarowana naszej Se-Pe-We, z którą pertraktowano jakoby również o budowę fabryki maszek gazowych.

Wspomnieć jeszcze trzeba o rozwoju portów perskich. Nad morzem Kaspijskim wybudowany został zupełnie nowy i nowoczesnie urządzony port No-Szar, chluba Persji, łączący w najkrótszej linii Teheran z morzem.

Rozbudowywane są również dwa porty Bander-Szach i Szach-Pur, porty końcowe kolei transirańskiej.

Bowiem od lat kilku prowadzone są w Persji olbrzymie (jak na skalę tutejszą) roboty związane z budową owej drogi żelaznej. Trasa o długości około 1600 klm biegnie z północy od portu morza Kaspijskiego (Bander-Szach) poprzez Teheran do Szach-Pur nad Zatoką Perską.

Budowa jej napotyka na wielkie trudności terenowe, linia bowiem przecina liczne łańcuchy górskie, przechodząc na odcinku północnym przez przełęcze wznoszące się ponad 2200 n. p. m., co wymaga wielu mostów, wiaduktów i tuneli.

Na całej trasie zachodzi potrzeba przewiercenia ok. 60 klm tuneli. Odcinek północny, aż do Teheranu, jest już ukończony, południowy ma być gotowy w początki, 1939 r.

W roku ubiegłym Szach zapowiedział budowę nowej linii kolejowej ze wschodu na zachód, mającej na celu połączenie Teheranu z Tabryzem, ogólnej długości około 650 klm. Linia ta ma być wykończona w ciągu 3 lat i naturalnie budowa jej da nowe możliwości dla ekspansji europejskiej.

Dokąd bowiem większość stanowisk kierowniczych piastują przy wszystkich wymienionych powyżej pracach Europejczycy. Dążeniem sfer kierowniczych jest wykształcenie w możliwie krótkim czasie własnych kadr odpowiednich pracowników. Dlatego też, z poparciem i pomocą rządu, studiuje obecnie w Europie tysiąc kilkuset perskich studentów.

Do tych kilku obserwacji świadczących, jak duży krok naprzód uczynił Iran w ciągu ostatnich lat dziesięciu, dodać jeszcze należy fakt wielkiego rozwoju szkolnictwa (612 szkół w roku 22/23, 5340 w r. 34/35) oraz rzetelnych wysiłków w celu podniesienia, dziś jeszcze opłakanego, higienicznego stanu kraju.

Zrobiono istotnie wiele, mimo, iż zdaniem fachowców, zauważyć można pewne „nieskoordynowanie poczynań“. Np. cementownie poczęto budować wtedy, gdy największe zapotrzebowanie tego materiału do budowy kolei trans-irańskiej już minęło; po uruchomieniu cukrowni okazało się, iż produkcja buraków najzupełniej nie stoi na wysokości zadania; przyczyną była nieumiejętność uprawy. Rozmieszczenie cukrowni okazało się nie zawsze szczęśliwe, cukrownia w Szachi przeniesiona (!) być musi do innej prowincji, bowiem w Mazanderanie buraki rodzić się nie mogą etc. etc. Znać również to, co nazwać by można poniekąd „inwestycjami na efekt“. Ileż razy obok najprymitywniejszych i wymagających podstawowych innowacji lepiatek, widać wspaniałe, luksusowe, a bądź co bądź zbyt liczne budowle i t. d.

Przy tym, jak dotąd, znowu zdaniem fachowców, w kraju rolniczym jakim jest Persja — zbyt mały nacisk kładzie się na inwestycje rolnicze, na rozbudowę sieci irygacyjnej etc. etc.

Mimo to wszystko w ciągu ostatniego dziesięciolecia Iran posunął się tak bardzo na drodze cywilizacyjnej, iż bawiąc tu obecnie, trudno uwierzyć dawniejszym opisom tego kraju.

4. PRZEZ GILAN — NAJURODZAJNIEJSZĄ PROWINCJĘ IRANU

- Czterdzieści!
- Pięćdziesiąt!
- Czterdzieści!
- Ne — ne — naher!*)
- Pięćdziesiąt!

Targi o auto trwają już przeszło pięć godzin. Kapitan K. twierdzi, iż dla samej zasady nie wolno się dać naciągać.

Między nim a właścicielem maszyny biega czarny, rozkrzyczany Ormianin, łagodzi, namawia, uzgadnia.

Nareszcie! Nieoceniony oficer uzyskał jednak cenę 45 tomanów za przejazd do Teheranu (150 zł za około 400 klm), zrobił z szoferem umowę na piśmie — ruszamy jutro rano!

Znikły niskie brzegi Kaspijskiego morza, znikł port i długie molo, znikły drewniane domki; kręta szosa wpadła już w gęstwinę kwitnących granatów.

Szaro-srebrzyste w tumanach kurzu krzewy, osypane

*) Nie.

purpurowym kwiatem, ustępują z kolei miejsca splątanim zaroślom, gąszczom, kaskadom i zwałom zieloności.

Jakieś niskie krzaki, jakieś drzewa o krótkich gałęziach, jakieś skręcone, podobne do naszej wierzby, pnie, jakieś małe roślinki, przypominające miniatury bambusów — a między nimi, nad nimi, wśród nich, pnącze, bluszcze, powoje, zielone sznury i łańcuchy liści, splątane, skręcone, dławiące.

Gilan to jedna z najurodzajniejszych prowincji Iranu.

Dzięki obfitym opadom i gorącemu klimatowi, sadić i uprawiać tu można niezliczone rodzaje roślin: ryż i herbatę, juttę i tytoń, pomarańcze, pszenicę i jęczmień. Wielka ilość dziko rosnących drzew morwowych pozwala na hodowlę jedwabników, a wyrabiane ręcznie przez wieśniaków tkaniny, poszukiwane są w całej Persji i eksportowane za granicę.

Zielone ściany prawie tropikalnego gąszczu kryją ogromne bogactwa znakomitego drzewa, budulcowego i stolarskiego, a między innymi t. zw. „drzewo bukszpanowe“. To też lasy te są ostro chronione przez rząd. Właściciel, pragnący zrąbać pewien odcinek, musi przedstawić odnośnym władzom wielkość terenu, ilość pni i zobowiązać się w miejsce każdego wyciętego drzewa zasadzić dwa inne.

Ukryte w zieleni pomarańcz, morw, fig, ukazują się od czasu do czasu domki wieniaków.

Lepione z gliny, o dachu z ryżowej słomy, nie posiadają wcale okien, a jedynie kilka umieszczonych obok siebie drzwi, tak wielkich, że budynek zdaje się mieć trzy tylko ściany. Na szerokich, wspartych o drewniane słupy podcieniach stoją wysokie (1 mtr do 1.20 m) tapczany z desek, na których w południe i wieczór chłopi śpią, jedzą, wypoczywają.

Każdy z wieśniaków dzierżawi tu około 3 do 6-ciu ha (często na zasadzie oddawania właścicielowi $\frac{1}{3}$ części zbiorów). Ziemia bowiem, tak w Gilhanie jak zresztą i w innych prowincjach Iranu, należy przeważnie do wielkich posiadaczy, mających od 11 do 25 tysięcy ha. Z reguły mieszkają oni w Teheranie lub innych miastach i nie gospodarują sami.

Ciekawą właściwością tutejszego ustroju rolnego jest, że nie pobiera się żadnych podatków od posiadanej ziemi, a jedynie 3% od produktów rolnych przeznaczonych na sprzedaż, t. j. tych, które właściciel lub handlarz wywozi do miasta.

Po obu stronach szosy, w węższych i szerszych kanałach, płynie mętna, żółta woda — bogactwo Gilanu. Między zielonymi ścianami lasu, raz po raz, ukazują się równiutkie, oddzielone grobelkami pola ryżu.

Czarne, niskie a garbate jak zebu woły, o wielkich rogach, prymitywną sochą odwalają kawały czarnego, urodzajnego błota, a ciemnookie i ciemnowłose kobiety, cierpliwie brodząc w wodzie, flancują starannie wątle roślinki.

W tej chwili zdumiewa mnie jeszcze i zachwyca wszystko: i szmaragdowa, soczysta zieloność i przepyszne światło i spokojne, z godnością ciągnące środkiem szosy karawany osiołków i ponuro ku nam spoglądający jeźdźcy na mułach i chłopci dźwigający ciężary oryginalnym, używanym tylko w Gilanie sposobem: zawieszane na dwóch końcach sprężystego, przełożonego przez ramię drążka. Ów drążek rozhybotany ruchem człowieka, zgina się i rozgina, tworzy łuk, to znów opiera silnie o bark mężczyzny, który dostosowując krok do tego rytmu, stosunkowo mało odczuwa wagę swego bagażu.

Co za upał! Gęste tumany kurzu, raz po raz przesłaniają widok.

Uległ on już radykalnej zmianie. Minęliśmy słynne ze swych tkanin i haftów miasto Reszt, znikły gęste zarośla i ciemne lasy — zbliżamy się ku wyniosłym szczytom Elburcu.

Setki i setki serpentyn, załamań, łuków, prowadzi naszą szosę nieustannie ku górze. Olbrzymie, groźne, nagie wznoszą się przed nami kamienne zbocza.

Skały żółte, brunatne, rude, brązowe, pocięte smugami minerałów, pasami bieli, kobaltu, czerwieni, czernią rozpadlin i rzadkimi płatami srebra kolczastych traw. Skały surowe, wrogie, wznoszące się prawie równymi, pozbawionymi szczytów i przełęczami, podobnymi do gigantycznych murów, łańcuchami. Skały urwiste i łagodne, lite i skruszałe, ale skały, skały i skały.

Nawet na pasmach gliniastej ziemi leżą osypiska kamieni, nawet kurz zdaje się być „odłamkami gładów“.

Wciąż nowe, a wciąż jednakie łańcuchy wyłaniają się przed nami, zastępują drogę, to znów uciekają daleko na boki, rozszerzając niespodziewanie dolinę Se-fid-Rud, po której zboczach biegnie nasza droga.

Mienia się w oczach wszystkie odcienie, barwy złotej, żółtej, brązowej, barwy będącej podstawą i treścią tego stonowanego krajobrazu.

Kolosalne masywy przygniatają ogromem, a zdają się przy tym zmęczone, stare, odwieczne w jednostajności swych gigantycznych, a łagodnych zarysów.

Groźną, obojętną wyniosłość posiada ten surowy, obcy krajobraz. Wspaniałe, jarzące słońce na blade niebieskim niebie, nie zmienia, nie ożywia jego smutnej, dalekiej martwoty.

Przeraźliwy pisk hamulców wyrywa mnie z zadumy.

W ostatniej chwili nasz rozpędzony szofer uniknął zderzenia z kolosalną ciężarówką, gnającą również „na złamanie karku“ między skałami.

Oho! niedobrze! Słyszałam już o niej, a teraz na własnej skórze odczuwam „azjatycką jazdę“.

Szoferzy tutejsi, zdolni, przytomni, o rękę pewnym i dużej wytrwałości, nie mogą się powstrzymać, po prostu nie potarfią sobie odmówić, przyjemności jeżdżenia z maksymalną, w danych warunkach, szybkością.

Jest to „pasja ryzyka“ — nie pośpiech, potrafią bo-

wiem przystanąć w przydrożnym gave-hane i gadać godzinami, by wyruszywszy, znów pędzić „na łeb na szyję“, nie dbając o żałosne: „jawsz! jawsz!“ „ferenghich“!

Licho wie dlaczego nasz Hassan gazuje teraz 80—90 klm. na godzinę!

Zapewne — mahometański fatalizm, ale ja nie mam tych przekonań i włosy jeżą mi się ze strachu a ręka kurczowo ściska oparcie. Zakręt na lewo! — na prawo! — Serpentina! — motor jęczy. — Uff! troszkę zwolnił! Oby jak najdłużej. Oj!... szosa przed nami wali w dół, załamując się w zakosy, niespodziewane skręty i groźne łuki!

Przymykam oczy — słyszę tylko syk motoru i czuję łagodny wstrząs, gdy maszyna wdzierać się poczyną pod górę.

Dlaczegoż ten poganin nie daje żadnych sygnałów, kiedy co kilkadziesiąt metrów wielkie skały zamykają widok całkowicie??

Przecież...

Nie dokończyłam myśli... W ułamku sekundy dojrzałam parę metrów przed nami w ciasnej gardzieli ogromną, rozpędzoną ciężarówkę!!

Trzask! — huk! szcęk! Przerażliwy ból w głowie — i otrzeźwiałam, leżąc na boku drogi z twarzą zalaną krwią.

Usiłuję usiąść — ?... W porządku, właściwie nic mnie

nie boli. Wstać — ? — owszem, owszem, tylko nogi mam jak z waty.

Oparta o skałę, nieprzytomnymi oczyma rozglądam się wokół.

Przy rozbitej i przygniecionej do skały maszynie stoi nasz szofer, uwalany krwią i kurzem i z pasją wygraża istotnie winnemu kierowcy kamiona. W prędcie prywatna bójka stała się publicznym wiecem. Na zatarasowanej drodze zebrał się cały szereg ciężarówek, szoferzy, mechanicy, tragarze kłóćą się, wrzeszczą i godzą.

Praży niemiłosiernie rozjarzone słońce, w promieniu X kilometrów nie ma kropli wody — rozcięta głowa piecze — czekamy na rozstrzygnięcie sporu. Położenie nie należy do najmiłszych. 150 km w jedną stronę, a 250 w drugą dzieli nas od najbliższego „środka komunikacji“. Jeśli nas kamiony nie wyciągną z opresji — „poczekamy“ ładnych parę godzin na tej słynnej „drodze 2000 zakrętów!“*)

Jednak jeżeli gdzie — to w Iranie podróżować należy w towarzystwie oficera. Prestige wojska jest tu dziś większy niż w jakimkolwiek kraju. To też wystarczyło kilka chrapliwych słów naszego kapitana i oto już siedzę wtłoczona między dwóch czarnych, usmolonych szoferów.

Co to za rozkoszne odprężenie nerwowe. Suniemy

*) Nazwa nadawana drodze Pablevi — Kazwin.

niczym legendarny żółw — najwyżej 10 km na godzinę. Na karkołomnych zakrętach nieprawdopodobnie wyładowana ciężarówka trzeszczy, szczęka, chybcze się, ale posuwa naprzód wytrwale i pewnie. Monotonie drogi przerywa wyjeżdżająca nagle z pomiędzy skał, barwna karawana. Świetne konie, pasiaste makaty, oryginalne zawoje, przepyszne, groźnie patrzące czarne oczy.

„Kurdowie“!

Bitne, dzielne i rozbójnicze plemiona Kurdów (znajdujące się częściowo pod władzą sowietów, częściowo Turcji, częściowo Iranu) jak i innych Nomadów, rząd ostro i bezwzględnie zmusza do stałego osiedlania się, do pracy na roli — to też do rzadkich wyjątków należy dziś takie spotkanie. Już znikli. W tumanach kurzu wylania się cel naszej drogi — Rud Bar.

Nocleg w małej azjatyckiej wiosce. Dobry początek.

5. WIOSKA W OLIWNYM GAJU

Wśród pogiętych oliwnych drzew, czai się groźny, tajemniczy mrok. Na granatowym niebie mrugają miliardy gwiazd, nisko w dolinie szeleści rzeka Sefid-Rud, szumi po kamieniach srebrzysty strumyk, a nad wszystkim góruje rytmiczny skrzek żab.

Ogłuszający koncert. Stoję niepewna na ubitej ścieżce. Nisko nad szosą migają światełka latarni w glinianych, o płaskich dachach, domkach Rud-Bar.

Boję się iść dalej. Nie wiem, co kryć się może nocą w lasach „nieznanego kontynentu“ — lepiej zaczekać do rana.

Lecz ranek w Rud-Bar dostarczył mi zbyt wielu wrażeń, bym znaleźć miała czas na poetyczne wycieczki.

Pierwszy widziany mułta w czarnym turbanie i w białej „abaa“, pierwsze kobiety, noszące wodę z rzeki na głowie, w smukłych glinianych dzbanach, i pierwsze „mahometańskie ablucje“.

Nad strumieniem w „narodowej“ pozycji przykucnął rząd mężczyzn i wedle nakazów Koranu myją twarz, uszy, szyję, zęby, ręce i nogi.

Mądre były myśli proroka, lecz wyznawcy jego są

wyraźnie jeszcze mądrzejsi, tak świetnie bowiem potrafią „wykręcić się sianem z opresji“. Np. należy umyć nogi — oczywiście! A więc umaczawszy trzy palce w strumieniu i strzepnąwszy je potem starannie, przeciągają nimi szybko i lekko po podbiciu stopy. Nakazom Mahometa stało się zadość.

Nie każdy jednak z przepisów bywa równie niewinny w skutkach. Mahometaninowi w pewnych, wysoce osobistych, okolicznościach życia nie wolno używać żadnych europejskich, higienicznych etc., a jedynie wody bieżącej. Tu na wsi, by uniknąć kłopotu, idzie się nad strumień. — Tuż! ot, na nadwodne kamienie.

Niestety! studni w górach nie ma i ta sama woda służy mieszkańcom do picia. Można sobie wyobrazić łatwość z jaką szerzą się epidemie tyfusu, dezynterii etc.

To też pierwszym nakazem dla świeżo przybyłego do Iranu Europejczyka jest: „do picia, płókania ust, używać wyłącznie wody mineralnej, herbaty, wina i t. p.“

Moje rozmyślanie nad higieną, tak zwanych w Persji „arabskich brzegów“ przerywa sygnał samochodu. Przybyła wezwana dla nas przez wojskowe posterunki maszyna.

Ruszamy do Teheranu.

Znów wspaniała karkołomna droga, znów groźne skaliste zbocza, znów serpentyny, zakosy, wiraże.

Mijamy zrujnowane karawanseraje, których ilość świadczy o wielkiej liczbie przechodzących tu ongiś karawan, i przez cudowne pachnące gaje pistacjowe

i wspaniałe winnice (ta część Iranu słynie ze znakomych winogron, których jest w Persji 73 gatunki), zbliżamy się do Kazwinu, sławnego wspaniałym meczetem i mozaikowymi bramami miasta.

Jesteśmy już w rozległej, pustej, zasypanej głazami równinie. Daleko, na horyzoncie, piętrzą się łańcuchy górskie, o szczytach oznaczonych smugami wiecznych śniegów.

Wzmógł się ruch na niezwykle teraz szerokiej drodze. Poważnie kiwające głowami, ciągną karawany osiołków, jadą na mułach jeźdźcy, mijają nas w pędzie limuzyny.

Nagle ukazuje się na pięknym białym osle, o nogach ufarbowanych henną na rudo, tęgi, ciemnolicy mężczyzna. Spiczasta stercząca czapka, barwny długi „chałat“, białe pantofle i wielka, na czerwono ufarbowana broda. Postać tak obca i „wschodnia“, że aż nierealna! Do niezwykłych już bowiem zaliczyć ją tu można rzadkości. Z rozkazu Szacha, ludność przyjęła, zwłaszcza na ruchliwszych szlakach, europejskie stroje i nakrycie głowy.

W tumanach kurzu zbliżamy się do dawnego karawanseraju, przerobionego obecnie na zajazd. Przed szerokim podcieniem stoją obok siebie grupy obciążonych osłów, wielkie ciężarówki, wysokie, dwukołowe, zaprzężone w muły wózki i wspaniała nowoczesna limuzyna!

Nadeszła godzina posiłku. Jest to chwila tragiczna! Niestety, bowiem w tym pięknym kraju (prócz oczy-

wiecie najpierwszorzędniejszych hoteli Teheranu) wszystko bez wyjątku trąci straszliwie... baranim łojem!

Od zapachu tego sympatycznego skądinąd bydłęcia, nie jest wolne ani pieczone kurcze, ani ryż, ani jakakolwiek jarzyna, ani mleko, ani nawet — ciastko!

To też właściwie od trzech dni przymieram z głodu!

Przemili Irańczycy, moi przygodni towarzysze podróży, nie mogą tego ścierpieć. „Niech pani skosztuje „dalmet“, wyborna potrawa, robiona na maśle!“

Nie śmiem odmówić! Czarny jak mulat chłopiec wnosi dymiącą miskę czegoś w rodzaju naszych „gołąbków“: mięso baranie, mieszane z ryżem i pieprzem, zawinięte i gotowane w winnych liściach.

Straszliwy zapach „barani“ rozchodzi się po całej izbie — no tak, masło, ale masło z owczego mleka! Robi mi się słabo... zaciskam pięści i ze łzami w oczach, połykam kilka kawałków, oświadczając, że znakomite! ale, że tak gorąco... że wolę chleb... itd.

Właśnie! chleb! jest, a jakże! przynoszą pełny talerz!

Patrzę ze zdumieniem na to ciemne, dosyć grube i najzupełniej niewypieczone ciasto. Ogromne płaty, przypominające z wyglądu wielkie surowe naleśniki, są starannie złożone na cztery części i kokieteryjnie ustawione w piramidkę. W smaku wybitnie przypominają ciemny zakalec.

Jest to jedyne, tutejsze pieczywo: „chleb perski“.

Z westchnieniem zabieram się do ostatniej pozostałej

„potrawy“: znakomitego wina z Khazinu. Cóż robić, trzeba żyć duchem i wrażeniami!

Irańczycy są szczerze zmartwieni, bo nawet kurcząt dostać tu nie można.

Przy tej okazji dowiaduję się o niesłychanie komicznym zwyczaju istniejącym do dziś dnia jeszcze w zapadłych wioskach. Oto Koran zakazuje kobiecie zabicia jakiegokolwiek stworzenia, a zatem i drobiu. Nie zawsze zaś znajduje się w pobliżu mężczyzna, gotów do wykonania tej „kuchennej“ czynności. Trzeba zatem jakoś „wyrównać“ naturalną różnicę płci, by omylić czujność... właściwie nie wiem czyją, ale myślę, że jedynie kurczaka.

Służy do tego celu odpowiednio, a nie dwuznacznie umieszczona w obszernych szarawarach wielka, drewniana łyżka (tak zwana u nas chochła), po czym już ze spokojnym sumieniem można zdobyć potrzebną na obiad potrawę.

I znów pędzimy po kilkanacie metrów szerokiej drodze, przez bezkresną, zasypaną głazami płaszczyznę. W kępach zielonych drzew ukazują się kopulasty, błyszczący dach. To „Machbare-Szech“, grobowiec świętego mułły, miejsce pobożnych pielgrzymek. O parę kilometrów dalej na płaszczyźnie wznosi się samotny, stożkowaty wzgórek o równo ściętym wierzchołku.

Zahamowując nagle auto, szofer objaśnię mnie, że jest to jedno z nielicznych, zachowanych dotąd wzgórz,

na których rozpalono ogniska, słynne „światłne sygnały“:

„Dawno, dawno, przed wiekami, za czasów naszego króla Dariusza“.

Gwałtownie usiłuję otworzyć drzwiczki. Przecież muszę, bezwzględnie muszę, sfotografować tego rodzaju „monument historyczny“!

— Ależ, proszę pani, nie warto!

— Jakto? — spoglądam zdumiona na „swoich“ Irańczyków.

— Ten kopiec służył wprawdzie do „sygnalizacji ogniem“, ale nie w epoce Dariusza, jest zupełnie nowy.

— Nowy?

— Oczywiście. Ma najwyżej cztery albo pięć wieków.

Istotnie zatem jest nowy. Przecież historię tego kraju liczy się na tysiące, nie na setki lat.

6. PIERWSZY DZIEŃ W TEHERANIE

Każdy język posiada jedno jakieś małe, charakterystyczne słówko, powracające tak często, że nierozumiejący mowy cudzoziemiec, skłonny byłby przypuszczać, iż w nim chyba zamknięty jest tajemniczy i nieuchwytny „duch języka“.

Czym dla Włoch jest wykrzykiwane na wszystkie tony „Ecco“, czym w Niemczech „nicht“, tym w Iranie „bahle“.

„Bahle“ znaczy — dobrze, znaczy — słucham, znaczy — idę, znaczy w ogóle wszystko, co w danej chwili wyrazić potrzeba.

Spod okna, z ruchliwej avenue Lalezar, dochodzi ono do mnie powtarzane na wszystkie możliwe sposoby. Przygnieciona upałem godziny 6-ej rano, leżę bezwładnie pod gęstą mustikierą, wsłuchując się w obcy gwar ulicy.

„Dziudże! dziudże! dziudże!“ *) woła melodyjnie handlarz kurcząt, dźwigający na głowie ogromny kosz pełen żywego drobiu.

*) Kurczęta.

Po nim zachwała swój towar sprzedawca baranich flaków, sprzedawca „dugu“ (kwaśnem mleko z wodą cukrem i lodem) zamkniętego w owczej, włosie do wewnątrz obróconej skórce, sprzedawca owoców, rozwożonych na białym cierpliwym osiołku i sprzedawca „ab-seferat“, wody z angielskiego poselstwa, mającego swoje własne, z gór przeprowadzone źródło.

Dość lenistwa! ostatnia chwila, by zmobilizować energię, wstać, zjeść śniadanie i ruszyć do banków, ministerstw etc. Urzędowanie, w okresie letnich upałów rozpoczyna się tu o 7-ej, kończy zaś o 12-ej, trzeba się śpieszyć!

Uff! już! uzbrojona w nieodstępną Leicę i hełm korkowy, schodzę po wspaniałych dywanach, jakimi dosłownie od góry do dołu wyłożony jest hotel.

Bo tu w Teheranie, dywany są w pokojach i na korytarzach, na schodach i w sieniach, w sklepach, w restauracjach i biurach, a nawet w łazienkach. Kosztowne lub skromne, wielkie lub małe, a zawsze barwne i śliczne, leżą wszędzie ku zdumieniu „ferenghich“.**)

Ma to i swoje złe strony. Wobec upałów, otwartych drzwi etc. krążą po mieście nie tylko ludzie, ale i pchły. Jest to jednak niczym, wobec miękkiej puszystości, wobec harmonii tonu i deseni.

W pierwszej chwili byłam zdumiona. Mój hotel jest skromny i niewielki, skądże ten przepych?

***) Cudzoziemcy.

Zapytany Irańczyk, śmieje się tubalnie.

„Hotel nowy, więc i dywany nowe. W dwa, trzy lata, właściciel sprzeda cały komplet za cenę wyższą, od wyłożonej obecnie“.

Przyczyna prosta. Barwiki roślinne, wyłącznie tu używane, płowieją tylko do pewnego stopnia i dywan osiągnąwszy przyćmiony, harmonijny ton, nie zmieni go już nigdy.

Oto dlaczego znawcy nabywają tylko dywany stare, a handlarze rzucają swój towar często na jezdnie, na chodniki, rozkładają na słonecznych zboczach wzgórz etc. etc. Zwłaszcza, że jak wiadomo, perski dywan nabiera w miarę deptania — miękkości.

„Dorożké!“

„Europejczycy nie chodzą piechotą“, tgeo zdołano mnie już nauczyć zaraz po przyjeździe. Zresztą, odległości są tu olbrzymie. Jasne, z wąskich, żółtych cegiełek, budowane miasto, rozciąga się na przestrzeniach bez końca. Bo jakże! 380 tysięcy mieszkańców, a domy prawie bez wyjątku jednopiętrowe. Zresztą teren nie ma żadnej wartości: Teheran otacza jałowa, drobnym szutrem zasypana pustynia.

Szerokie asfaltowane ulice, zalane są słońcem, jarzące światłem, omal-że lśniące. Dorożki, świetne nowoczesne limuzyny, rowery, motocykle, a obok obładowane osiołki, tragarze z ciężarami na głowach, karawany wielbłądów, chłopcy sprzedający mrożone migdały i śpiący pod murami żebracy.

„Na przestrzał“ otwarte, osłonięte markizami sklepy, trzciniowe zasłony we drzwiach i przed jakąś rozpoczętą budową grupa robotników siedząca na własnych piętach i pozywająca się z ustawionych na ziemi kutyh mis.

Ciemny chłopak w bajecznie krótkich ineksrymblach polewa ulicę wielką konwią, czerpiąc wodę z szumiącego wzdłuż chodnika kanatu, jakiś pieczołowity właściciel sklepu specjalnym aparatem spryskuje liście drzewa przed swym składem. W jarzącym słońcu drobne kropelki zdają się srebrzystą mgłą. Sztuczna rosa. Tu, gdzie przez siedem—osiem miesięcy nie pada deszcz, prócz nieodzownych nawadniających rowków, wskazanym jest odświeżanie liści roślin.

Taka dbałość, to jednak wyjątek. Na ogół w Iranie nie ceni się drzew. Przez snobizm europeizacji padły pod siekierą, wspaniałe, stare platany, które ocieniały dawniej większość Teherańskich ulic, a i dziś jeszcze zarząd miasta, potrafi w tym kraju, piekielnych upałów, nakazać wycinanie młodych wierzb „by ulica nie przypominała lasu“, jak na moje pełne oburzenia pytanie odrzekł właściwy urzędnik.

Za to ogrody, cieszą się opieką, jak nigdzie chyba na świecie. Zresztą: „stare słowo „paradis“, które hebrajski, jak i wszystkie inne języki wschodu, zapożyczył z Persji, a które oznaczało początkowo parki królów Achmანიდów, wyraża marzenie powszechne: rozkoszny ogród,

gdzie trwałoby bez końca, czarujące, tu rozpoczęte życie". (Renan).

Ogród zatem jest wyobrażeniem raju, i przypuszczam, że policzyć by można w Teheranie domy pozbawione, maleńkiego choćby zakątka, gdzie w zielonym basenie odbijają się proste warkocze Babilońskich wierzb i srebrzyste pnie platanów.

Wzmaga się ruch uliczny. Mężczyźni w tandetnych na ogół, europejskich strojach, i nieliczne, również zeuropeizowane kobiety.

Nad ulicznym kanatem przykucnęło na własnych piętach trzech gentelmenów, w porządnym, szarym garniturach. Kontrast między tym standardowym, amerykańskim strojem, a „dwuznaczną“ (u nas) pozycją — kapitalny.

A cóż za posłuszeństwo władzy! Nawet żebrak leżący pod murem, łachmany ma — europejskie.

Lekko balansując wśród przechodniów, idzie mężczyzna, niosący na głowie sześć, wyraźnie sześć, jedno w drugie włożonych „wiedeńskich“ krzesel. Nawet nie przytrzymuje ich ręką. U nas popisywałby się w cyrku.

A wśród przechodniów, trotuarem, spokojnie kroczy oficer, prowadząc za uzdę swego konia. Jeżeli gdzie, to tutaj znaczenie wojska, nawet w życiu codziennym, jest ponad wszelkie przepisy.

Teheran rozwija się gwałtownie. We wszystkich dzielnicach stoją rusztowania, długie rzędy robotników z ba-

jeczną zręcznością, przerzucają sobie z rąk do rąk cegły i belki, wszędzie budują, budują, budują!

W ciągu ostatnich lat wzniesiono tu szereg pięknych gmachów, jak: „Nazmije“*), jak Bank Melli etc.

Ów „bank narodowy“ stworzony przed laty jedenastu (1926), jest obok angielskiego Imperial Bank of Iran największą instytucją finansową kraju.

Jedynie w Melli i w Imperialu wolno cudzoziemcowi zmieniać waluty, co czyni z „westchnieniem bólu“, na czarnej giełdzie bowiem otrzymuje obecnie kurs 40% wyższy, zaś propozycje tak korzystnych transakcji dosięgają go nawet w hotelu i jedynie obawa przed wszechwiedzącą „Nazmije“, może go powstrzymać od ustąpienia pokusie.

A istotnie policja wie wszystko. Sieć agentów, donosicieli i t. p. ma tu być olbrzymia i wybornie zorganizowana.

Miejscowi obywatele zapewniali mnie z całą stanowczością, że tam, w „górze“ wiedzą wszystko: co się robi, co się je, co się pisze, co się mówi — nawet w czterech ścianach własnego pokoju.

Zastanawiam się... — jeśli to prawda — ...czyżby znakomity wpływ szkoły rosyjskiej??? A może odwieczna tradycja „uszu i oczu królewskich“ z czasów Dariusza?

*) Policja.

7. ARIOWIE, SEMICI, TURKMENI

W moim pozwoleniu na aparat, jakie posiadać musi każdy, chcący robić w Iranie zdjęcia, napisane wyraźnie, iż wolno mi uwiecznić wszystko, prócz obiektów wojskowych i prócz tego „ce qui fait outrage à la nation“.

Ce qui fait outrage... hm... w tym właśnie sęk. Pojęcie obrazy jest względne. Od 6-ej rano krążą po mieście w poszukiwaniu „typów“. Zwłaszcza koło Bazaru.

W cieniu jego potężnych łuków przykucnął wzdłuż ulicznego kanatu cały rząd tragarzy. To przeważnie turycy. Brązowe twarze, groźne brwi, wielkie czarne oczy i grube wargi, między którymi błyskają ostre białe zęby.

Quasi europejskie, obszarpane ubranie, dopełnia mała, przylegająca do głowy mycka. Na plecach rodzaj ściętego tornistra: podpórka pod dźwigany bagaż.

Starannie wycelowuję Leicę. Ktoś trąca mnie w ramię.

„Czi?“ *) odwracam się zirytowana.

*) Co?

Policjant. Dokładnie i niezrozumiale tłumaczy coś, wskazując na obiektyw.

Już wiem, wiem! Tragarze są zbyt charakterystyczni, zbyt „wschodni“, „Cela fait outrage à la nation“, tak samo jak ów ślepy żebrak, którego nie dano mi wczoraj zdjąć, jak karawana wielbłądów etc. Wiem, tu jest, tu „ma być“ Europa.

Uśmiecham się uprzejmie i starannie zakładam na Leicę „winckelsucher“. O! tak! Teraz może mi dacie spokój.

Jest potwornie gorąco i męczy nawet fotografowanie. Wolałabym tylko patrzeć. Siedzę w cieniu jakiejś płociennej markizy, przede mną suchy starzec o wiecznie tych samych, czarnych oczach, wlewa wodę przez szyję do skóry baraniej wywróconej włosiem do wewnątrz. Obrzydliwość! woda bulgoce, co robi wrażenie jakby bydlę miało czkawkę!

Szybkim krokiem przeszła grupa urzędników. Znikli już w gmachu ministerstwa. Europejskie ubrania bez zarzutu, białe perskie „give“ **) na nogach (podziwiam tu ludzi noszących buty!).

Ależ czarni...

„I to są Ariowie — powtarzam w myśli — wczoraj pan Averi twierdził, że Persowie są rasą czystą... Właśnie!“

„Kiedy Ariowie zeszli z Pamiru“... Tak się zaczynały

·*) Wielkie, białe, perskie pantofle.

wszystkie historie powszechne mego dzieciństwa, a kiedy pytałam skąd się wzięli na Pamirze mówiono, że jestem nieznośna.

A więc zesłi najpierw tu. Francuskie dzieła mówią, że ludność Iranu, wynosząca dziś ok. 15—17 milionów, (co wobec obszaru u $4\frac{1}{2}$ wielkości Polski daje 10 ludzi na klm. kw.) dzieli się na trzy zasadnicze gałęzie: Semicką, Aryjską i Turkmeńską.

Pierwsi to Arabowie i Żydzi, drudzy Kurdowie (jakoby najczystziej zachowany na świecie typ pierwotnych Ariów) i persowie właściwi, których krew „uszlachetniona“ być miała krwią Arabską i Hinduską, trzeci to kilka plemion Nomadów.

Jest to podział zasadniczy, prawdopodobnie możliwy do „odcyfrowania“ dla uczonych, bo dla laików...

Szereg najazdów, wojen, wędrówek plemion, wytworzył taką mieszaninę ras, że — jak ze śmiechem przyznają sami Irańczycy — „czystych“ Persów już dzisiaj nie ma.

Rzadki jest również i prawie nie spotykany ów piękny, klasyczny typ ludzi wysokich, rozrosłych, o wydatnych rysach i przepysznych czarnych oczach. Typ zdrowy, silny, odważny.

Może daleko w górach wśród Nomadów... To co przesuwają się przed moimi oczyma tu, na ulicach Teherenu, jak zresztą i w innych miasteczkach i wioskach „wewnętrznej wyżyny“ jest na ogół drobne, zdegenerowane, nierozwinięte. Wąskie ramiona, drobny wzrost, często

krzywe nogi. Na wielu twarzach, o zawsze pięknych oczach, wydatnym nosie i szerokich ustach, znać ślady chorób, większość jest mizerna i zniszczona.

Przyznać trzeba, że jeśli trafi się człowiek na prawdę piękny, jest nim w pełnym tego słowa znaczeniu, takich jednak widziałam zaledwie paru. Zapewne w wyższych a zamkniętych kołach, jest ich więcej, lud jednak raczej smutne robi wrażenie.

Wrażenie to powiększają jeszcze stroje: Dążąc wytrwale do europeizacji kraju (dążenie niestety często „przeholowane“) skasowano wszelkie oryginalne miejscowe ubiory.

Dziś ku wielkiemu żalowi „ctranżerów“ wszyscy od księcia do żebraka, przywdziali ubrania (lub łachmany) europejskie i europejskie nakrycia głowy.

Rozporządzenie to miało swoje głębsze społeczne i polityczne podstawy (jedną z nich było przypuszczenie: włożywszy europejskie stroje, poczują się również Europejczykiem) i — zapewne — głębszą wartość, ale zewnętrznie, dla turysty — efekt straszny.

Osobiście mam bezustannie wrażenie, że wszyscy są przebrani i to przebrani niezręcznie. O ile rzadko już i tylko w głębi kraju spotykani ludzie, w szerokich, wschodnich szatach, posiadają malowniczość i „styl“ i naturalną godność, o tyle miejska publiczność w tandetnych, przeważnie źle skrojonych i źle uszytych, a jeszcze gorzej noszonych europejskich szmatkach, wygłą-

da nieszczęśliwie. Oczywiście nie mówię o nielicznych, zupełnie zeuropeizowanych jednostkach.

Nawiasem dodać trzeba, że interpretacje owego, nieoficjalnego zresztą, polecenia, bywa czasem znakomita.

Ludzie na wschodzie uważają — nie bez racji — że mając na sobie koszule i spodnie, są ubrani, a kwestia czy rzeczy te będą grube czy cienkie, ciemne czy jasne, to przesąd „ferenghich“. Krój europejski — wszystko w porządku.

To też widziałam np. fotografa, urzędującego w zwykłej koszuli i również zwykłych „ineksprimblach“... tylko nie tych jakie u nas zwykło się nosić na wierzch, lecz... ot... z tasiemeczkami. Rozumowanie logiczne: znacznie tańsze, lżejsze i chłodniejsze, co przy 45 stopniach w cieniu jest nie do pogardzenia.

O czym to ja myślałam... aha! owe wspomniane wyżej zdegenerowanie i zły rozwój fizyczny większej części ludności, spowodowane jest ciężkim klimatem, warunkami materialnymi etc.

Tylko mały procent żyje we względnym dobrobycie. Mimo wielkich postępów europeizacji kraju, dokonanych w ciągu ostatnich dziesięciu lat, ustrój społeczny pozostał nadal bardzo zacofany.

Okolo 80 procent ludności, zajmującej się rolnictwem i pasterstwem, żyje, jak dawnej w biedzie, graniczącej z nędzą i warunkach prawie feudalnych.

W Persji zaledwie 3% ziemi uprawnej jest w posiadaniu drobnych właścicieli. Reszta znajduje się w rę-

kach wielkich posiadaczy: kleru, bogatych ziemian etc., którzy nigdy sami gospodarstw nie prowadzą. Prawie z reguły wydzierżawiają majątki pośrednikom, a ci ze swej strony poddzierżawiają je znowu drobniejszym przedsiębiorcom lub też bezpośrednio chłopom. Przyczyn w systemie tym uprawiane są różne sposoby wyzysku, jak pobieranie wysokiego czynszu w naturze, zmuszanie chłopca do korzystania z inwentarza, względnie nasion dzierżawcy, specjalne opłaty za wodę i t. p. Chłop więc staje się poddzierżawcą ziemi dopiero z trzeciej lub czwartej ręki i wyzyskiwany bywa przez całą hierarchię spekulantów rolnych.

Niewiele lepszy jest byt drobnych rzemieślników i robotników, źle płatnych i nie chronionych przez żadne ustawodawstwo socjalne.

Przeciętny zarobek robotnika wynosi od 70 gr. do 1 zł. 50. dziennie, przy czym wymagane są 10 do 16 godzin pracy. Małe dzieci (od lat 6-ciu), przy 10—14-godzinnym dniu pracy, zarabiają nieraz zalednie po 15 gr. dziennie. Są one zatrudnione masowo przy produkcji dywanów, przemyśle bawełnianym, rzemiośle i t. p.

Znacznie lepiej bywają płatni nieliczni majstrzy, wyszkoleni na sposób Europejski, nigdy jednak zarobki ich nie przekraczają $\frac{1}{3}$ zarobków odpowiedniego majstra europejczyka, co zresztą jest usprawiedliwione inteligentniejszą i uczciwszą pracą tego ostatniego.

Jak wspomniałam, tylko mały procent ludności perskiej żyje w dobrych warunkach materialnych. Jednak

minęły już czasy fabularnych fortun właścicieli ziemskich i monopolistów handlu. Szereg przyczyn tak niezależnych, jak i zależnych od woli państwa, spowodował upadek wielkich majątków, a przynajmniej poważne ich zredukowanie. Było to zasadnicze pociągnięcie w polityce wewnętrznej, tą bowiem drogą unieszkodliwiono prowincjonalnych królików, często rządzących się w swych prowincjach lub szczepach niezależnie, lub wbrew nawet instrukcjom rządu centralnego.

... Uff! dość już długo siedzę na tym murku. Upał przybiera zastraszające rozmiary i wszelkie poważne rozważania stają się szkodliwe dla zdrowia. Idę co prędzej na porcyjkę ukochanej „Ab-Ali“ *). Jakieś dwie, trzy buteleczki...

*) Znakomite irańskie źródło mineralne.



Tragarz teherański.



Kazwin-Meczet; na pierwszym planie kobiety w „czadurach”.

8. DZIEŃ JAKICH WIELE

Służący moich gospodarzy nosi melodyjne imię Sejfulla. Sejfulla jest „Aszpazem“¹⁾ a przy tym władcą domu. Podlega mu bezapelacyjnie kuchnia, podlega mu zwyczajowo szofer, ustępują mu państwo — nie ulega mu tylko „badži“²⁾.

Bowiem „badži“ jest legalną i wierną żoną Šejfulli.

Kto wie czy nie ta wierność właśnie stwarza największe małżeńskie trudności. Fatimeh wyższa jest od Sejfulli o pół głowy et son sein ne tiendrait pas dans un chapeau haut-de-forme, a przy tym ma nadmierne wymagania.

Tak przynajmniej twierdzi Sejfulla. Dziś rano bowiem pękła bomba i przelała się czara gorzkości.

Sejfulla zjawił się u „arbaba“³⁾ Fatimeh u „hanum“⁴⁾ i każde z osobna wyraziło jednozgonne życzenie opuszczenia służby, gdyż muszą się rozwieść.

Okazuje się, iż Sejfulla ceni w życiu dwie rzeczy:

1) Służący—kucharz.

2) Służąca.

3) U pana.

4) U pani.

swoją sztukę kucharską i spokój. Czy jednak można osiągnąć spokój mając żonę o tak wulkanicznym temperamencie?

Prawda, pracuje jak wół, spełnia za Sejfullę wszystkie cięższe roboty, pierwsza wstaje i ostatnia kładzie się spać, ale „arbab“... sam jesteś mężczyzną, rozumiesz: jeśli będę jej zawsze ustępował, przypalę ci potrawy!

Przecież dla zrobienia dobrego obiadu wstać trzeba wcześniej, a ja jestem „wówczas“ śpiący i nawet wachlarzyka utrzymać w ręku nie mogę.

Ów wachlarzyk, to nieodzowny sprzęt kuchenny. Bo-wiem przystosowane jedynie do drzewnego węgla kuchenki Irańskie, wymagają nieustannego prawie rozdmuchiwania. To też nad umieszczonymi wprost na ogniu rondlami (bo nie ma tu ani blachy, ani tak zwanych „fajerek“) stoi godzinami — „aszpaz“, lub — jak w tej chwili — zapłakana „badzi“, (żywy przykład, że wielożęństwo ludów jest „znaczłą przesadą“) i szybko porusza chorągiewką ze słomy.

Wiadomo zresztą napewno, że „aszpaz“ rozpoczynając przyrządzanie obiadu o 7-ej najwcześniej wykończy go na 1-ą.

Z tego samego powodu i kolacja nie zjawia się przed 10—11-ą. Sejfulla wyplukawszy tłuste garki w zimnym basenie (wedle przepisów proroka „czysta“ jest albo woda bieżąca, albo mająca „masę“ około 225 litr., basen jest zatem czystszy, od wrzątku z rondla), musi odbyć przecież tradycyjną popołudniową drzemkę.

Święta godzina snu. W piekielnym, rozżarzonym upale, zapada człowiek w ciężkie odrętwienie, z którego budzi się znacznie bardziej jeszcze zmęczony.

Po całym domu szukam chłodniejszego kąta. Może w „zerezamin“⁵⁾ I tu także, jak zresztą w każdym pokoju każdego domu w Persji, na glinianej polepie leży bawełniane „zilu“⁶⁾, a na nim dopiero puszyste dywany. Zresztą latem kto tylko może, mieszka w podziemiach.

Mam nieodpartą ochotę położenia się na ziemi. Znów dowód, jak dalece obyczaje danego kraju, zależne są od jego klimatu.

Jeden jeszcze zabawny efekt wywołuje ta piekielna temperatura: swoboda, z jaką wszyscy krążą po domu w najprzewiewniejszych strojach w Europie nie mieściłaby się w niczyjej głowie.

Niemiec pan N. szczyci się, iż znakomicie znosi upał. Pytam jego kolegi jak w domu chodzi ubrany.

„O! wissen sie, zwykle owinięty w kalamkarę⁷⁾, a gdy przychodzą goście kładzie pidżamę“.

Bez żadnych ubocznych intencji, przegrzanie skóry, wywołuję ciągłą ochotę rozbierania się.

Od chwili obudzenia, pragnienie aż dusi.

„Sejfulla!“.

„Bahle!“.

⁵⁾ Podziemia.

⁶⁾ Bawełn. podkład pod dywany.

⁷⁾ Rodzaj serwety.

„Jek stakane czaji beroman!“ (szklankę herbaty dla mnie).

Nauczyłem się już wschodnim obyczajem gasić pragnienie wrzątkiem.

„Czeszm!“ odpowiada Sejfulla, przykładając palce do oczu.

„Czeszm“ dosłownie znaczy „oczy“ i w przenośni wyraża: rozkaz twój będzie wykonany, jest mi bowiem droższy, niż własny wzrok. Słowo, zastępuje nieraz ów gest, dotknięcia powiek.

W tutejszym przeraźliwie suchym klimacie, pragnienie potwornie daje się we znaki, a wypicie naprzykład 8 butelek wody mineralnej, nie należy do wyjątków.

Mimo to nie jest się nigdy spoconym, każda wilgoć paruje natychmiast z powierzchni skóry. Również nigdy nie używa się chustki do nosa. „Nos jak drzewo“ to wyrażenie w lekkim stopniu tylko obrazuje stan tego cennego organu.

Uff! zbliża się błogosławiona godzina wieczornego chłodu, godzina w której wzmagą się ruch uliczny, w której płoną sklepy, restauracje i kawiarnie, w której wszyscy wylegają do ogrodów, nad kryształowe baseny, w zielony mrok, pod gałęzie płaczących babilońskich wierzb.

Godzina prawdziwego wypoczynku.

A późno w noc, w szerokiej sieni naszego domu odbywa się wiecznie ten sam dialog:

„Nie ma pani prawa zamykać drzwi od swego pokoju! przeciąg jest publiczny!!

„Ależ... to krępuje...“.

„Trudno! tak drażliwi ludzie niech nie przyjeżdżają do Azji!“

„Niechże się pan przeniesie do ogrodu!“

„Nie mam mustikiery. Boję się tarantull i skorpionów“.

„Trudno! tak delikatni ludzie niech nie przyjeżdżają na Wschód!“

— Jednak wszystkie drzwi pozostają otwarte.

9. OD TURBANÓW I FEZÓW DO EUROPEJSKICH KAPELUSZY

„Łazared Dahale!“*)

„Czi?“

„Łazared Dahale!“ powtarzam z naciskiem, w głębokim przeświadczeniu, że wyrażam się prawidłowo: mam przecież napisane na kartce!

Jedziemy. Ulice, place, gmachy, domy. Stop.

„Czi? czi?“ z kolei pytam teraz ja.

Dorożké tłumaczy coś szybko i gardłowo, z czego pojmuję, że to ma być cel naszej podróży.

No! jeżeli tu mieści się ministerstwo — to winszuję. Zresztą lichy wie! Jestem w Azji od tygodnia i... a może to jakiś pasaż?

Ale ledwie dorożké, wzięwszy dwa rialsy,**) odjechał, orientuje się w kapitalnej pomyłce: to przecie Bazar!!

Trudno, korzystajmy ze sposobności. Z wnętrza buchają kłębami skomplikowane zapachy, powstałe z mie-

*) Min. Spr. Wew. wymowa nieprawidłowa.

***) Moneta = + 33 gr.

szaniny odoru roghanu, wanilii, starej wełny, opium, kurzu i nie wiadomo czego jeszcze.

Zagłębiam się pod mroczne sklepienia.

Kolosalny budynek, istny labirynt kruźganków, dziedzińców, przejść, pośen hałaśliwego tłumu, krzyczących handlarzy, przechadzających się, lub przejeżdżających na osłach mułłów, pełen huku młotków, wykuwających miedziane i mosiężne naczynia, ozdobne skrzynki, kuferki etc.

Całe szeregi kramów, sklepów i sklepików, gdzie dosłownie za grosze, dostać można wysmukłe wschodnie dzbanki, o wąskich szyjkach, ręcznie kute i cyzelowane w zlocie i srebrze ozdoby, prymitywnie oprawne klejnoty, dywany, dywany, dywany i wogóle wszystko, co istnieje na rynku Teherańskim.

Bazar w stolicy (jak i we wszystkich miastach Iranu) do niedawna jeszcze, objemował 95% handlowego życia miasta. Był centrem transakcji, umów, interesów, a także... centrem plotek, agitacji, czasem zamieszek.

To też przyszła chwila, że władze chcąc pozbyć się tego naturalnego miejsca meetingów, poczęły częściowo burzyć kruźganki i teraz, w niektórych partiach olbrzymiego gmachu, widzieć można nawpół zrujnowane mury.

Dobrze! wszystko to pięknie, ale ci panowie w ministerstwie, nie mogą czekać bez końca.

„Łazared Dahale?“ Zapytuję jakiegoś kulturalnie wyglądającego przechodnia. Patrzy na mnie z zaję-

ciem, uśmiecha się uprzejmie i — wzrusza ramionami. Rób co chcesz! jeśli ministerstwo nazywa się inaczej niż mi napisano??? „Heureka!“ wrzasnęłam tak głośno, aż obejrzał się na mnie handlarz owczych serków.

Przecież Irańczyk, dający mi ów adres, znał z europejskich języków tylko francuski nie angielski, zatem „wazared dahale“ poprostu czytać można „vazared“ nie „łazared“, a trafię odrazu.

Uprzejmość jakiej na każdym kroku w ministrestwach doznaję, godna jest najwyższej wdzięczności. Informacje, ułatwienia, ...a jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu pewnej sztuczności, czegoś niezupełnie szczerego... E! cóż za dziecinna podejrzliwość! Jedziemy do Szemeranu! Pan X wysoki dygnitarz, któremu i tę jeszcze grzeczność zawdzięczam, z pewnością udzieli mi szeregu cennych wiadomości.

* *
*

Nad przepyszny szumiącym potokiem, u stóp niebotycznych, skalnych ścian, nowoczesny hotel.

Szemeran, lotnisko i „ochłoda“ Teheranu, gdzie w okresie kanikuly przenosi się większość europejskich poselstw, rośnie szybko. Łączy go ze stolicą znakomita szosa, obecnie na życzenie szacha asfaltowana, tak szeroka, że swobodnie mijać się naraz mogą, cztery wielkie maszyny.

Szemerze sieć strumyczków, platany rozkładają nad głowami szerokie liście, słucham popijając wyborną „czaji“.

„... Musi sobie pani zdać sprawę, że od wieków zakorzeniony jest u nas pogląd, łączący wielkość narodu i państwa, z faktem panowania narodowych dynastii. Kadżarowie byli dynastią obcą, właściwie nigdzie nie uznaną przez lud, a pod koniec głęboko zniechawioną...“

„...Składały się na to niezliczone przyczyny. Kadżarowie*) nie dbają o nic prócz własnej korzyści. W 1828 roku oddają Rosji prowincje Kaukaskie, a przez „prawa kapitulacyjne“ de facto i władzę nad Persją. Pozwalają na kolosalny wzrost wpływów Anglii (która w ten sposób broni swych interesów w Afganistanie i nad Zatoką Perską). W 1887 roku bar. Reutter zakłada wszechwładny Imperial Bank of Persia, w 1901 Wiliam Knox d'Arcy uzyskuje najszersze prawa eksploatacji wszystkich terenów naftowych (prócz 5 północnych prowincji), na przeciąg lat 60-ciu. Żadnej zwierzchniej władzy, żadnej kontroli, olbrzymie tereny uprawne właściwie gratis, nieprawdopodobnie korzystne warunki dało powstałej wówczas Anglo-Persian-Oil-Comp.

W owych czasach Rosja dezorganizowała kraj dla celów politycznych, Anglia wkraczała ze swymi kapi-

*) Ostatnia dynastia perska przed wstąpieniem na tron dzisiejszego króla.

tałami dla celów przemysłowych i handlowych. Kadzarrowie tyrani, despoci, a słabi i zdegenerowani, stają się już tylko figurantami.

Rezultatem obce rządy, dezorganizacja wewnętrzna, brak opinii publicznej, wyzysk i nędza ludu.

Składało się na to może i wiele innych przyczyn. Lecz mentalność ludów wschodu skłonna jest zawsze do pewnej specyficznej syntezy, widzi zamiast szeregu powodów — jeden, niekoniecznie najważniejszy, zawsze najbardziej widoczny, personalny.

W tym wypadku nienawiść ludu skupiła się na Kadzarach, imię ich stało się omal obelgą.

Czy może więc pani wyobrazić sobie z jaką radością powitano pojawienie się człowieka uosabiającego ideał „szacha wodza narodu i państwa“, ideę „zjednoczenia wielkiego Iranu pod narodową dynastią“?

Tym człowiekiem był dzisiejszy szach Reza Pahlevi i osobiście przypuszczam, że nasz władca dzięki temu: zdołał tyle sił wydobyć ze swego narodu, iż odwołał się do owej wiecznie żywej tradycji „zjednoczenia różnorodnych plemion irańskich, pod rządami narodowej dynastii“.

Odzyskanie istotnej niezależności możliwe było dla nas dzięki całemu splotowi wypadków spowodowanych wojną.

...Po zwycięstwie nad bolszewikami Szach Reza Pahlevi, ówczesny dowódca armii, pomaszerował na Te-

heran, zdobył go, stał się dyktatorem, a w r. 1925 szachem.

Na zjednoczenie państwa, złożonego z wielu wiecznie walczących z sobą plemion, wpłynęło i to, że poczucie nacjonalistyczne jest w naszym narodzie bardzo silne.

Proszę sobie uprzytomnić ileż najazdów: Arabowie, Mongołowie, Afgani, Turcy, wszyscy gnębią Persję, jej język etc. A mimo to lud zawsze przetrwał i przetrwało w nim poczucie wspólnego, zjednoczonego państwa, przetrwało mimo rozbicia na plemiona, mimo rozlicznych dialektów etc.

...Europejczycy dziwią się, iż reformy naszego władcy, reformy dotyczące, a przynajmniej zatrącające o sprawy religijne, przeszły tak stosunkowo łatwo.

Wszak, gdy przed dziewięćmi laty z woli szacha zakazane zostały turbany i fezy, a nakazane wysokie, podobne do austrijackich „skopki“, zwane „cola Pahlevi“, zmiana ta dokonała się w niecałe trzy tygodnie.

Gdy z kolei polecono odrzucić „cola Pahlevi“, a nosić zwykłe, europejskie nakrycia głowy — w przeciągu piętnastu dni kraj „zmienił oblicze“.

My sami dziwiliśmy się skąd lud, szerokie masy, zdołały w równie krótkim czasie zdobyć tak wiele kapeluszy, czapek i t. d. Sklepy robiły wówczas kolosalne interesy i wciąż zamawiały telegraficznie nowe transporty z Europy,

I przekona się pani, że obecnie, prócz muły, bardzo

trudno, a nawet niepodobna, spotkać w Iranie mężczyznę w turbanie lub fezie.

Tradycje Islamu są u nas... jakby to wyrazić? dość powierzchowne. Naprawdę głęboko tkwią w duszy Persa tylko pierwiastki religii Zoroastra, religii czcicieli ognia, prawdziwie i głęboko irańskiej. I dlatego naruszanie jakiegokolwiek tradycji narodowej mogłoby wywołać odruch buntu, zmiany jednak tradycji Islamu przyjmowane są bez większych wstrząsów.

Niech pani nie przypuszcza, że myślę tak ja, człowiek wykształcony i oczywiście bezwyznaniowy. Ostatnio podróżując po kraju w małym miasteczku na południu spytałem ślepego żebraka:

— Jak możesz nosić kapelusz, skoro zakazuje tego religia?

— Przecież sam w to nie wierzysz.

— A ty?

— Religia, którą mogłoby naruszyć włożenie kapelusza — nie byłaby religią — oświadczył filozoficznie starzec.

Mówiąc o szybkim przyjęciu reform w kraju, nie można pominąć i tego, że lud jest u nas uległy. Tak, to się nie da zaprzeczyć, lud jest dobry i uległy.“

Słucham cierpliwie płomiennego monologu. Trudno mi wyrazić własne zdanie. Wiem jeszcze zbyt mało...

Choć z ostatnimi słowami zgadzam się w zupełności. Lud jest uległy, o tym będę miała sposobność przekonać się jeszcze wielokrotnie.

10. WODA Z RYNSZTOKA I SAL - LEK

„Czy zdaje sobie pani sprawę, że myjemy się tu wodą z rynsztoka?“

Patrzę na płynącą w pięknie obmurowanym rowku mętną ciecz i robi mi się słabo.

A to istotnie prawda! „Kwestia wody“ jest w Teheranie sprawą rozpaczliwą. Miasto leży bowiem w szczerzej pustyni. Tutaj uchodziło to widać za rzecz naturalną, skoro pewien kupiec perski w XVIII wieku, powróciwszy z długiej podróży po krajach zachodu, miał oświadczyć swoim współziomkom, iż najlepszym dowodem nieprawdopodobnej chytrości europejczyków jest, że... do każdego miasta potrafili sobie oni sprowadzić rzekę.

Kanalizacja Teheranu, obecnie już rozpoczęta, natrafia oczywiście na wielkie trudności. Dotychczas jeszcze źródlaną wodę górską sprowadzają do miasta t. zw. kanaty. Jest to system podziemnych kanałów, łączących studnie wykopane pomiędzy miastem, a odległym o ok. 20 klm Elburcem.

Przy kopaniu owych kanatów dwaj specjaliści, najczęściej analfabeci, rozpoczynają podziemną pracę, je-

dnocześnie z dwu odległych od siebie o 80—100 metrów punktów. Uzbrojeni jedynie w najprymitywniejsze narzędzia i własny instynkt nie myślą się nigdy, nawet o centymetr, i łączą oba przekopy w miejscu z góry określonym.

Dostarczona w ten sposób z górskich źródeł do Teheranu woda płynie — teraz już otwartymi rowkami — wzdłuż ulic, napęlniając t. zw. Ab-ambar, t. j. zbiorniki w domach, baseny etc.

Niestety woda to chłód, to wytchnienie, to radość, zatem ciągną do niej wszyscy i z chwalebłą namiętnością moczą w niej nogi, co obserwować można stale i codziennie o właściwych godzinach.

Czego oczy nie widzą... Tak, lecz jeśli widzę dokładnie jak w wodzie w której wiem, że płynie do mojej łazienki, ktoś płucze zęby, plując w nią zawzięcie, to — bez histerycznej przesady — doznają lekkiego wstrząsu obrzydzenia.

A przecież prócz tego te same, przeważnie pięknie obmurowane kanaliki, w innych godzinach, po zamknięciu odpowiednich rozdzielników, odprowadzają z kolei wszelką wodę brudną; jest to zatem raz wodociąg, raz... rynsztok.

Z początku cudzoziemcy, a zwłaszcza kobiety, drżą przed skórnymi chorobami etc, głównie zaś przed t. zw. sal-lek. Dziwna ta dolegliwość rozpoczyna się małą, czerwoną plamką, którą zastępuje wkrótce spora otwarta ranka. Nie tylko wyleczyć, ale nawet zmniejszyć jej

nie można. Po roku sama znika, pozostawiając głęboki ślad jak po szczepieniu ospy.

Niezliczeni Irańczycy noszą na twarzy te charakterystyczne znaki, napełniające przerażeniem serca europejskich kobiet.

„Nie chcę pani straszyć, ale radziłbym stale brać chininę“.

„Tu? Na wysokości 1200 mtr??!!“

„A te niezliczone baseny? Przecież to siedliska moskitów. No i... podobno jedzie pani w głąb kraju? Proszę zażyć pastylki anti-tyfusowe“.

Długo niestrzyżone włosy jeżą mi się na głowie i chwyciwszy korkowy hełm, rzucam się na poszukiwanie apteki.

Rozpakowuję zdobyte medykamenty siedząc na hotelowym łóżku: chinina, pół kilo hipermanganicum do dezynfekowania wody i pigułki anti-tyfusowe.

Połknęłam już jedną i czuję się bezpieczna.

Aha, jakaś informacja na załączonej kartce...? Voila! pastylki działają dopiero po trzech tygodniach, z czego wynika, że wróciwszy do stolicy, mogę być zupełnie spokojna, iż tyfusu nie dostanę.

Postanowiwszy zjeść tradycyjny „dinner“ w towarzystwie znajomych, usiłuję się z nimi porozumieć telefonicznie.

Kupiec, emigrant z Niemiec, dawniej Żyd, teraz obywatel perski i muzułmanin, który jednak „dla pewno-

ści“ święci szabat, uprzejmie stara się dla mnie o połączenie.

„Ahrah! ahrah!“ (coś w rodzaju „panie!“ zastępujące nasze „hallo“).

Siadam i zabieram się do przeglądania jakichś ilustracji. Jestem zupełnie pewna, że „ahrah“ nie skończy się tak prędko.

Powtórzywszy je mniej więcej dwadzieścia razy, zdobywa się wreszcie odpowiedź telefonisty, a po wywołaniu numeru i długim czekaniu — również połączenie... niestety najczęściej fałszywe i... rozpoczyna całą procedurę na nowo.

Właściciel wielkiego składu położonego niedaleko od centrali twierdzi, iż lepiej opłaca się posłać chłopca z prośbą o dane połączenie — niż czekać. Zapewne, telefonowanie na piechotę — to też sposób!

Wkrótce wprowadzone będą automaty, co prawdopodobnie radykalnie poprawi sytuację.

Nareszcie siedzimy wszyscy razem przy stoliku w „Astorii“: Angielka, Polka, Polak, dwóch Niemców i Czech. Cztery nacje, a zmuszeni jesteśmy używać aż sześciu języków. Typowa łamigłówka.

Angielka mówi z Czechem po angielsku, z jednym z Niemców po rosyjsku, ja rozmawiam z Czechem łamaną polszczyzną, z Niemcem po niemiecku, Polak z Angielką i drugim Niemcem po francusku, zaś ten ostatni porozumiewa się z Czechem po persku.

W wyniku tej interesującej wieży Babel, myślą się



Ask. Dzieci przed Meczetem.



Stary chłop, mieszkaniec wsi Szaristanek.

wszystkie języki i naprawdę nikt nikogo zrozumieć nie jest w stanie.

Mimo to jednak dowiedzieć się można wielu plotek, obecnych, przeszłych i... przyszłych.

„...Ten, który właśnie wstaje, tam! widzi pani, ten wysoki, ożeniony jest z bohaterką słynnej ongiś sprawy.

Kapitałna historia! Stare dzieje, blisko dziesięć lat temu... Wówczas jeszcze Persjankę, mającą stosunki z chrześcijaninem czekały srogie kary.

Sprawca całej awantury był sekretarzem angielskiego poselstwa i kiedyś zdarzyło się, że policjant ujrzał go wychodzącego nocą z mieszkania owej damy.

Mimo, iż była zawodową kurtyzaną, skazano ją na zwyczajową karę: wsadzenie w worek i bicie przez tłum kijami na publicznym placu.

Ów sekretarz mógł ją ocalić, wprowadzić za grubą sumę funtów, ale jednak mógł, a nie uczynił tego. I wie pani? wyrzucono go ze służby dyplomatycznej, wychodząc z zasady, iż rycerskie postępowanie względem kobiety obowiązuje zawsze, niezależnie od tego, kim ona jest.

Jakaż inna ambasada zdobyłaby się na takie postawienie sprawy?“

Mój rozmówca, Niemiec, wiele lat przebywał na wschodzie i nabrał już gorącego podziwu dla Anglików.

Nie wszyscy mają te przekonania i ostatnie powie-

dzenie ochładza nieco ogólną atmosferę. Szczęśliwi na estradzie rozpoczęły się „występy“.

„To węgierki“ informuje mnie bardzo zainteresowany Niemiec.

Szybko i ogniście biją o deski posrebrzane obcasiki. Czeczotka — szpagat — flik. Jedna z tancerek lekko traci równowagę.

„Uważaj!!“ syczy ostry szept.

Oho! nie ma wążliwości! rodaczki! i to nawet nie z Nalewek.

Idę za kulisy. Aż do Teheranu zajechała grupa trzech baletniczek i jednego managera, oczywiście żydka.

Starają się teraz o zaangażowanie do Bombaju.

„Czy tak wiele zarabiacie?“

„Eee! nie! właściwie bardzo mało. Tylko to takie ciekawe! publiczność jest przecież wszędzie inna!“

Zapewne, i to podróznicy punkt widzenia.

11. FOTOGRAFIE NA $\frac{1}{50}$ CZĘŚĆ SEKUNDY

Barany tutejsze są naprawdę piękne. Duże, o gęstej wełnie i ciężkim worku tłuszczu zwisającym zamiast ogona. I tym właśnie tłuszczem „pachnie“ tu, jak już wspomniałam, wszystko: gotowane jarzyny, mięso, ser, ciasto, trącą nim nawet — kartofle z wody.

Nie trzeba wierzyć, gdy „pod przysięgą“ zapewnią, że potrawa gotowana jest na maśle: i tak czuć ją będzie tym przeraźliwym odorem.

Krów bowiem (drobnych, burych, kosmatych) jest tu mało, toteż niezbyt czyste mleko miesza się zawsze z kozim i owczym.

Rezultat: wszedłszy do sklepu po cukier, skompromitowałam się publiczną „podróżą nad morze“, na tej samej ladzie bowiem sprzedawano... pierwszorzędne masło.

* *
*

Mój znajomy „aszpaz“ Sejfulla „okazał się być“ Ahmedem. Wydało się to niespodziewane, gdyż na

skutek bójki z szoferem (żadnej na świecie przyjaźni nie można ufać) wezwany został do „Nazmije“: — Dlaczego mnie oszukałeś — pyta surowo zdumiony pracodawca, ferenghi.

— Cóż chcesz „arbab“, wy przekręćcie zawsze imiona, a przyznasz, że to nie jest przyjemne. Wolę gdy kaleczycie imię cudze. Wszyscy tak robimy.

* *
*

Żar — upał — piekło —

W sali restauracyjnej wiruje z furią 5 wentylatorów, które obracają się również około swej osi i właściwie czas schodzi na oczekiwaniu, kiedy też „nadjedzie“ znów w moją stronę?

Stałam się już chytrym teharańskim wygą: o każdej porze dnia i nocy i w każdym lokalu zamawiam jedynie herbatę, tosty, kompot.

I teraz na przykład, ze złośliwą satysfakcją patrzę na starszego pana przy sąsiednim stoliku. Podano mu całą tacę przekąsek. Jest wyraźnie głodny. Łapczywie chwytta jeden półmisek za drugim i niesie je... do nosa, by ze zrozpaczoną miną odstawić jak najdalej.

Nowicjusz. Łudzi się jeszcze, że można uniknąć „atmosfery barana“.

* *
*

Rozbolał mnie ząb i koniecznie muszę iść do apteki. Jest, a jakże! nawet bardzo dobra, nazywa się niemiecka i można się tam rozmówić po francusku.

Tylko koniecznie trzeba trafić. Właśnie... Dochodzi 1-sza, wobec tego niepodobna złapać dorożki i nikogo nie ma na ulicy. A byłam przecież mało 5 razy, lecz wszystkie domy są tu identyczne i zapamiętać cośkolwiek...

Na wielkich szyldach, na ścianach, wiją się ozdobne i tajemnicze, irytująco niezrozumiałe, arabskie litery. Numerów nie ma, zresztą choćby były — są równie niepojęte. Za to jest 45⁰ w cieniu, a trzeba schylać się i pod zapuszczonymi żaluzjami dojrzeć, gdzie stoją słóiczki!

Chyba, że mnie trafi szlag, a wtedy policja pewno w pierwszej chwili odniesie trupa do apteki. Tylko, że wtedy przestanie już boleć ząb!

O międzynarodowy wynalazku Guttenberga!!

Dowód prawdy: ogłoszenie w „Journal de Teheran“: „najlepszy skład etc. etc... druga ulica na prawo, za tylnym murem poselstwa angielskiego, pierwszy skręt na lewo, trzeci dom od rogu, drugie wejście, drzwi koloru kremowego“.

A poczta w stolicy dochodzi pierwszorzędnie.

* *

*

„Słuchaj espèce d'idiot!“ pouczał francuski oberżysta swego pomocnika, „nie pytaj mnie nigdy o ceny: nie ma pokoju za franka lub za ludwika — il n'y a que des gueules a 5 louis et des gueules à 100 sous!“

Tej samej zasady trzymają się ściśle irańscy kupcy. Dlatego niepodobna się dokładnie zorientować w cenach.

„Ja płacę trzy tomany*) — oświadcza mi znajoma Francuzka — a Persowie płacą zapewne połowę“.

Nie przyznaję się, że zapłaciłam trzecią część, po co mam ją denerwować?

Widocznie je n' ai qu'une gueule à cents sous.

* * *

*

Moja znajoma ma psa. Wielkie, wspaniałe zwierzę, kudłaty pies nomadów. Bardzo go lubię i zdarza mi się wyprowadzać go o wieczornym chłodzie na spacer.

A psy, pod każdą szerokością geograficzną mają, okazuje się, te same zwyczaje. I mój Mah-mal, zobaczywszy długi, jasny, a gładki mur, przystaje w specyficznych celach.

Pech chce, że jest to właśnie tylny mur angielskiego poselstwa. Zjawia się policjant, oświadcza, że natychmiast wraz z psem udać się muszę do komisariatu, że

*) Toman = 10 rls = około 3 zł 33 gr.

jestem bardzo winna, że nie powinnam była psu pozwolić na „tego rodzaju postępowanie“ etc. etc. Umyślnie został tu postawiony, na życzenie Anglików, by uchronić „wyżej wspomniany mur“ od nalepiania ogłoszeń i innego zniszczenia.

Bronię się jak lew. Do komisariatu nie pójdę, bo to strasznie daleko, kary płacić nie chcę. Dla psów (jak zresztą i dla ludzi) nie ma przecież w Teheranie specjalnych „urządzeń“, jakże więc biedne psisko (i ja z nim) ma wiedzieć gdzie mu wolno się zatrzymać... gdzie nie, i który mur podlega specjalnej opiece?

„No właśnie ten, mur angielskiej ambasady“.

„A inne nie?“

„Nie! gdyby hanum poszła z pieskiem kawałeczek dalej, o! choćby tam, pod mur poselstwa tureckiego — tam już wolno!“

Voilà ce que c'est le prestige des nations!

* *

*

„Ab giarm!“ wykrzyknął radośnie kelner, zrozumiawszy nareszcie o co mi chodzi „ab giarm! hejli hub!“

A więc gorący — to giarm. Ciekawe...: giarm - warm, dochtar - Tochter, nyst - nicht, haft - acht etc. etc. Już Leibnitz posuwał się do twierdzenia, że znając dokładnie niemiecki, z pewnym wysiłkiem zrozumieć można i utwory staro-perskich poetów. Jest w tym oczywiście

znaczna przesada, tym niemniej „farsi“*), więcej niż którakolwiek mowa wschodu bliski jest języków germańskich. Ma on ok. 20000 — 25000 słów, z których 4000 jest niesłychanie do niemieckiego zbliżonych.

Dzisiejszy język perski rozwinął się z języków „farsi“ i „pehlevi“ (bardzo bliski sanskrytu), którym do dziś mówią mieszkańcy położonej w niedostępnych partiach Elburcu wioski Massule.

Farsi (perski) jest prócz cesarstwa Iranu również językiem wykształconych sfer Afganistanu, Beludżystanu, a nawet części Indii.

* * *

*

„Chce pani zobaczyć prawdziwie piękne perskie pismo? Niech pani spojrzy“.

We wnętrzu muru siedzi na podgiętej nodze, oparłszy papier na drugim kolanie, uliczny pisarz.

Porozkładał wokół długie, pięknie malowane piórnik, kute kałamarze i ćwiartki papieru. W tej skomplikowanej pozycji trwa cały dzień.

Przychodzą doń wszyscy nie posiadający trudnej sztuki pisania (jest takich wielu) i powierzają mu swe sprawy, dyktują umowy, kwity, listy.

Kaligrafię ma mieć naprawdę piękną. Dlatego, że pisze „na kolanie“ — zapewnia.

*) Farsi — perski, język klas wykształconych.

— Na stole „ferenghich“ niepodobna pięknie pisać „farsi“ — dodaje.

* *

*

Pierwszej organizacji celnej dokonali w Iranie Belgowie. Wówczas taryfy etc. pisane były — oczywiście — po francusku. Następnie urzędy ceł i opłat przejęli Persowie, przy czym ustawy i t. p. przetłumaczono, oczywiście, na „farsi“.

Nadszedł jednak moment, że dla reorganizacji wezwano ponownie ekspertów Belgów. I znów retro przełożyć trzeba było taryfy na europejski język.

Urzędnik spełniający tę pracę wspomagał się słownikiem. Słownik, dobra rzecz — tylko wynik nie zawsze ścisły. I tak: soutien — gorge, zamienił się w tych potrójnych przekładach na „attache - mammelles“.

* *

*

Koło Teheranu leży niewielka wioska Szach-ab-del-azim, miejsce pobożnych pielgrzymek.

Ab-del-azim łączy ze stolicą pierwsza bodaj w Iranie kolejka. Budowało ją przed laty towarzystwo belgijskie. Dzieło to uznano za „wyczyn“.

Bowiem nie istniały wówczas szosy i wszystko bez wyjątku transportowano na wielbłądach.

Lokomotywa, choćby zdemontowana, choćby niewielka, ale bądź co bądź lokomotywa — na wielbłądzie — tableau!

* *

*

„Widziała pani drogę żelazną Bander — Szach — Teheran?”

„Tak, prawdziwe arcydzieło nowoczesnej techniki”.

„A wie pani komu winno by się postawić za nią pomnik?”

„No... może europejskim inżynierom...”

„Eh!...”

„Robotnikom?”

„Skądże!... Osłom!!... Bez osłów, nikt by tej, fantastycznie trudnej kolei nie zbudował”.

Istotnie. Setki i tysiące osiołków białych, brunatnych, szarych, dużych i małych, cierpliwie, wytrwale, dźwigając potężne ładunki, wspinało się po niedostępnych zboczach nad przepaściami, nad skalnymi rozpadlinami, poprzez które przerzucano kolosalne wiadukty. Podobno nawet moc ich zginęło.

Rozmaitych ras tych długouchych przemiłych zwierząt jest w Iranie, jak mówią Persowie — tyle ile charakterów ludzkich.

Są duże, białe, wytrwalsze od koni osły znad zatoki Perskiej, cenione podobno do 600 zł za sztukę, są jasno

szare i prawie czarne, brunatne i bure, dziesiątki i dziesiątki odmian i rodzajów.

Ponieważ nie używa się tu wozów (prócz małych dwukołowych do wożenia kamieni), osioł to zasadniczy „środek transportowy“, zwłaszcza na małe dystanse, na wielkich bowiem krążą ogromne kamiony. „Iszak“ nosi słomę, siano, żwir i kamienie, drzewo i towary, owoce i dywany etc. etc.; jest on najcharakterystyczniejszą postacią irańskich dróg, ulic, ścieżek.

Przed moim oknem niwelują ulicę. Przedsiębiorca przyprowadził właśnie karawanę białych osiołków. Na niektórych znać jeszcze świetną, wierzchową przeszłość, mają bowiem nogi farbowane henną na rudo.

Teraz przenoszą ziemię. Wystarczyło raz poprowadzić i zatrzymać je we właściwym miejscu, następnie już, odniósłszy swój ładunek kosztów, zawracają i stają same gdzie trzeba, podstawiając cierpliwe grzbiety pod nowe ciężary, choć poganiacz siedzi w cieniu przy murze.

Są zawsze zadumane, nieco smutne, a idąc kiwają filozoficznie ciężkimi łbami, na których, koło uszu barwią się niebieskie „firuze“ (turkusy — rozumie się sztuczne), który każdy szanujący się „czarwadar“ zakłada swoim zwierzętom na szczęście — własne oczywiście.

* * *

*

Trudno sobie wyobrazić większą, bardziej prawdziwą i głębiej odczuta godność, niż godność wielbłąda.

Wyniosłość z jaką to karykaturalne bydlę spogląda na ludzi, zwierzęta, cały świat, nie da się z niczym porównać.

Właściwie jest on zawsze, już z góry, obrażony i zawsze robi łaskę, nawet wtedy, kiedy (przepraszam za drastyczność) robi co innego. Ma bowiem przy tym również tak zarozumiałą minę, jakby co najmniej wykrywał nowy a zasadniczy porządek społeczny.

Nie wiem czemu wielbłądy, które widywałam w rozmaitych zoo nigdy podobnie wyniosłego wyrazu nie posiadały.

„Szoter“ mają jakoby niezwykłą pamięć i nigdy doznanych krzywd nie zapominają. Cytowano mi wypadek, gdy w Kerman podczas targu, jeden z wielbłądów wyrwał się nagle trzymającemu go chłopcu i błyskawicznie rzucił w tłum, gryząc, tratując i gniotąc twardą pierś jednego z ludzi.

Zanim zdołano opanować rozszalałe zwierzę, kopyta, zęby i rogowe stwardnienie, zamieniły człowieka w bezkształtną krwawą masę.

Okazało się, iż przed laty dwoma, był on właścicielem owego dromadera, obchodził się z nim źle, dręcząc i krzywdząc bezustannie.

Gdy w białym świetle księżycy mija nas karawana (wielbłądy idą tylko nocą), za każdym krokiem rozszerzają się płaskie kopyta, jak rozdeptane pantofle starej żydówki, a małe łby kołyszą się rytmicznie, na długich szyjach, otoczonych dzwonkami i dzwoneczkami.

A prześliczny ich, trochę głuchy, dźwięk tworzy harmonijny, rozsypujący się w rytmiczne tony, akord.

Długi rząd poważnie kroczących jedno za drugimi zwierząt ma taki czar i wdzięk rzeczy dawnych, niezmiennych, że turysta odżałować nie może, iż nowoczesne środki lokomocji, poczynają już wypierać — przynajmniej w niektórych prowincjach Iranu — spokojne, godne karawany wielbłądów.

* *
*

Legenda Perska mówi: Allah ma wiele, bardzo wiele imion, lecz jedno z nich tylko jest imieniem prawdziwym. Nikt go nie znał, nikt wypowiedzieć nie umiał, prócz jednego świętobliwego mułły, któremu wielki Bóg powierzył tę tajemnicę.

I zdarzyło się raz, iż mułła długą, długą i ciężką odbywał drogę. A gdy znalazł się na olbrzymich, bezwodnych pustyniach południa, wielbłąd jego wyczerpany straszliwym trudem, padł martwy.

I rzucił się na kolana świętobliwy mułła i bił czołem o ziemię, błagając o pomoc Allaha, aż w poszumie wichru usłyszał głos: „wszak znasz prawdziwe imię moje!”.

Porwał się mułła i pochyliwszy do ucha zwierzęcia, wyszeptał imię Allaha. A wówczas życie na nowo wstało w członki wielbłąda i powstał z ziemi i doszedł do najbliższej oazy.

Lecz wtedy zdarzyło się, iż mułła nagle zachorował i umarł, nie zdążywszy nikomu zwierzyć swej wielkiej tajemnicy, nikomu — prócz — wielbłąda.

A wielbłąd powtórzył wszystkim braciom swoim, wielbłądom, imię Allaha. I znają je tylko wielbłądy i dlatego tak dumne są i wyniosłe i dlatego, bojąc się zapomnieć, poruszają bezustannie wargami wciąż powtarzając, po cichu, wielkie imię Boga.

* *
 *

Lud jest biedny, lud jest nędzny, a jednak lud jest uczciwy. W stosunku do naszych np. warunków, nawet bardzo uczciwy, zwłaszcza w głębi kraju. Oczywiście, zawsze zdarzyć się może, że „coś-gdzieś-komuś-jakoś“ zginie, ale są to zwykle rzeczy drobne.

A już np. w drodze karawaną, powierzyć można czarwadarom wszystkie rzeczy bez żadnej obawy: dowiozą i oddadzą w porządku — tego wymaga honor karawany.

Zdarzyło się nawet, iż przewodnicy wioząc żywności, przymierali głodem. Juków jednak nie tknęli — cudze.

* *
 *

„Wspomniała pani, że jesteśmy pozbawieni auto-krytycyzmu. Zupełny fałsz! Zdajemy sobie znakomicie

sprawę z rzeczywistości“. Peroruje miły i wykształcony monsieur T., młody architekt, który zaledwie wróciwszy ze studiów w Europie, otrzymał już bardzo wysokie stanowisko.

Iran cierpi na brak własnych fachowców i wszyscy „świeżo upieczeni“ inżynierowie, technicy etc. są po prostu rozchwytywani.

Rzadko kiedy studia poparte są odpowiednią praktyką, co przy tutejszej skłonności do powierzchownego patrzenia na sprawy, przy braku wytrwałości w samokształceniu etc. nie zawsze daje wynik szczęśliwy. Ale na razie nie ma czasu — potrzeba ludzi.

Z panem T. jedziemy obejrzeć pałac, który zamieniony zostanie na sanatorium. Mówimy o architekturze.

„U nas buduje się zawsze na lata i wieki“ głosi z dumą monsieur T.

Dojeżdżamy. Podziwiam piękne położenie, harmonijne linie etc.

„Dużo tu jednak będzie pracy“ mówię patrząc na „wybrzuszone“ ściany, zrysowane sufity etc.

„Cóż pani chce! Pałac musi się walić, ma już przecież ze trzydzieści lat“.

...Budujemy zawsze na lata i wieki...

...Tak. I mamy dużo autokrytycyzmu.

* *

*

„Irańczycy mają bajeczną zdolność adaptacji“.

Słusznie. Można się o tym przekonać na każdym kroku. I to adaptacji powierzchownej, nie zmieniającej w niczym ich rzeczywistych, wewnętrznych uczuć, myśli, zwyczajów.

„A czy zauważyła pani, jak niezwykle przystosowały się kobiety do europeizacji strojów? przecież elegancja teherańskiej ulicy, niewiele różni się od elegancji Paryża“.

Czuję, że nabieram baraniego wyrazu twarzy. Mój rozmówca pan E. spędził 20 lat w Szwajcarii, zna Europę jak własną kieszeń, widzę zaś wyraźnie, że mówi serio!

A w oczach staje mi typowy teherański obrazek: rano, rozżarzoną od słońca chodnikiem kroczy dama, w ogromnym kapeluszu, w źle skrojonej długiej jedwabnej sukni, bawełnianych rękawiczkach i sportowych butach.

Tyle jest tu istotnych i prawdziwych kulturalnych zalet, pocóż podszywać się pod nieudane, zachodnio-europejskie właściwości?

* *

*

„Co za upał!“

„U was w lecie też j est gorąco“.

„Sand-flys'y *) to plaga“!

„U was też są komary i muchy“.

U was też, u was także, u was przecież...

Poczucie wartości własnego narodu, poczucie prawa do znaczenia w nowoczesnym świecie, jest tu tak wielkie, tak rozpowszechnione, że aż zanadto, aż zbyt fanatycznie. Nie można wspomnieć o lądowym klimacie, czy o trudnościach irygacji, by nie narazić się na agresywną odpowiedź: „a przecież u was...“

Stwarza to jakąś „nadwrażliwość godności narodowej“, która z czasem poczyną na cudzoziemcu czynić wrażenie jakiegoś generalnego „Minderwertigkeitskomplex'u“.

* *

*

Pieniądz to potęga. Ale na wschodzie potęga jego wzmagą się i podnosi stokrotnie.

„Niestety... korupcja...“ wzdychają Irańczycy. „Tak tak, słabość charakterów, przekupstwo...“ powtarza misjonarz. „Chwalić Boga są łapówki“, cieszy się europejski aferzysta, nie mogący legalnie załatwić swych spraw. A żona wielkiego dygnitarza policji, na pytanie, co się dzieje z aresztowanym panem X., odparła z rozbrajającą szczerością: „Dał mężowi tysiąc tomanów, więc go wypuścił“.

*) T. zn. pchły piaskowe, rodzaj maleńkich muszek.

* *

*

„Czy myśli pani, że my, nie przywykli do tej piekielnej temperatury, południa Iranu pracujemy tu gorzej?“ — szwedzki inżynier patrzy na mnie groźnie — „Przeciwnie! jeżeli w czasie kanikuly wydam rozporządzenie europejczykowi — wykona. Pers trzy razy na cztery odpowie: „fardah, postfardah“ *) i w rezultacie nie zrobi nic.

Klimat, warunki życia, przeżarły ich wolę, ich siły. Są bierni, apatyczni, leniwi. I dotąd nie mogą się z tego otrząsnąć.

* *

*

— Słyszałam, że mahometanie są na ogół niezwykle dobrymi ojcami.

— Wie pani... — wielki „raiss“, który pół życia spędził w Europie i potrafi wczuć się w zachodni sposób myślenia — zastanawia się chwilę — wie pani, europejscy są może równie serdeczni i opiekuńczy dopóki dziecko jest małe, bo potem gdy dorośnie...

— Jakto?

*) Jutro, pojutrze.

— No tak, gdy dorośnie, opuszczają je.

— Nie rozumiem.

— To przecież proste. U nas władza ojca, ale i jego opieka materialna trwa do śmierci. Cóż pani chce! ja mam lat pięćdziesiąt i wszystko co do grosza dostaję, wyraźnie dostaję, od ojca.

Obstupui! Wiem, że mój rozmówca jest człowiekiem niesłychanie bogatym, ale wszystko to (poza pensją dyrektorską, którą przypuszczalnie pobiera już samodzielnie), jest właściwie — darem.

W Persji ojciec do śmierci ma w ręku fortunę, nie usamodzielniając synów i trzymając ich do końca w stosunku materialnej zależności.

Zaznaczyć trzeba, że, o ile panuje zgoda, mowy nie ma o skąpstwie, wprost przeciwnie, hojność bywa wielka, jedynie despotycznej, patriarchalnej, władzy, musi stać się zadość.

* *
*

Ibrahim-khan, perski sekretarz mego znajomego, jest człowiekiem ubogim. Pracuje ciężko i każdy grosz jest dlań ważny.

Podczas przypadkowej wizyty, okazało się, iż dom ma pełen gości.

— U mnie zawsze tak! — mówi z westchnieniem Ibrahim, wskazując na rozsiadłe w ogrodzie liczne grono mężczyzn i rozmawiające w pokoju obok kobiety.

— Ależ... Ibrahim! w ten sposób nie może pan przecież pracować!

— Nie mogę! ale nie mogę ich również usunąć, to krewni moi i żony. Nie ci, to inni przychodzą codziennie.

Obliczam szybko: „na oko“ jakieś 10 osób. — Wiesz.

— U nas jest zwyczaj gorącego podtrzymywania rodzinnych stosunków — dodaje jeszcze Ibrahim na pożegnanie.

— Ma chłop szczęście, że posiada jedną tylko żonę — stwierdza za progiem mój towarzysz.

No jeżeli tak jest wszędzie...

I w tej chwili przypominam sobie słowa Francuzki, żony Irańczyka, mówiącej mi prawie ze łzami.

— W Paryżu byliśmy tacy szczęśliwi! A tutaj... niech pani pomyśli: tylu krewnych i wszyscy wciąż są u nas i wszyscy „mają coś do powiedzenia“ — terrible!

Bliskie stosunki rodzinne to piękna rzecz. — Terrible!

* *
*

Niemiec pochyła się ku mnie konfidencjonalnie i choć sami jesteśmy w pokoju, zniża głos.

— Radziłbym jednak uważać na to, co pani pisze, nawet w prywatnej korespondencji.

— Jako?

— No, nie mówić nic, nic ujemnego, tu jest ostra kontrola listów.

— ?

— Tak. Robiliśmy nawet próby. Do zaklejonej koperty wkładało się zaproszenie, dla ówczesnego cenzora niemieckiego z głównej poczty. I przychodził! Zupełnie otwarcie!

— Ale jeśli coś się władzom nie spodoba — przecież nie skonfiskują?

— No... nie. Wyślą, ale obrzydzą życie, sama pani wyjedzie. Bardzo prędko.

Jestem zaskoczona...

— I na miłość boską! żadnego nazwiska europejskiego! W ogóle niech pani uważa. Zwłaszcza w gazetach. Każdy europejczyk, z którym pani tu rozmawiała, mógłby ruiną swoich interesów, odpowiedzieć za pani nieostrożne słowa.

— Przesada! Skądże mają wiedzieć, kogo tu poznałam.

— Pani żartuje! oni wiedzą wszystko. Czy zdaje sobie pani sprawę ilu tu jest szpiclów, konfidentów, prowokatorów i donosicieli? A zresztą policję mają znakomitą, to trzeba przyznać. Policja wie wszystko.

Jestem zaskoczona, trochę przerażona i — wściekła.

Mam wrażenie, że nałożono mi kaganiec. Trudno — nie wszystko mi się tu podoba.

Wracając do domu — rozmyślam. A może to wszystko przesada?...

I w tej chwili stają mi przed oczyma niespokojne spojrzenia, rzucane na wszystkie strony, przez młodych rozmówców, gdy tylko zaczęłam o sprawę ustroju, rządów, władzy. Przypominam sobie prasową historię paryską, z jej nieoczekiwanymi konsekwencjami osobistymi dla pewnych osób, rozdygotane ręce i zbladłą twarz wielkiego „raissa“ na wiadomość, iż stawić się musi na wezwanie „wysokich władz“, opowiadane mi zgodnie przez wielu ludzi, fakty niezwykłego upadku jednych fortun, a wzrostu innych, fakty niepojętych dla nas metod i „pouczeń“, i nade wszystko — ten strach, strach, strach, przed „władzą“, strach wyglądający z wielu Irańskich oczu i słów, strach znacznie dominujący nad uwielbieniem.

Ale jednocześnie przypominam sobie historię tego kraju i słowa jednego z badaczy Azji: „dla narodów wschodu despotyzm jest koniecznością. Bo nie przemoc stwarza bierność ludu, lecz ta właśnie bierność musi wywołać despotyzm“.

Despotyzm... Dyktatura... jak to określić... Aha! dyktatura, to szczyt władzy, despotyzm, to szczyt przemocy.

Uf! jak duszno!! Jest 12-a w nocy, a upał właściwie nie minął... Tak trudno dziś na świecie o szeroki, swobodny oddech.

...I nagle — tak ot! bez związku — przypomina mi się zdanie wysokiego Irańskiego dygnitarza, który w rozmowie ze mną, oświadczył z oburzeniem.

— Niech pani sobie wyobrazi! W Paryżu spytał mnie ktoś, czy mamy tu monarchię absolutną! absolutną! po nadaniu konstytucji! Europejczycy bywają rozbrajająco naiwni! Jak mówi nasze przysłowie: przy siódmej ciąży twierdzi, że jest jeszcze dziewicą!

Rządy absolutne, w kilkanaście lat po nadaniu konstytucji! Ah! ces européens!

Tak... europejczycy bywają rozbrajająco naiwni...

...Nie oni jedni.

12. ODSŁONIĘCIE KOBIETY

„Odsłonięcie kobiety“ nastąpiło w Iranie w r. 1935. Jeżeli zatem dziś na uniwersytecie Teherańskim (Ecole supérieure) znajduje się 80 studentek, jeżeli dwie kobiety są tam profesorami (M-me Pakrévan i M-me Fatimeh Sayah), to postęp jest doprawdy olbrzymi.

M-me F. jest tak uprzejma, że zgadza się udzielić mi szeregu informacji, oraz pokazać kobiecie stowarzyszenie stolicy: Kanuné Banewan.

Liczy ono 200 członkiń, aczkolwiek założone zostało zaledwie przed dwu laty. Obejmuje sekcje: literacką, dobroczynną, opieki społecznej, sportową (!) i teatralną. Prócz tego zajmuje się kształceniem dorosłych alfabetów.

Założono również w Iranie dla kobiet skauting, na którego czele stoi najstarsza córka szacha, księżniczka Szamss.

W wygodnych fotelach urządzonego „moderne“ lokalu stowarzyszenia, przy znakomitej herbacie, lekko płynie rozmowa.

— ... i niech pani pomyśli: nasze członkinie, to kobiety bardzo przeciętne, nie wybitne, ani wykształcone,

a z jaką swobodą przystosowują się do swych nowych praw.

— Czy tak jest w całym kraju?

— No... w całym kraju... Ale tutaj...

Tak o prowincji, o bardziej zapadłych kątach lepiej jeszcze nie mówmy.

— Dawniej, za czasów „czaduru“ *) istniały już urzędniczki i nauczycielki, pracowały jednak wyłącznie w dziedzinie oświaty, w szkołach żeńskich. Dziś są nawet profesorkami w męskich gimnazjach. Tylko, niestety! nawet te, tak wyemancypowane, że pracują, otrzymują najwyżej 50% zapłaty mężczyzn.

— A jak przyjął ogół „wielką reformę“ zdjęcia „czaduru“?

Moje rozmówczynie wybuchają śmiechem. Obie wychowane w Europie, odczuwają całą zręczność z jaką tę trudną i delikatną sprawę przeprowadzono, odczuwają nawet momenty komiczne.

Upřednio już noszenie czaduru stało się rzeczą dowolną, choć w 90% stosowaną. Teraz przede wszystkim, nieoficjalnie lecz stanowczo, polecono kobietom pracującym w dziedzinie oświaty, tak nauczycielkom jak urzędniczkom, zrzucanie zasłony. Potem małe dziewczynki z pierwszych klas szkół powszechnych, przychodzić musiały na lekcje z odsłoniętymi twarzami.

*) Wielka zasłona, okrywająca kobietę od stóp do głów — dziś skasowana.

Następnie z prawdziwą finezją, wydano olbrzymie przyjęcie dla członków parlamentu. Do każdego wysłano imienne zaproszenie, zaznaczając, że przybyć ma z żoną. Żoną! która nigdy dotąd nie pokazywała się w towarzystwie, która nawet na ulicy nie mogła pojawić się z mężem!

—Oczywiście każda z wezwanych rozumiała dobrze, iż przyjść można tylko w stroju europejskim.

Wieczór przyjęcia, na placu Medžiles*), zebrały się olbrzymie tłumy. Trzeba sobie zdać sprawę, że sensacja była równie wielka, jak gdyby u nas, damy z towarzystwa przybyć musiały półnago.

Po owym słynnym wieczorze w parlamencie, przyszła kolej na ministerstwa i urzędy. A zapraszani byli wszyscy bez wyjątku, od woźnych do ministrów. Nikt oczywiście nie śmiał wezwania nie posłuchać, oznaczało to bowiem narażenie się władzy. Przyjąć takich oficjalnych i celowych, urządzono cały szereg, przyzwyczajając powoli „naród“ do ukazywania i oglądania kobiecych twarzy.

Powstał jednak wielki odłam kobiet, niezależnych od nikogo, na które nie można było wpłynąć bezpośrednio.

I znów nie wydając żadnych „nakazów“, wydano cały szereg „zakazów“, dla kobiet w czadurach. A więc kolejno: nie pozwolono im wchodzić do restauracji i kawiarni, do sklepów i kin, do urzędów i do wielkie-

*) Plac Parlamentu.

go Bazaru. Wreszcie zabroniono im nawet... pokazywać się na ulicy. Fanatycznym miłośniczkom mahometańskich tradycji, pozostał tylko własny dom i zamknięty ogródek.

Dziś nieeleganckie jeszcze i niezręczne, z obcięzonymi włosami i w przydługich sukniach, krążą młode dziewczęta i kobiety irańskie po ulicach stolicy, z odsłoniętą twarzą.

I tylko czasem przesuwa się chyłkiem pod murem kobiecinka, usiłująca rogiem kołnierzyka letniej europejskiej sukienki osłonić ową nieszczęsną, jak że „wstydliwą“ — brodę.

Tylko czasem, a jednak...

13. BEZ CZADURU

Znikły z ulic Teheranu, Ispahanu, Szirazu tajemnicze, w czarny jedwab „czadurów“ owite postacie. Ich miejsce zajęły szczupłe, o wąskich ramionach, drobne kobiety, przybrane w przeważnie źle skrojone i źle noszone europejskie, tandetne szmatki.

Persjanki są na ogół nieładne, często wprost brzydkie, jedyną ozdobą wąskiej twarzy, o zbyt dużym nosie i szerokich ustach, są przepyszne, lśniące, aksamitne, czarne oczy.

To też, gdy oczy tylko, widać było między zwojami czarnej zasłony, posiadały irańskie kobiety niezwykle czar, niesamowity wdzięk. Teraz straciły oczywiście trzy czwarte swojej atrakcyjności, zwłaszcza dla Europejczyków.

Ale odrzuciwszy powierzchowne wrażenia, przyznać trzeba, że zdjęcie „czaduru“ to dla perskiej kobiety olbrzymi krok naprzód. Wszak za tym idzie, przynajmniej teoretycznie, możliwość pracy, możliwość obejmowania niektórych posad biurowych etc., a więc „przyszłość“, a więc choćby za szereg lat jeszcze „swoboda życia“.

Bo dzisiaj...

Patrzę na wszystko przez pryzmat pojęć bardzo europejskich, bardzo nowoczesnych i bardzo niezależnych, dlatego więc tak często wstrząsam się z oburzenia. Przewaga ilościowa Persjanek, której cyfrowo określić niepodobna, wobec braku właściwego spisu ludności, a także i przede wszystkim długie wieki Islamu sprawiły, że stanowisko kobiet jest... pardon! właśnie, że „nie jest“, nie ma go, nie istnieje.

Kobieta do dziś dnia, nawet dla tych wszystkich postępowych, a zatem areligijnych Irańczyków, to stworzenie przyjemne, czasem nawet zajmujące, ale przecież stworzenie — nie człowiek.

Oczywiści, temu stworzeniu niech będzie jaknajlepiej, uznaje się więc prawa chroniące kobietę, często głosi stosunkowo nowoczesne teorie, ale dziesiątki lat jeszcze miną, zanim ci najbardziej „moderne“ Irańczycy przestaną traktować kobietę, w najlepszym razie, z pobłażliwym uśmiechem.

Przyznać trzeba, że i Persjanki również dorosnąć muszą do tej chwili. Przez lata i wieki oddzielona murem zakazów i przesądów od nauki, wykształcenia, nawet i sztuki a służące tylko do rozrywki i rozkoszy, umieją kierować swoje zainteresowania, rozmowy, dążenia przeważnie w tym tylko kierunku.

Oczywiście mówię o szerokich masach, nie o wybitnych, wykształconych i przodujących jednostkach, czy nawet grupach.

Za pośrednictwem zamieszkałych stale w Iranie Europejek, udało mi się poznać kilka kobiet z przeciętnej, średniej sfery. Zdumiała mnie doprawdy „jedno-kierunkowość“ ich rozmów!

Jest to wrażenie niezmiernie powierzchwone — prawda. Lecz opinia wszystkich Europejczyków i wszystkich bez wyjątku Irańczyków, których o to pytałam, streszczała się w zdaniu: „Niesłychane ograniczenie umysłowe“.

Jakże jednak mogłoby być inaczej? Wszak kobieta perska od niedawna zaledwie widuje przed ślubem swego przyszłego małżonka, wszak dotąd jeszcze niczym się właściwie interesować nie może, poza dziećmi, domem, gospodarstwem, ale i tu nawet nie ma pełnej swobody działania: w wielu jeszcze rodzinach „pan i władca“ daje np. pieniądze na każdy sprawunek z osobna. Czyż bowiem „hanum“ może posiadać dość rozumu, by rozdzielić samodzielnie większą sumę?

Nawet „aszpaz“ (kucharz) lekceważy jej rozporządzenia, dając często odczuć, że przecież „on“ jest mężczyzną! Na tego rodzaju trudności skarżyła się żałośnie przede mną żona lekarza perskiego z Teheranu.

Głos matki, w zasadniczych sprawach dotyczących dzieci, nie może być decydujący. I cóż jej zatem zostaje? co mogło wyrobić umysł, sąd, zamiłowania?

Rozrywki? życie towarzyskie? do dziś dnia, mimo usiłowań sfer przodujących, w klasie średniej, prawie ono nie istnieje. Kobiety siedzą w domu, wielu mężów

bowiem, zwłaszcza na głębokiej prowincji, kazało wprawdzie żonom zdjąć „czadury“, ale nie pozwala im teraz wcale pokazywać się obcym, tak, że posłuszne ślepo niewiasty, wychodzą jedynie w razie najzupełniej niezwalczonej konieczności.

Do kawiarni, restauracji, nawet „te więcej postępowe“ nie uczęszczają, choć teoretycznie, mogłyby to czynić. W lokalach Teheranu rodowite Persjanki są jeszcze niezwykle wyjątkiem, tym bardziej oczywiście nie ma ich na dancingach, na których zresztą nie wolno tańczyć nawet mężczyznom irańskim.

Pozostaje kino. Tak. To też kino to zamięłowanie, pasja, namiętność. Do kina uczęszczają kobiety wszelkich środowisk, stanowisk, wieku etc. W pięknych teatrach świetlnych Teheranu, czy skromnych instalacjach na prowincji, wszędzie widzieć można starsze babcinki, zasłaniające szalikiem „bezwstydnie obnażoną“ z „czaduru“ brodę i matki z niemowlętami na ręku i kilkunastoletnie dziewczęta.

One to właśnie, te najmłodsze, to przyszłość „kobiety Iranu“. Bo największa bodaj trudność, na jaką natrafiają reformy obyczajowe wielkiego Szach Reza Pahlevi, to owa bierność szerokich mas kobiet, w średnim i starszym wieku, uważających swoją zależność i skrepowanie za rzecz słuszną i zrozumiałą.

— Cóż pani chce — mówiła do mnie wykształcona w Europie doktorka — my nie jesteśmy takie wymaga-

jące, jak wy. My nie jesteśmy wcale wymagające! — dodała z westchnieniem.

A dziewczęta perskie — przynajmniej niektóre, przystosowując się do nowych pojęć z szybkością, dowodzącą, jak łatwo adaptują się kobiety wszelkich ras, już potrochu i nieśmiało oburzać się poczynają na niewolę swych matek i babek.

Same są jeszcze do dziś pod bezwzględną i despotyczną władzą rodziców (póki nie wyjdą za mąż, właściwie ruszyć się nie mogą), ale już myślami przynajmniej rozsadzają pręty swej klatki.

A że ta klatka dotąd istnieje... hm... razi to moje uczucia wolnego człowieka, ale zmysł słuszności nakazuje wyznać, że... kto wie, może czas jakiś jeszcze jest ona potrzebna.

Bo zdjęcie „czaduru“ troszeczkę „wysadziło z szyn“ pojęcia i granice rzeczy dozwolonych.

Trzeba sobie przecież uświadomić, że zasłanianie twarzy, szyi, karku, przez długie wieki było najważniejszą kwestią skromności. Raz np. w Kuzistanie, kobiety, przechodząc przez rzekę, z całą swobodą podniosły w obecności Europejczyków szaty aż do ramion, starrannie jednak osłaniające „czadurem“ szyję i brodę. Są to rzeczy zresztą znane, tak w dawnej Turcji, jak w dzisiejszej Arabii. Skoro więc teraz wolno oczom mężczyzn oglądać owe, tak zakazane do niedawna, tajemnice, to właściwie gdzie zatrzymać się winna swoboda?

Oto przykład, może nieco przypadkowy, ale jakże zrozumiały i ręczę, że prawdziwy: Inżynier Niemiec, wezwany na lustrację tkackiej fabryki, odbywa drogę autem dyrektora, którego żona, wracająca od lekarza, siedzi przy szoferze. Rzecz dzieje się za czasów „czadurów“ i Europejczyk zmuszony jest udawać, że nawet nie zauważył owitej w czarny jedwab postaci.

Przy następnej bytności w domu „raissa“ (dyrektora), który, jak się okazuje, był bardzo postępowym człowiekiem, zostaje mu już owa pani przedstawiona, zasiada nawet do wspólnego obiadu, aczkolwiek jeszcze w zasłonie.

W jakiś czas potem zjawia się już w sukni europejskiej i wtedy rozgrywa się pierwsza zabawna scena: inżynier (mieszkający zawsze u owego dyrektora) udaje się wieczorem do łazienki i cofa gwałtownie, zastawszy tam „hanum“ (panią) w niezmiernie przezroczystym szlafrocisku.

— Ależ proszę, niech pan wejdzie, zaraz skończę! — woła młodziutka pani i z całą swobodą, w obecności Europejczyka, kończy zbierać jakieś rzeczy.

Znów dwa miesiące czasu, ponowna lustracja i „mochandess Allemani“ (inżynier Niemiec), wchodząc do salonu, gdzie z powodu gorąca ustawiono mu łóżko, zastaje na nim... panią domu, pół obnażoną, karmiącą dziecko.

— Przepraszam, zaraz skończę — oświadcza ona spokojnie i istotnie po chwili wychodzi.

„Dowcip“ polega właśnie na tym, że było to robione z całą swobodą, bez żadnych lekkomyślnych intencji.

Po prostu zamyliły się granice. Nic dziwnego, mnie by się też zamyliły.

14. NOWE PRAWO MAŁŻEŃSKIE I „SIGHE“

— Widzi pani tę parę? To ojciec z córką.

— Ojciec?

— Tak. Jest od niej zresztą zaledwie o piętnaście lat starszy.

— Piętnaście lat? Ileż w takim razie miała matka?

— Matka? Trzynaście. Dlaczego?

Dlaczego!!! No tak, przy tym systemie nic dziwnego, że ród Kadzarów liczy jakoby 20 tysięcy żyjących członków, zwłaszcza, że taki np. Fath Ali Szach miał trzysta żon!

Dziś jednak, wedle nowego prawa, wolno ich mieć zaledwie cztery, przy tym „age noubile“ określono na 18 lat dla mężczyzn, a 16 lat dla kobiet, karząc surowo rodziców, wydających córkę za mąż wcześniej (ona nie ma najmniejszego dotąd w tej sprawie głosu).

Tyle przepisy, ale życie... Mimo szczerego wysiłku, niepodobna w lat kilka wprowadzić reformy w kraju olbrzymim, cztery razy większym od naszej np. Ojczyzny.

To też na głębokiej prowincji (w zależności od ostrej kontroli czy tolerancji władz lokalnych) małżeństwa

dzieci — i to nie fikcyjne, a najzupełniej rzeczywiste — zdarzają się wciąż jeszcze.

Daleko, na południu, przyszła do mnie pół-krwi Niemka (ojciec ormianin), akuszerka z zawodu i zaproponowała ciekawą wizytę. Poszłam w charakterze podróżującej lekarki. To, co widziałam, przeszło moje oczekiwania: trzynastoletnia matka leżała po urodzeniu syna, a w sąsiednim domu jej piętnastoletnia kuzynka, powiła właśnie drugie dziecko.

Tu byłam świadkiem ostrego napomnienia i nieprzyjemnej wymiany zdań między moją towarzyszką a ową pacjentką.

— Wie pani, o co szło — spytała mnie, wychodząc pół-ormianka, jeszcze czerwona z oburzenia — nie chce mi obiecać, że swego męża, 45-letniego człowieka, będzie „trzymała z daleka“ przynajmniej przez cztery tygodnie! a przecież ledwo wyratowałam ją z krwotoku, jaki spowodował ten brutal, nie odczekawszy nawet czterech dni od porodu! I co mi wtedy powiedziała, że nie mogła się opierać, byłby bowiem poszedł do innej kobiety i kto wie, potem może z nią się rozstał. Oh! diese unglückliche hiesige Frauen!

Tak, coż za zależność straszliwa na każdym kroku! Bo rozwód dla mężczyzny jest tu rzeczą wprost śmiesznie łatwą, dla kobiety zaś najeżony wieloma trudnościami.

I cóż z tego, że nowe prawo małżeńskie przewiduje cztery punkty, które określić przy ślubnej umowie,

którymi bronić się może kobieta? Na przykład, teoretycznie rzecz biorąc, mogłaby ona zastrzec, iż mąż jej żadnej innej niewiasty wziąć sobie nie ma prawa, w przeciwnym razie zapłacić musi wielkie odszkodowa pieniężne, dać natychmiastowy rozwód etc.

Jakież jednak warunki stawiać może przy ślubie narzeczona w kraju, gdzie niepójście zamąż jest omalże hańbą? Musi pokornie przyjąć i znieść wszystko.

To straszliwe pojęcie, o bezwzględnej konieczności małżeństwa, oparte jest na rozpowszechnionym do dziś, wśród niższych warstw, przekonaniu, że dziewczyna niezamężna musi, po prostu „musi“ skończyć na prostytucji.

Dlatego córkę, która do lat siedemnastu, osiemnastu nie znalazła amatora, oddają rodzice chętnie za „sighe“, czy żonę komukolwiek, nawet najstarszemu mężczyźnie.

Bo jeśli „pan i władca“ posiadać może legalnie tylko cztery małżonki, to tak zwanych „sighe“, czyli pobłogosławionych przez matkę konkubin, mieć mu wolno ilość nieograniczoną. „Sighe“ bierze się więc na jeden dzień, jeden rok, czy dziesięć lat, pod warunkiem zapłacenia, przy rozstaniu, określonej z góry sumy.

Mnie osobiście zdarzyło się spotkać dwa razy ludzi mających po sześć i siedem żon, jeszcze z dawniejszych czasów, a kilkakrotnie posiadających po dwie lub trzy. Licząc zaś wraz z „sighe“, widziałam człowieka trzymającego w swym domu kilkanaście kobiet, jest to jednak rzecz bardzo już rzadka.

Uderzające są tu różnice wieku. Ludzie sześćdziesięcio, siedemdziesięcio letni miewają kilkanastoletnie żony, nie mówiąc już o konkubinanach. Np. 65-letni fabrykant na południu ma piątą żonę młodszą o 12 lat od najstarszego syna. Pewien 125-letni (?) starzec z Yezd, ma 20-letnią żonę i czteroletniego syna. Wprawdzie, po pierwsze: lecząca go doktorka amerykańska zapewniała, że nie ma on więcej jak 105 (!!), a po drugie: są tu grube pomyłki z datami urodzenia. Ale nawet odliczywszy dwadzieścia czy trzydzieści procent i tak wyczyn będzie efektowny!

Podobny wypadek spotkałam w górach, a cytowano mi ich kilka. Mimo wątpliwości czy to możliwe, słuchałam zawsze z głębokim podziwem.

W owej zapadłej górskiej wiosce południa pokazywano mi również małżeństwo trzynastoletniego chłopca i dziesięcioletniej dziewczynki. Ojciec „pana młodego“ zapewniał, iż mieszkają oni razem, a życie seksualne rozpoczną zaś, gdy im przyjdzie ochota. A „ochota“ przychodzi tu pod wpływem wielu czynników wcześniej, bardzo wcześniej.

Przy tak młodych małżeństwach i łatwości rozwodów do niedawna jeszcze można było spotkać piętnastoletnie „kobiety“, trzykrotne rozwódki.

Zaznaczyć tu trzeba, że wielki Szach Reza Pahlevi surowo i energicznie tępi wszystkie te przeżytki obyczajowe swego kraju.

Ze strony czynników miarodajnych bowiem robione

są wszelkie wysiłki w celu wyzwolenia, podniesienia i unowocześnienia kobiety.

Kobiety dopuszczone są do szkół tak początkowych, jak średnich i wyższych, kobiety mogą być urzędniczkami i podobno są nimi już, choć, nigdy mi się nie zdarzyło widzieć jakiegokolwiek mimo, iż, niestety, sporo biegać musiałam po biurach.

Jednym słowem, jeśli na drogę swobodnego i, w naszym pojęciu, normalnego życia, kobiety Irańskie nie weszły jeszcze, to, w każdym razie droga ta już stoi przed nimi otworem.

15. TRON PAWIA I NAJPIĘKNIEJSZE DYWANY ŚWIATA

Konieczność udania się do pałacu Golestan o 10-ej wydaje mi się potworna. Przecie o tej porze już nie można oddychać! Ale trudno! na 10-ą dostałam pozwolenie obejrzenia tego, najciekawszego w Teheranie, „Sehenswürwigkeitu“, a skoro przyjechałam, by zwiedzać...

Ukryta pod podniesioną budą „dorożkę“, człapię powoli a długo. „Europejczycy nie chodzą piechotą“, do niedawna było to regułą, teraz jest jeszcze obowiązującym zwyczajem, tak jak obowiązującym zwyczajem pozostał przepis: Europejczyk nie kupuje żywności, tylko każe ją sobie kupować, Europejczyk nie jeździ autobusem etc. etc.

Mijamy piękną Khiabane Ferdowsi, centralny plac Tup-khane i wreszcie stajemy przed wielką bramą, prowadzącą do wnętrza pałacowych ogrodów.

Błękitną mozaiką wykładane ogromne baseny, wysmukłe zielone platany i moc różanych krzewów, usprawiedliwiają nazwę „Golestan“ i opinię najpiękniejszych ogrodów Teheranu.

Z owymi głębokimi basenami łączy się komiczne, o tragicznym zakończeniu, zdarzenie: Pierwszym władcą Perskim, który odbył podróż po Europie był Nasr-Eddin-Szach z dynastii Kadżarów w końcu XIX wieku. Osławiony szeregiem anegdot (w Warszawie obrywał drogie kamienie zdobiące jego wschodnią szatę i rozdarowywał paniom wyróżniającym się urodą) gwałtownie, a bezsensownie skupywał Europejskie „wynalazki“ i tak np. przywiózł do Teheranu mechanicznego kanarka i wielki skafander, w którym kazał dworakom opuszczać się na dno głębokiich basenów.

Niestety pierwsza próba skończyła się tragicznie: ministra wyciągnięto martwego. Okazało się, iż wszystko zrobiono wzorowo, zapomniano jedynie... o włączeniu powietrznego przewodu!

Po wielkich marmurowych schodach, wchodzimy do wybudowanego przed stu laty przez Kadżarów pałacu. Ściany, sufity, kolumny nawet wyłożone są prześlicznymi, a migoczącymi jak kryształy mozaikami z małych lusterek.

Wszędzie dywany, dywany, dywany. Na schodach, w galeriach, i w salach leżą bezcenne, w ciągu całych stuleci zbierane z najpierwszych warsztatów Persji, o rysunkach deseniach i kolorach, przypominających subtelnością i harmonią najpiękniejsze obrazy. Po prostu oczu oderwać nie można od tych zawitych ornamentów, od tej przyćmionej latami gry barw.

Zbiór dywanów z pałacu Golestan ma być jakoby najpiękniejszy na świecie.

Jesteśmy teraz w wielkiej, tronowej sali. W głębi jarzy się i mieni słynny indyjski „tron pawia“. Zdobyty w 18 wieku przez Nader-Szacha i przywieziony z Delhi, pokryty jest złotem i wysadzany nieprawdopodobną ilością ogromnych, prymitywnie szlifowanych, szmaragdów, rubinów, diamentów, wartości jakoby 300 milionów złotych. Ciężki, bogaty rysunek oparcia, zawile spirale ornamentu, nadały mu jego nazwę. Jest wspaniały, przytłaczający i wielki.

Pod ścianami tronowej sali leżą w gablotach, pokryte całkowicie brylantami szable, kosztowne egrety, bezcenne wyroby z emalii, delikatne rzeźby i miniatury.

Wraz ze mną zwiedza Golestan wycieczka finansistów angielskich, francuskich, palestyńskich. Towarzyzy im urzędnik z ministrestwa, który całym swym zachowaniem, okazuje, jak bardzo ważne zlecono mu osobistości.

Niski, gruby bankier w rogowych okularach, angielski potentat, którego oprowadzający traktuje ze szczególną atencją, stoi w zadumie przed „tronem pawia“.

„Jak pani myśli, zwraca się nagle i konfidencjonalnie, czy wszystkie te kamienie są prawdziwe?“

Nie mam już wątpliwości co do rasy! a kiedy w chwilę póniej mr. Harris przypadkowo upuścił pugilares, rozsypały się po ziemi karteczki, na których moje polskie oko dojrzało adres: „Radom, ulica Cybulna...“.

Dopomógł mi potem znaleźć auto i nawet podróży-
waliśmy razem na południe. Widocznie nie ma sposo-
bu! I w pałacu Golestan i u stóp błękitnych meczetów
Ispahanu, nie może się polak obejść bez „swojego żyd-
ka“.

16. NOCĄ PRZEZ PUSTYNIĘ

Pustynia szumi. Zerwał się wiatr i pędzi tumany piasku, uderzające z sykiem o boki maszyny. Drobnny żwir pryska z pod kół i bije o wachlarze, a w smudze światła przed nami wije się, zwęża i rozszerza, wznosi i opada, wążka wstęga szosy. Jedziemy do Ispahanu.

Po bokach drogi wyłaniają się nagle i znikają jak widma zarysy jałowych, zasypanych kamieniami wzgórz, czasem mignie wędrująca powoli karawana osiołków, czasem zahuczy pędząca w tumanach kurzu wyładowana ciężarówka.

Prędzej! prędzej! prędzej!...

Na oświetlonej tarczy zegara wskazówka szybkości drga niespokojnie... 70... 90... 95... 100... 110:::

Mam doprawdy dosyć jednej katastrofy i pomrukuje prosząco „jawasz! jawasz!“^{*}). Szofer ogląda się zdziwiony, ale jednak zwalnia — na chwilę. Skręt, serpenty — i znów gnamy w kurzu prędzej! prędzej! prędzej!!

*) powoli.

Chwilami srebrzyste tumany zasłaniają drogę i kilka sekund mkniemy w zwojach skłębionej „suchej mgły“.

Gwałtowny zgrzyt hamulców przecina monotony szum motoru i jęk wichru. Na drodze przed nami płaczą się, przesuwa i tłoczy karawana wielbłądów.

„Peder sek!“ syczy przez zęby szofer.

Godne, stateczne, spokojne dromadery nie znoszą samochodu. Spłoszone reflektorami (w lecie karawany idą tylko nocą) lub broń Boże klaksonem, zbijają się w bezładną gromadę, płaczą długie sznury i beznadziejnie „zawalają drogę“.

W tej chwili dwóch poganiaczy w szerokich niebieskich pantalonach i małych jasnych myckach, usiłuje sprowadzić na bok wystraszone i doprawdy oburzone zwierzęta.

Młode wielbłądziałko galopuje niezgrabnie i bezradnie, tam i nazad, wyraźnie nie mogąc zorientować się w sytuacji.

Przeszkoda usunięta — ruszamy. I znów syczy o blachy karoserii piasek, biją z szumem skrzydła wichru, szczękają pryskające z pod kół kamyki.

Jeden kilometr... dziesięć... dwadzieścia... pięćdziesiąt... Czy posuwamy się naprawdę? Te same wzgórza, głazy, żwir, wyschłe kępki trawy, te same rozpadliny, ten sam szum wiatru i zgrzyt kół po żwirze...

Oстрыm nożem reflektora wycięty z miąższu ciemności zjawia się nagle makabryczny obraz.

Uwiązany za pomocą dwu drągów do grzbietu osiołka, sztywno, hieratycznie kołysze się w całun owity — trup.

Kroczy obok zatulony w ciemną opończę mężczyzna. Mignął w poświacie księżycy jego wydatny profil i już skłębiły nad nim białe spirale kurzu.

W głuchej pustce nocy dąży do świętego miasta Kum — pogrzeb na ośle.

Między rzędami równo wzdłuż nawadniających rowków sadzonych drzewek, kładzie się ostra, szeroka smuga światła.

Sześcienna pięknymi ornamentami pokryta latarnia kołysze się u wejścia, słycać przeraźliwe tony piszczałki — stoimy przed wiejskim „czaj-khane“.**)

Sklepione niskie łuki podtrzymują podcienia i ściany, w głębi, w jasno oświetlonym wnętrzu, szeregi nierówno porozstawionych tapczanów, a na nich siedzą, leżą, krzyczą i rozmawiają, gromady czarnych i obszarpanych mężczyzn: poganiaczy, szoferów, podróżnych.

Bo przed czaj-khane stoją obok siebie autobusy, kolosalne ciężarówki, szeregi osłów, piękna limuzyna i dalej z boku kilka wielbłądów.

Niepewnie krążę po wielkiej, pełnej zakamarków izbie. W głębi, na podmurowaniu przypominającym olbrzymi piec do chleba, siedzi grupa mężczyzn. Zabawnie nadymając policzki, mały grubas wygrywa na cien-

***) herbaciarnia.

kiej piszczałce, chudy palacz opium uderza w dziwny, o blaszanym dźwięku, bęben, a przy przeraźliwej, ostrej i niezwykle rytmicznej muzyce, wysoki, o czarnej, sterzącej czuprynie i wydętych ustach chłopak, tańczy jakiś dziki i śmieszny, pełen wygięć i podrygów, nagłych skoków i drobnych delikatnych kroczków — taniec.

Rozwiewają się poły długiej, białej, „europejskiej“, ale na wierzch, bez paska włożonej koszuli, trzepocą szerokie spodnie, bosa brudne stopy przebierają z przedziwną zręcznością.

Siedzący w kuczki widzowie przyklaskują rytmicznie, witając wybuchami śmiechu jakieś trudniejsze ewolucje.

Szofer informuje nas, że jest to taniec chłopów z okolic Rubbaturk i że ten „pessar“*) tańczy go znakomicie.

Pod ścianą, na tapczanie, jakiś drżący starzec pomrukuje sury Koranu i bije klęcząc niskie pokłony, na murach wiszą barwne dywaniki, w kącie leżą rzeźbione fajki do opium, a koło komina z nieprawdopodobnej wielkości samowara, służący bez przerwy nalewa „czaji“ w maleńkie szklaneczki.

Nad wszystkim unosi się ostry dźwięk muzyki, zapach herbaty i smażonego tłuszczu.

Kiedy w tumanach kurzu ruszyliśmy dalej, długo gonily za nami przeraźliwe tony piszczałki i głuchy

*) chłopiec.

rytm bębna, aż pokryły je szumiące skrzydła wichru, aż owinął nas znowu srebrzysty film pustej, wąskiej szosy.

Mija jedna godzina, druga, trzecia... Dawno zniknęły za nami mury świętego miasta Kum, dawno przemknęliśmy przez Delidżan, wiele razy posterunki policyjne sprawdzały nasze dzawasy i paszporty, wielokroć przystawaliśmy dla odpoczynku we wsiach, gdzie, między drzewami sadzonymi brzegiem irygacyjnych rowków, porozstawiano tapczany, a na dywanach i dywanikach śpią czarni i brudni mieszkańcy. Kilkakrotnie piliśmy „czaji“ w gave-hane i coraz bardziej zmęczeni, pędzimy w tumanach kurzu dalej i dalej.

Poczyna świtać. Przed nami kładzie się teraz szara, spalona słońcem równina. Daleko na horyzoncie, nagle i niespodziewanie, bez żadnego przejścia, jak skały wyskakujące z gładkiej tafli morza, wznoszą się strome urwiste, dzikie i nieprzystępne góry.

W czystym, błękitnym powietrzu ciemne ich kontury odcinają się tak ostro, że omal nieprawdziwie, że wydają się tylko jakimś sztafażem, jakąś na chwilę ustawioną dekoracją.

Szosa biegnie prosto, a szofer kołysząc się rytmicznie, gna coraz szybciej. Spoglądam nań podejrzliwie... Bogowie! on przecie śpi!!! Rozumiem to, znam z własnego doświadczenia straszną senność ogarniającą automobilistę na monotonnej drodze, ale w ten sposób wy-

sypiemy się napewno! Trącam go lekko. „Ali-khan...”
zaczynam i na migi pokazuję co mnie przeraża.

Ali wzrusza ramionami bezradnie. Cóż może pora-
dzić! jechać wolno niepodobna, kiedyż bylibyśmy w Is-
pahanie? Jeżeli „hanum” się boi — niech śpiewa, to go
trochę otrzeźwi i nie pozwoli mu zasnąć na dobre.

Więc hanum śpiewa. Mało, drze się fałszywie i prze-
rażliwie, walcząc z własną sennością i obawą, gdy ma-
szyna w pędzie traci kierunek, podskakując na przy-
drożnych kamieniach.

Niezapomniana droga, w czasie której ryczałam na
przemiany fox-trotty i oberki, sentymentalne piosenki,
arie operowe, mazury i pieśni kościelne.

Chwilami ledwo dyszę i melodia staje się cichą a
rzewną, ale wystarczy jeden rzut oka i podrywam za-
sypiającego Ali-Khana ogłuszającym:: „Rach-ciach-
ciach!”

Wytrwałam do końca. Wytrzymałam „kilkadziesiąt
kilometrów śpiewu“, ale szofer nie zasnął i wreszcie
w jasnych promieniach słońca zamajaczyły przed nami
płaskie dachy i strzeliste platany miasta.

Zgrzyt hamulców — stoimy przed posterunkiem po-
licji. „Dżawas! Passport!” — jesteśmy w Ispahanie.

Jeszcze kilka ulic, kilka zakrętów i po 12-u godzinach
podróży, stajemy przed piętrowym hotelem „Ferdows”.

Informacje łamaną niemczyzną, pokój za piętnaście
riali i spać, spać, spać!!!

17. ISPAHAN — MIASTO BŁĘKITNYCH MECZETÓW

Miasta mają swe barwy, barwy, które w wiele miesięcy czy lat później zjawiać się będą przed oczyma turysty, jak synteza przeżytych tam wrażeń.

Ispahan to błękit i złoto. Błękitne są kopuły olbrzymich meczetów i pałaców, błękitne, jak zakrzepłe fontanny, smukłe minarety, błękitne mozaiki, błękitne ubrania ludzi.

Złotym odbłaskiem lśnią żwirem posypane ulice, gliniane mury ogrodów, z surowej cegły budowane ściany domów.

Miasto dwu barw, dwu linii. Bo ponad płaskie dachy, wystrzelają prostopadłe, smukłe wieżyczki świątyń i wyniosłe pnie platanów.

Miasto z 1001 nocy, miasto gdzie kwitną kaskady róż, gdzie rodzą się najwspanialsze owoce Iranu, gdzie powstają najpiękniejsze, ze srebra kute, ozdoby, najsubtelniejsze miniatury i delikatne makaty.

Miasto wielkiej tradycji, gdzie co krok wznoszą się wspaniałe monumenty dawnej potęgi, złotego wieku Sefawidów.

Ongiś za czasów Szacha Abbasa,*) Ispahan liczył milion mieszkańców, a 1500 kwitnących wiosek otaczało stolicę, zwaną przez mieszkańców dumnie „połową świata“.

Zmienne są koleje losu. Umarł wielki Szach Abbas, najazdy, wojny, rabunki, zniszczyły świetność Ispahanu i dziś jest to 120 tysięczne, prowincjonalne miasto.

Pomimo to, pozostał on sercem i syntezą Persji, świadectwem jej świetnej przeszłości.

O ile zeuropeizowany Teheran, ze swoim przybrany po zachodniemu tłumem, asfaltowanymi avenues i sznurami samochodów, pozbawiony jest właściwie charakteru, o tyle Ispahan to wschód, wschód pełen blasku i barw, dziwny, poetyczny, pociągający.

Stoję na olbrzymim, zalanym potokami słońca, placu Meidan Szah. Wspaniały meczet szejka Lotfollaha wznosi nawprost mnie swą, koronką ornamentów, pokrytą kopułą, na prawo — meczet Szacha, za nami Ali Kapi, starożytna brama i pierwszy z szeregu pałaców Abbasa Wielkiego.

Na lewo łuki Wielkiego Bazaru, skąd w barwnym korowodzie wchodzą i wychodzą, wjeżdżają i wyjeżdżają zaaferowani kupcy w okrągłych kolorowych czapczkach, poważni „bankierzy“ z farbowanymi henną brodami, fantastycznie obdarci żebracy i chłopci w szafirowych strojach, tkanych z bawełny na własnym pólku

*) koniec XVI, pocz. XVII w.

uprawianej, domowym sposobem farbowanej w indygo.

Dwa stożkowate, kamienne słupy, rzucają ostry cień na żółty żwir placu.

To starożytne bramka „Polo“, bowiem ten sport bogatych, europejskich snobów jest narodową, odwieczną grą perską, dzisiaj zupełnie już tu zarzuconą.

Koło wielkiego, kaskadami kwiatów otoczonego basenu, przemknęła w tumanach kurzu lśniąca limuzyna, tuż za nią ukazuje się, z wielką godnością kłusujący na pięknym osle, muła. Pod czarnym turbanem widnieje suchy rasowy profil, brązowa opończa zw. „Abaa“, rozwiewa się lekko, a wysoko podgięte nogi obute są w białe pantofle.

Dźwięcząc w całą gamę dzwoneczków, przeciąga karawana osiołków, obładowanych wielkimi koszami, dalej, grupa okolicznych chłopów, podąża do domów, siedząc po dwóch na kłapouchych wierzchowcach. Właściwie widać tylko dwie rosłe, męskie postacie i 4 ma-lutkie, z wysiłkiem drepcące kopytka.

Melodyjnie wykrzykując jakąś „perską reklamę“ krąży przekupień, wniosący na głowie piramidę, ustawioną z ośmiu wysokich dzbanków kwaśnego mleka. Godnie kroczy w charakterystycznej pasistej „chuście“ i wąskim zawoju Arab z owocami morwy, a między nimi brzęcząc okuciami z mosiądzu kłusują małe, podobne do Teherańskich „dorożke“.

Ruch, gwar, kurz — i słońce, słońce, słońce.

Za to na bocznych wąskich uliczkach, wtulonych między ciągnące się bez końca, gliniane mury — cisza i cień.

W Ispahanie na dwóch, lub najwyżej trzech arteriach fronty domów sięgają ulicy i pełne są składów, sklepów, warsztatów.

Przeważnie między gwarem miasta, a prywatnym życiem jego mieszkańców, wznosi się wysoki mur, za którym leży ogród, pełen błękitnych basenów, leży dom wysłany cudownymi dywanami, i — o ile mieszkańcy są „moderne“ — zastawiony, mniej lub więcej tandetnymi, amerykańskimi lub europejskimi meblami.

Handlowe życie do dziś w 90% pochłania Bazar.

Bazar Ispahański jest bodaj największym w Iranie. W jego mrocznym wnętrzu obejrzeć można wszelkie prymitywne warsztaty, skałdy, pracownie.

Przez 6-cio kątnie otwory wpadają z góry potoki oślepiających promieni słonecznych, tworzących na zaśmieconej ziemi, ostre białe plamy.

W powietrzu tańczą tumany kurzu, dźwięczą dzwonki osłów, sygnały rowerów, nawoływania handlarzy, szczęk i huk młotów. Tutaj wykuwa się z mosiądzu całe setki ustawionych w piramidy „mangal“ (tacki do węgielków drzewnych), maleńkie, średnie i olbrzymie samowary, dzbany, tace i kasety. Tutaj zgrzytają pilniki robotników, obrabiających delikatne, srebrne przedmioty, kręcą się szybko ręczne tokarki, przy których leżą stosy gotowych już fajek. Tu siedzą specjaliści

ci, wycinający w drzewie delikatne łyżki, ozdobione koronkowymi ornamentami, stukają warsztaty, na których ręcznie tka się bawełnę, tutaj stary brodacz, w małej mycce na głowie, smaży na różnie podłużne pierożki.

Zapach „roghanu“,*⁾ tytoniu, baraniny, wanilii i Bóg wie czego jeszcze unosi się w gęstym powietrzu.

— Besforme! besforme! (proszę — proszę).

W głębi sklepionej wnęki piętrzą się stosy, zwoje i piramidy dywanów. Przy warsztacie, na którym widnieją smugi naciągniętej pasami wełny i wiszą różnobarwne motki, siedzi „po turecku“ na ziemi i na wązkiej ławeczce 5 chłopaczków: każdy z nich szybko chwyta i przerzuca kolorowe kłębki, pod kierownictwem stojącego z tyłu i wykrzykującego coś gardłowym głosem mężczyzny. Można już rozeznac drobny, skromplikowany, różnobarwny deseń. Praca jednak posuwa się niesłychanie wolno: wykonanie przeciętnego wełnianego dywanu, mającego 12 metrów kw., wymaga 150 dni roboczych — zatem pięcioro dzieci pracować nad nim musi cały miesiąc.

A w warsztatach Meszedu jest obecnie „w robocie“ dywan jedwabny, dar miasta dla Szacha Reza Pahlevi. Całość mieć będzie 10 m. kw., a robota 6 chłopców musi trwać — 4 lata.

Do kupców i amatorów rozwożą, a raczej roznoszą

*⁾ tłuszcz do smażenia.

po mieście gotowe dywany, małe cierpliwe osiołki. Filozoficznie i obojętnie, dźwigają bezcenne często makiety, tak jak obojętnie depcą nieraz artystyczne, puszyste desenie. Bo to — co zawsze uważałam za bajkę, — że perskie dywany rzuca się na ulicę, pod stopy przechodniów i jeźdźców, by nadać barwom przyćmiony, nieco antyczny ton, — okazało się najzupełniejszą prawdą.

„Ferenghi“ nie posiadający zbyt wielkich kapitałów z pasją nabywają w Ispahanie „kalamkary“. Są to bawełniane tkaniny, drukowane ręcznie w ciekawe desenie, których właściwością jest niebywała trwałość i bajecznie dostępna cena. Wielka ścienna kalamakra, kosztuje 4—5 złotych, mniejsza, 2—3 zł. A można je prać, suszyć na słońcu etc. Tajemnica trwałości kolorów jest podobna starannie ukrywanym sekretom mieszkańców Ispahanu.

Spod zręcznych rąk wychodzą uświęcone tradycją ornamenty i rysunki. I tylko czasem wśród legendarnych postaci i fantastycznych ptaków i stylizowanych liści zobaczyć można... lokomotywę, albo samochód!

Ha cóż! przecież o parę zaledwie km. od tych artystyczno-rzemieślniczych pracowni huczą już nowoczesne fabryki Ispahanu.

Przemysł bowiem powstał tu i rozwinął się nagle, a gwałtownie. Dziś pracują w Ispahanie trzy fabryki tkanin bawełnianych, 2 tkanin wełnianych i koców, 1 fabryka nici, 1 przedmiotów skórzanych, oraz papiernia.

Ten rozwój sprawia, iż nie tylko nie ma tu bezrobotnych, lecz nawet panuje taki brak rąk roboczych, że często dyrekcje zmuszone są podwyższyć płace i w ten sposób, niełojalnie odbierać pracowników innym warsztatom.

Zawrotnie obracają się setki błyszczących kólek, stukają tłoki, klaszczą transmisyjne pasy w wielkiej fabryce Ris-bef. Czysto, jasno, przez oszklone ściany wpadają snopy światła, nowe angielskie maszyny lśnią w słońcu.

Ris-bef, założona przed dwoma laty w Ispahanie, wyrabia materiały wełniane, doskonałe płedy i koce, a całą jej produkcję, jak dotąd, pochłania Iran.

W czarnych kitlach kręci się kilku europejskich inżynierów, a przy warsztatach stoją szeregi ciemnych, smukłych chłopców. Trudno powiedzieć „mężczyzn“, tak dziwnie młodo wyglądają robotnicy: 16 — 18 — 21 lat najwyżej. Smagłe ręce manipulują zręcznie koło maszyn, przed kilku jeszcze laty zupełnie w tym kraju nieznanym.

Persowie są naogół sprytni, zręczni, przystosowują się do nowych prac i warunków łatwo, choć powierzchownie. Posiadają jednak niezmiernie irytującą dla Europejczyków cechę: zasadniczo, „z góry“ umieją wszystko. Nic ich nie dziwi, nic nie onieśmiela: samochód, skomplikowany przyrząd, radio — ciemny gentleman ledwo spojrział — oświadcza, że „już wie“, nie pozwalając sobie nic dokładnie wytłumaczyć.

W drzazgi idą delikatne tryby, kosztowne przedmioty, ale tym nieco denerwującym sposobem, Irańczycy, istotnie bardzo szybko, uczą się wykonywać wiele, przedtem nieznanych sobie nawet z imienia, czynności.

Syrena głuchym rykiem oznajmia przerwę w pracy. Ze wszystkich kątów wielkiej sali tłoczy się poczynają do wyjścia robotnicy. Stoi już cały tłum i — o dziwo! — nie ma w nim ani jednej kobiety.

W Teheranie informowano mnie, że dziś są już w Persji robotnice, ale mam widać dziwne szczęście, w żadnej bowiem fabryce ich nie widziałam. Za to wśród zbierających się koło basenu przed gmachem mężczyzn, wśród „przykucniętych“ nad brzegiem „kanatu“ grup — szeregi i szeregi dzieci. Są to wyłącznie chłopcy, przyjmowani do pracy już od lat ośmiu. A zajęcie trwa „bite“ 10 godzin i maleńki pracownik (dzieci tujejsze są niezmiernie drobne) otrzymuje zań 2—3 rls. (68—102 gr.).

Cóż dziwnego zresztą, skoro dorośli zarabiają 6—8 rls., zdumiewające jest jedynie to, że z tej sumy potrafią oni jeszcze nieraz 4—5 rls. zaoszczędzić. Pozwala im na to arcyskromna stopa życia. Mój rozmówca jest np. (tak jak i większość robotników) wieśniakiem. Kano przynosi ze sobą z domu t. zw. „lawasz“ chleb perski, rodzaj miękiego, kleistego podpłomyka. Wypiekany z pszennej, razowej mąki, robiony bywa często na łożu baranim i wówczas nosi nazwę „nun rogani“.

Ten specjał wraz z maleńką szklaneczką herbaty —

to śniadanie, reszta z odrobiną ziólek, mięty, anyżku, liśćmi rzodkiewki, tak, ot! „pogryzanymi na zielono“ — obiad, a ostatni kawałek, rozmoczony w wodzie z „kanatu“ — kolacja.

Wielokrotnie widzą na „czaharbagh“, głównej ulicy Ispahanu, gromadki „przykucniętych“ chłopów, spożywających jeden z tych posiłków, nad wypełnionym mętną wodą kanalikiem.

Bo woda tutejsza, równie jak teherańska, czystością nie grzeszy. Ludziom miejscowym nie czyni to zresztą żadnej różnicy. Ileż razy obserwować mogłam np. kobietę w najbardziej intymny sposób myjącą dziecko w „kanacie“, a o kilka metrów poniżej kogoś, płuczącego dosłownie tą samą wodą usta, lub nawet używającego jej do picia! Uczucie „obrzydzenia“ stanowczo tu nie istnieje!

18. GIGANTYCZNE ZAMIARY SZACHA-ABBASA

Granatowy cień zaczął się pod błyszczącymi w księżycowym świetle liśćmi drzew. Szemrzą cicho fontanny, a fale rozszepstanych strumieni, przebłyskują srebrem między czarnymi pniami. W olbrzymim basenie odbija się 20 smukłych kolumn pałacu „shehel sotun“.

Bezgłośnie przesuwa się służba, roznosząca na kutykach ze srebra tacach, przepyszne owoce, ispahańskie wina, herbatę, kawę, jakieś ciastka i moc nieznanymi mi specjalów.

Przyjęcie u gubernatora Ispahanu.

Postacie raczej niskie, raczej tęgie, wielkie czarne oczy, grube choć rasowe rysy. Bieleją ubrania mężczyzn, między którymi kręcę się ja — jedyna kobieta. Prawdopodobnie jest to tylko przypadek, tym niemniej przypadek znamienity.

Wyborna herbata, takiej nie piłam nigdy — to fakt. Na srebrnej miseczce stoi „ghaz“, coś przypominającego z wyglądu rąbany cukier.

Smakuje trochę orzechem, trochę różą, trochę migdałem, trochę opłatkami... „Z czego oni to „pitra-

szą?...“ rozmyślam pochłaniając kawałek po kawałku.

Okazuje się, iż jest to prasowany i gotowany proszek, a raczej, osad, zbierany z liści pewnej odmiany tamaryszkę, bujnie pokrywającej stoki gór Farsu.

Nad małym plastycznym modelem tych gór, stoi w tej chwili gubernator rozmawiający z wielkim „raissem“ .

„Niech pani spojrzy“, zwraca się ku mnie. „W XVII wieku, chcąc wzbogacić wody Zaiandeh-rud (przepływającej przez Ispahan) wodami Karoun, płynącej po drugiej stronie, wysokich na przeszło 5000 metrów łańcuchów, Szach Abbas powziął gigantyczny projekt. Tu właśnie miano w tym celu skruszyć, przebić i przepaść, olbrzymie skalne masywy“.

„I uczyniono to?“.

„Częściowo. Ślady ówczesnych prac, dokonywanych przez wbijanie w lite głazy potężnych dębowych pali, które następnie polewane wodą powiększały swą objętość i rozsadzały kamień, może pani obejrzeć na południo-zachód od Ispahanu“.

Bardzo interesujące. Szkoda, że gubernator swoją niebywale tęgą postacią, rzuca taki cień na kartograficzny model, że absolutnie nic nie widzę.

Nie chcę go jednak „deranzować“ dyszy bowiem z upału tak ciężko, że aż niepokojąco, a przy tym wielka siwa czupryna i jeszcze większe czarne oczy są niezwykle sympatyczne. Jeżeli kto w tym kraju ma wdzięk, to starsi panowie.

„Całą swą świetność zawdzięcza Ispahan Szach-Abasowi. Czy widziała pani już ważniejsze budowle?“.

„O, tak“! wołam pośpiesznie. Jeszcze w tej chwili czuję tę potworną mękę zwiedzania, przy upale 40 stopni C. w cieniu! Ale moi gospodarze orzekli, że należy jeszcze zobaczyć miasto w nocy. Opuszczamy „pałac 40 kolumn“, (z których 20 tylko istnieje w rzeczywistości, drugie 20 to ich odbicie w wodzie) i lśniącą limuziną mkniemy ku, z VIII wieku pochodzącemu meczetowi „Jamch“, ku „mosque Asheia“, noszącemu imię hebrajskiego proroka, by stanąć wreszcie na Meiden Szach.

Biel i srebro. Srebrzy się olbrzymi basen, bieleją otaczające go kwiaty, błękitne w dzień kopuły, mineraty, frontony, jaśnieją srebrem w księżycowym świetle, a żwirem wysypany plac, biały jest jak rozpostarte płótno.

Ogromna kopuła meczetu Lotfollaha, rozjarzona i lśniująca zdaje się kolosalną gorejącą lampą, a tuż u jej stóp, dumnie spoglądając wokoło, spoczywa karawana wielbłądów.

Przytulony do puszystego boku zwierzęcia śpi mały „pessar“, otulony w barani kożuszek, w błękitnych szarawarach i białej mycce.

Obcy, wyniosły, wspaniały i majestatyczny, jest plac wielkiego Abbasa.

Meczet Szacha, na którego zbudowanie zużyto 18

milionów ręcznie glazurowanych cegiełek, to klejnot irańskiej sztuki.

Chcąc zaćmiec jego świetność zięć Abbasowy, szeik Lotfollah, wznosił obok drugą, słynną swym mozaikowym frontonem świątynię, gdzie nie tylko lśniące, błękitne i ozdobnymi napisami „kufidz“ (starożytnie pismo arabskie) pokryte ściany i filary, ale każda w kamieniu rzezana krata okienna, piękna jest jak skończone dzieło sztuki.

Tradycyjnie posiada meczet jedną nawę pod olbrzymią kopułą, ze sklepionymi portykami i środkowym dziedzińcem, gdzie leżą baseny, z wodą do przepisanych ablucji.

Nawa zwrócona jest zawsze ku Mekce, a tablica marmurowa zwana „mihrab“, umieszczona w głębi, wskazuje wiernym, dokąd kierować mają wzrok, by patrzeć ku świętemu miastu.

W nawie znajduje się również rodzaj niskiej ambo-ny t. zw. „memleer“.

Obok wielkiej kopuły meczetu, wznoszą się zawsze dwa lub cztery minarety, skąd ongiś nawoływano wier-nych do modlitwy.

W Persji minarety te są niezmiernie niskie.

„Wie pani dlaczego?“ wielkie czarne oczy patrzą na mnie dowcipnie.

„Skądże...“.

„Myśmy zawsze byli tak zazdrośni o piękne kobiety, iż nie do zniesienia była nam myśl, że ten kto wcho-

dzić będzie na szczyt minaretu, dojrzy niewiasty w głębi ogrodów“.

Zawracamy ku Ali-Kapi.

„Ale niech pani źle o nas nie myśli. Obecnie jesteśmy znacznie mniej zazdrośni, choć — przyznać trzeba — kobiety lubimy tak samo“.

Miejscowi dygnitarze śmieją się z głośną aprobatą.

Teraz stoimy na moście Alla-Verdi-Khana, jednego z wodzów Szach-Abbasa. Długi na 300 metrów, szeroki na 12, wsparty na 33 potężnych surowych słupach, uchodzi za najwspanialszy z mostów Ispahanu.

Jest ich tu bowiem 12, większych i mniejszych, szerszych i węższych. Najstarszy z nich, to leżący poza obrębem dzisiejszego miasta, koło dawnych obronnych murów, „most rzymski“. Zbudować go mieli jeńcy, pojmani w III wieku, wraz z cezarem Valerianem, przez szacha Szapur. „Tego, który po grzbiecie rzymskiego cezara na koń siadał!“. Głos dygnitarza, brzmi dumą.

Kamienna budowla, teraz prawie już nieużywana, potężnymi arkadami wiąże tylko dwie wąskie i kręte, gubiące się wśród pól i ogrodów dróżki.

Wszedł księżyc. Godnie, spokojnie, kołysząc się z powagą, wstępuje na most karawana wielbłądów. Poganiacze noszą dawnego kroju długie, do kolan szaty, małeńkie czapeczki i farbowane henną purpurowe brody.

Jest pusto i głucho, tylko odwiecznym rytmem dźwięczą dzwonki karawany... Na chwilę zapomnieć można w jakiej żyjemy epoce...

19. KILKULETNI RZEMIEŚLNICY - ARTYŚCI

Wzdłuż całej Czahar-Bagh, słychać cichy metaliczny dźwięk. Przez szeroko otwarte, wielkie drzwi z mrocznych wnętrz dochodzą uderzenia młotów i lekki szczełk maleńkich dłutek.

Kłęcząc na ziemi trzech czarnych, ślicznych chłopczków pracowicie wykuwa subtelne i zawile desenie, na wielkiej mosiężnej tacy.

Bo słynne na cały świat metalowe wyroby z Ispahanu, są w 70% wykonane rękami dzieci. Podobno dorośli nie mają już tej „lekości uderzenia“, a zwłaszcza są robotnikami o wiele droższymi, gdyż pobierają aż (!) 5—6 rls. dziennie, podczas gdy taki młodociany artysta zadawała się 1—2 rls. (rls. około 34 groszy).

O ile irańczycy dorośli, może na skutek wielu chorób i ciężkiego klimatu, bywają na ogół źle rozwinięci, często zdegenerowani, raczej brzydzy i leniwi, o tyle dzieci odznaczają się wybitną urodą, bystrością i żywością. Wrażenie to narzuca się na każdym kroku.

Z zapalem, z werwą, w której jest coś z dziecinnej zabawy, a która tak wyraźnie kontrastuje z ociężałoś-



Dolna: Starożytny most na rzece Zaiandeh-Rud, zbudowany przez rzymskich niewolników.

Górna: Osiółki nie mają lekkiego życia.



Plaskorzeźba przedstawiająca Dariusza (Persepolis).

cią dorosłych, kują czarne rączyny młotkami w cieniu dłutka.

Spod delikatnych narzędzi wyrasta na wielkiej, smukłej wazie, subtelny deseń stylizowanych roślin, igrających ptaków, geometrycznych ornamentów. A ogólną jego linię zaledwie na metalowej powierzchni odznaczono i maleńki artysta sam pilnuje harmonii i piękna tradycyjnych rysunków.

W ruchu jego drobnych ramion, w skupionym wyrazie smagłej twarzyczki, w ściągniętych nad ślicznymi oczami brwiach, jest wysiłek, szczere zainteresowanie i zapal.

— „Madame, madame — befarme id“.

Ciemne okulary, kolonialny kask i Leica na szyi nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że ma się do czynienia z nowoprzybyłą „Ferenghi“, co — niezaprzeczenie — jest zawsze „okazją“.

Na niskiej, zawalonej narzędziami, kawałkami srebra i rozpoczętymi pracami, ławie, zjawiają się cudowne, lśniące i delikatne papierośnice, pokryte koronkowym ornamentem, kute, oprawy do maleńkich, perskich szklaneczek, kieliszki i tacki, popielniczki, kasetki i talerzyki, maleńkie „khaleny“ etc. etc. aż wreszcie „Ferenghi“ traci głowę i możliwość orientacji.

A trzeba zaznaczyć, że wszystko sprzedaje się na wagę srebra, od 2—3 i pół rls za „miskale“ — czyli 65—110 groszy za 4 i pół grama.

— Madame... ornament z meczetu Szacha!

Zręczna dłoń podsuwa mi przed oczy śliczną kasetkę.

Istotnie, arabski, delikatne stylizowane kwiaty i liście, są do zdumienia skopiowane z kopuły słynnego meczetu.

Bo tutejsi rzemieślnicy-artycyści najczęściej sięgają po wzory do niewyczerpanych skarbów starej sztuki perskiej, której bezcenne klejnoty, spotyka się na każdym kroku.

— Madame... chez moi... pour vous tout... pour vous... sans argent... voui... voui...

Między artystycznymi pracownikami na Czahar bagh, pełno jest składów starożytności

— Belles choses... bon travail... — Istotnie, czasem można tu znaleźć cuda: starożytne bransolety, dawne brokaty, złotem przetykane ślubne czadury, wielkie perskie „kaftany“, pierścienie z rytyami na krwawnikach „surami“ Koranu, kamienie z Yemen, ogromne jak kieliszek do wina, emaliowane stare kolczyki, sztylety i niezliczone ilości amuletów maleńkich koranów i miniatur, wśród których poczesne miejsce zajmują pornograficzne miniatures impolies.

Ale trzeba umieć kupować. Pewien „ferenghi“, od którego żądano za makatę 30 tomanów, wezwał pośrednika, by móc ją kupić taniej. I rzeczywiście nabył jedwab za 20 zaledwie tomanów. Bardzo się jednak zdenerwował, gdy mu potem doniesiono, że ów

pośrednik dostał ją za 8 tomanów, od kupca, który z kolei zapłacił w Yezd tylko 1 tomana.

W mrocznej głębi sklepionej izby na dywanie, zaścielającym kamienną posadzkę, siedzi młody chłopak, miniaturowymi ornamentami pokrywający płytki z perłowej macicy, słoniowej kości i polerowanej kości wielbłąda.

Połączone srebrnymi drutami, tworzą potem ozdobne bransolety, paski, kłamry, pierścienie.

Na tafelkach rozmiarów małej marki pocztowej, spleatają się subtelne girlandy kwiatów, śpiewające wśród drzew ptaki, lub sceny z najsłynniejszych legend. Zdumiewa smak, lekkość i harmonia, z jakimi wykonywa swoją pracę młody, prymitywny artysta.

Poza kutymi z metalu wyrobami i miniaturami, słynie jeszcze Isphahan z przepięknych dywanów i wspomnianych już „Kalamkar“.

Kalamkary — to znów praca dzieci. One pod mrocznymi łukami Wielkiego Bazaru mozolnie przyciskają kamienie „szablony“, „drukując“ bawełniane tkaniny w interesujące i tradycyjne ornamenty, one, zupełnie „po europejsku“ wysuwając języczki, roślinnymi barwami wypełniają kontury historycznych scen, one niosą gotowe serwety i makaty nad rzekę Zaiandah rud, by, splukawszy je w wodzie, tonować i utrwalać kolory na słońcu.

Dzieci również, pod kierunkiem dorosłego mężczyzny, tkają słynne dywany. Dzieci obok ojców kują w baza-

rze samowary i „mangale“, obrabiają drewniane fajki, pomagają w handlu etc. etc.

A wykazują przytym spryt i ogromną „zręczność kupiecką“, zwłaszcza, że, korzystając ze swego niezaprzeczonego wdzięku, daleko skuteczniej „naprzykrzać“ się mogą „ferenghim“.

Tutaj, gdzie nie istnieją dokładne statystyki, trudno zorientować się, ilu nieletnich zatrudnia przemysł, rękodzielnictwo, handel, jeżeli jednak sądzić wedle powierzchownych wrażeń, ilość ta jest olbrzymia. Nie zdarzyło mi się widzieć pracowni czy warsztatu, gdzie by obok dwóch, trzech dorosłych nie było zatrudnionych kilku malutkich, 6-cio, 7-mioletnich pracowników i to zatrudnionych, wedle informacji pracodawcy, 10—12 godzin na dobę.

Dzieci są tu na ogół niezmiernie wątłe i dość drobne. Wobec fatalnych warunków higienicznych śmiertelność ich ma być bardzo wielka. Jest to jedna z przyczyn, sprawiających, iż — wedle rozpowszechnionej, a niestety niemożliwej do ścisłego sprawdzenia wersji, ludność Iranu wprawdzie się nie zmniejsza, lecz również i nie powiększa, co samo w sobie stanowi już poważne niebezpieczeństwo.

20. MECZET DYGOCAĄCYCH WIEŻ

Ogromna, złocista, pocięta smugami zieloności i prostokątami ogrodów równina ciągnie się u naszych stóp.

Na horyzoncie, ze wszech stron, za nami, przed nami, z boków nagle i nieoczekiwanie, wprost z gładkiej powierzchni pól, wyrastają ostre, dzikie i niedostępne zbocza gór.

Na błękitnym tle nieba surowe ich kontury rysują się delikatnie i prosto jak ornamenty starych, kutych w brązie ispahańskich waz.

Hen, daleko, daleko, u naszych stóp, na kręto wijącej się ścieżce ciągnie maleńka, niby mrówki, karawana osiołków; w kryształowym powietrzu słychać delikatny „szklanny“ dźwięk dzwoneczków.

Ostatnie promienie słońca znikają za niedostępnym skalnym łańcuchem gór.

Jesteśmy na szczycie Atesh Gha. Tu, na samotnej, ogromnej, prostopadłymi ścianami w dół opadającej górze wznoszą się olbrzymie ruiny tak zwanego „Temple de Mars“, jednej z siedmiu największych świątyń świata.

Kolosalne mury, budowane z nieprawdopodobnie wielkich, surowych cegieł, wzniesione być miały przed wiekami, w czasach poprzedzających religię Zoroastra.

Czciociele ognia wyrzucili później dawne bożki i w okrągłej, na jednym bloku kamiennym zbudowanej komorze o ośmiu oknach, zapalili święty ogień. A potrafili utrzymać go i obronić przez długie lata, nawet po podboju arabskim, po wprowadzeniu Islamu.

Gardłowym, niskim głosem, z powagą i namaszczeniem opowiada nam przypadkowo spotkany chłop o tych dawnych przedhistorycznych dziejach, a mówi o nich jak o rzeczy bliskiej i realnej.

Nie rozumiem jego słów, widzę tylko wielkie, czarne oczy, grube, a jednak rasowe rysy i suchą dłoń ukazującą porywająco piękny widok, rozciągający się u naszych stóp.

Towarzysz mój cierpliwie tłumaczy jego słowa.

— Stąd, z samego wierzchołka, dawno, dawno, kiedy jeszcze nie było minaretów, aż do samego dołu wiodły wielkie, piękne schody. Tutaj, na szczycie, oddawano cześć słońcu...

Daleko, między szczytami gór snują się białe smugi mgieł, między skałami Atosh Gha trzepoce się lekki wiatr... na wąziutkiej, wijącej się między ogrodami ścieżce, ciągnie karawana wielbłądów...

Stary chłop mówi coś rytmicznie i głucho.

— To poezja Saadięgo — o słońcu — objaśnia mnie mój towarzysz. I w tej chwili niespodziewanie przeko-

nuję się, jak żywą wśród ciemnego ludu Iranu jest wielka poezja starej Persji!

Schodzimy po stromej, osypującej się pod nogami ścieżce.

— Czy wie pani, że tradycje religii Zoroastra po dziś dzień żyją wśród nas? W wielu na przykład domach, gdy się wieczorem zaświeca lampę lub rozpala ogień, wszyscy powstają, wymawiając formułę radości na cześć światła.

W Teheranie codziennie orkiestra żegna tradycyjnymi melodiami zachodzące słońce.

Nowy rok przypada u nas na 21 marca, w pierwszy dzień wiosny. Jest to również spuścizna po czcicielach ognia. Do dziś również istnieje prastary, z czasów Zoroastrowych, zachowany obyczaj, że w ostatnią środę roku — a za tym niejako w wigilię wiosny — na podwórzach domów, w ogrodach, a do niedawna nawet na rogach ulic, rozpala się wielkie ognie, przez które skaczą chłopcy i dziewczęta, wymawiając przy tym formuły, mające im dać zdrowie, siłę i piękność.

Słucham ze zdumieniem: to zupełnie nasze polskie „sobótki“! A niezmiernie zbliżone do tego obrzędy widziałam przed rokiem na dalekich północnych krańcach Europy.

Czyżby ślady najstarszej religii świata aż tak daleko sięgały?...

* *

*

Żółta, pokryta dziesięciocentymetrową warstwą kurzu ścieżka wije się między kilometrami i kilometrami wysokich glinianych murów. Za nimi leżą słynne Ispahańskie ogrody, produkujące najwspanialsze owoce Iranu.

Od czasu do czasu spotykamy przerzucony nad drogą rodzaj olbrzymiego łuku, jakby sklepioną bramę, pod którą siedzące na podmurówkach czarne dzieciaki witają nas radosnymi okrzykami: „Salam! salam!”

Gdzieniedzie widać ślady jakichś wspaniałych, starych budowli, czasem mignie ciemny otwór drzwi — a wtedy dojrzeć można maleńki domek z drugiej strony do muru przytulony.

Czuby zielonych drzew, rosnących wśród wąskich nawadniających rowków wznoszą się nad drogą. Koryszemy się powoli na głębokich wybojach, z trudem zawracamy maszynę na wąskiej jak korytarz dróżce — jedziemy do meczetu „dygocących wież”.

Niewielki, błękitną mozaiką pokryty budynek wznosi się nad zwłokami świątobliwego imama.

W tej chwili na schodkach grobu siedzi stary mułła w wielkim, białym turbanie i w zadumie spogląda na wyznawcę proroka, bijącego czołem o ziemię. Gromada dzieciaków bawi się wśród niskich, w ziemię już wdeptanych mogił, oznaczonych dziwnego kształtu kamieniami.

Po wąskich, kręconych schodkach wchodzimy na

lekko sklepiony, ceglany dach. Bliziotko, tuż, wznoszą się dwie równe, okrągłe wieżyczki.

Przybyli z nami ludzie wchodzą na ich wierzchołki i ująwszy rękami drewniane szczytowe belki, potrząsają całą budową, wprawiając w widoczny, gwałtownie rozdygotany ruch nie tylko oba minarety, ale i sklepienie, na którym stoimy.

Wrażenie jest okropne.

Widzę wahadłowe poruszenia obu wieżyczek, czuję wznoszenie i opadanie cegieł pod stopami i jestem głęboko przekonana, że cały budynek wywali się lada chwila!

— Czy nic się nie może stać?...

— Hm!... wie pani, te wieże dygocą już tak około 400 lat... Zatem należy przypuszczać...

Istotnie, można mieć nadzieję, że „ustoją“!

Teraz jeden z ludzi zeszedł na dół, drugi zaś rozpoczyna na nowo cały proceder. I — oczom własnym nie wierzę! Nie tylko wieża, na której on stoi, ale i druga wstrząsa się gwałtownie, przechylając szybko na jedną i drugą stronę.

Podobno tajemnica dawnych perskich budowniczych, pozwalająca im stawiać z surowej cegły tego rodzaju przedziwnymi właściwościami obdarzone budynki, nie została dotychczas zbadana.

I każdy zwiedzający minarety „Dziom-Dziom“ za-

stanawia się schodząc po krętych, kamiennych schodkach, dlaczego właściwie wysmukłe wieżyczki stoją jeszcze, kiedy wedle wszelkich praw statyki dawno powinny się były wywrócić?

21. CHRZEŚCIJAŃSKIE MIASTECZKO W MORZU ISLAMU

„Pani jest Polką?”

„Tak“.

Zza okrągłych okularów oczy monsignora patrzą badawczo. Wreszcie z gęstej brody dobywa się mrukliwie:

„W tej chwili“ — i czarna sutanna znika za wąskimi drzwiami.

„Czego on właściwie chciał?” zastanawiam się, wpół leżąc na wąskiej kanapce. Rzecz dzieje się w Dżulfie, w parlatorium katolicko-ormiańskiego klasztoru.

Po ścianach ogródka pną się róże, wino oplata długą pergolę.

Czarna, brodata postać znów stoi nademną, podstawiając przed oczy fotografię grupy duchownych.

„Proszę mi wskazać arcybiskupa Teodorowicza“.

Ażem się zgrzała.

„Ten...” — bąkam niepewnie.

„Dobrze. W porządku!” i zasiadając wygodnie Monsignor rozpoczyna interesującą rozmowę.

Mam chwilę dystrakcji. Więc to miał być egzamin? Ale czy moich „znajomości kościelnych” czy „polskie-

go pochodzenia“? Mniejsza z tym, zawsze lepiej żem go zdała!

A rozmowa z Monsignorem wyjaśnia wiele ciemnych punktów moich dotychczasowych obserwacji.

Nie potrzeba zbytnej bystrości, by zauważyć zmierzch wpływów Islamu w Iranie.

Jednostki wybitniejsze, sfery o większym znaczeniu są prawie z reguły bezwyznaniowe, lub ku tej bezwyznaniowości ciążą.

„Jakżeż ma być inaczej, stwierdza mój rozmówca. Religia Mahometańska jest zbyt terre à terre, zbyt oparta na szeregu formułek, by wystarczyć mogła ludziom kulturalnym i często nowoczesnie wykształconym.

Do chrześcijaństwa zwrócić się nie chcą i zresztą nie mogą. Wymagałoby to zbyt wielu wyrzeczeń. Jednostki skłaniają się już raczej ku religii Zoroastra.

Prawdopodobnie wie pani, że ten kierunek silnie popierany jest, a nawet poniekąd sugerowany z góry?

Kwestie religijne były zresztą w Iranie od wieków kwestiami nacjonalistycznymi. Wszak długotrwałe wojny z Turcją, spowodowała niechęć uznania zwierzchności religijnej sułtanów z Konstantynopola jako następców kalifów z Bagdadu.

Czynnik prestiżowy grał tu rolę conajmniej równą czynnikowi religijnemu.

...Zresztą jest może prawdą, że poczucie narodowe,

poczucie nacjonalistyczne tkwi głębiej w duszy Persa niż poczucie religijne...

Zoroastryzm — religia słońca — jest zaś istotnie religią najprawdziwiej Irańską...“

W tej chwili przypominam sobie z jakim uniesieniem mówił o czcicielach ognia Irańczyk, podający się sam za bezwyznaniowca:

„Niech pani pomyśli: najpiękniejsza, najstarsza religia świata! Powstała, wedle greków, na pięć tysięcy lat przed wojną Trojańską. Język „zend“, język świętej księgi Zend—Awesty jest bodaj starszy od Sanskrytu. Zoroastryzm, to źródło wszelkich religii, nawet chrześcijaństwa“.

Nietylko zresztą Persowie entuzjazmują się wiarą „gebrów“, spotkałam paru Europejczyków, odoszczędzających się doń z wielką czcią i poszukujących drogi porozumienia z wybitniejszymi czcicielami ognia.

Gebrowie ciężko prześladowani podczas pierwszych wieków Islamu, szukali schronienia w niedostępnych górach, broniąc i ukrywając święte ognie. Najdłużej, bo do X wieku, udało im się utrzymać swą świątynię w Heracie.

Odetchnęli nieco za wybitnie tolerancyjnego Szacha Abbasa, który nawet sprowadził i osadził większą ich ilość na przedmieściach Ispahanu.

Pracowici, zdolni, spokojni, stanowili cenny nabytek dla miasta.

Dziś jest ich w Iranie około 10 tysięcy zgrupowanych

głównie w okolicach Yezde—Khast, Firuzabad, w Khorasanie etc.

Za czasów prześladowań wielu z nich wyemigrowało, jak wiadomo, do Indii.

Pełni chwalebnych tolerancji Bramini postawili im cztery jedynie warunki: 1) nienoszenie broni, 2) mówienie publicznie językiem miejscowym, 3) przystosowanie stroju kobiet do krajowych zwyczajów i 4) celebrowanie ślubów nocą.

Zastosowawszy się do tych wymagań, osiągnęli w Indiach Zoroastrycy, zwani tu Parsami, duże znaczenie i bogactwa, które powiększyły się jeszcze pod panowaniem Anglii.

Spokojni, pracowici, skromni, indyjscy Parsowie mają być w swej mentalności i zamiłowaniach stosunkowo bliscy Europejczykom.

Studiują namiętnie języki i kulturę zachodnią, trudnią się najczęściej handlem i bankierstwem, czasem rolnictwem.

Wielkie bogactwa idą u nich w parze z dużym miłosierdziem i hojnością. Za przykład posłużyć może ów bankier z Bombaju Framdzi-Korwadzi, który w końcu XIX wieku dla uczczenia momentu otwarcia wielkiej świątyni Parsów wydał za pośrednictwem swych biur i agentów jednego dnia przyjęcie we wszystkich miastach, słowem ugościł na raz 60.000 ludzi, przeważnie współwyznawców.

Gebrowie w Iranie teraz cieszą się oczywiście rów-

niez zupełną swobodą (wydany niedawno zakaz składania trupów w słynnych wieżach milczenia na pożarcie sępom, podyktowany był względami higienicznymi).

Panuje tu zresztą obecnie absolutna tolerancja. Władze mieszają się ewentualnie do spraw narodowych czy plemiennych, nigdy do spraw religijnych.

Persowie zresztą od wieków odznaczali się szerokością umysłu i zupełnym brakiem fanatyzmu. Dowodem chociażby bajeczny rozwój Perskiej miniatury — mimo zakazu Koranu odtwarzania figur ludzkich i zwierzęcych.

Dowodem tolerancyjne stanowisko wobec poetów, śpiewających bez końca pieśni na cześć „boskiego wina“ zakazanego przez proroka

Ta szerokość pojęć właściwa Irańczykom, tkwi głęboko nawet wśród prostego ludu. Inżynier Niemiec zwiedzając meczet w okolicach Kerman spotkał wewnątrz Ormianina — sprzedającego biblię.

Miejscowy derwisz, na zdumione pytanie „ferenghi“, odrzekł spokojnie:

„Allah jest zawsze jeden“.

Nienawiść do cudzoziemców, do niedawna tak ostra i szowinistyczna, oparta jest — zdaniem ludzi miejscowych — przede wszystkim na niechęci narodowej, nie wyznaniowej.

Zresztą ilość sekt jest w Iranie dość duża. Obok przytłaczającej większości muzułmanów-szytów, obok gebrów i żydów (ok. 40.000), żyją na południu Alli-

Allai, uznający Allego za Boga, żyją jeszcze (podobno) w Mazanderanie „czciciele drzew“, żyją przeważnie w Kuzistanie i Beudżystanie Yezidi, szejtaniści, czciciele szatana.

Ta groźnie brzmiąca nazwa kryje ludzi spokojnych, łagodnych i cnotliwych. Wierzenia ich pochodzić mają jakoby również od zdeformowanych wierzeń Zoroastycznych. Przypuszczenie to umacniać może fakt, iż „Yezidi“ twierdzą, że po wieku Boga następuje zawsze wiek szatana i wówczas właśnie należy go czcić i mu służyć, poprostu, by nie drażnić groźnego władcy.

Szatan zresztą w ich pojęciach (jak i w pojęciach większość ludów wschodu) jest zły, ale i dość głupi, dzięki czemu łatwo daje się oszukać.

Dlatego też jego wyznawcy mogą być ludźmi spokojnymi, o łagodnych obyczajach.

Pewien Irańczyk na południu opowiadał mi, iż zdarzyło mu się zasiadając do kolacji z dwoma Yezidi mechanicznie zawołać „Yalla“ (w imię Boga) (zwrot „przysłowiowo“ używany). Żaden z „czcicieli diabła“ nie tknął pożywienia: mogło to oburzyć i rozgniewać szatana.

„Chrześcijan mieszka w Cesarstwie około 100 tysięcy, peroruje dalej czarno-brody monsignor. Najwięcej prawosławnych Ormian, prócz nich są katolicy obrządku ormiańskiego, chaldejskiego, syryjskiego, oraz łańcisci, tych jednak stosunkowo najmniej. Przeważnie bywają to europejczycy nie osiedlający się na stałe.



Pasterz z równin Veraminu.



Boczna uliczka w Ispahanie.

Tu w Dżulfie — jak pani wiadomo — mieszkają wyłącznie chrześcijanie. Zna pani historię powstania tego miasta?

...Legenda mówi, iż we wczesnym dzieciństwie Szach Abbas Wielki ocalony został od śmierci przez kilku Ormian, a wstąpiwszy na tron — chcąc okazać swą wdzięczność, osadził kilkadziesiąt tysięcy ich rodaków na przedmieściu Ispahanu.

Tak w morzu Islamu powstało czysto chrześcijańskie miasteczko.

Miała i Dżulfa czasy świetności: 60 tysięcy mieszkańców, kilkanaście kościołów etc. Zniszczyły ją wojny, najazdy, rabunki. Dziś liczy zaledwie 5000 Ormian.

Korzystając z tolerancji Szachów, przybył już w 1677 roku dominikanin Padre Lucas i założył tu pierwszy katolicki kościółek. Później było ich dwa.

„Do niedawna pracowała w Ispahanie misja Lazarystów, do dziś mamy tu Siostry Miłosierdzia Św. Wincentego á Paulo. Oczywiście są również w całym Iranie liczni misjonarze angielscy i amerykańscy. Zapewne się pani z nimi spotkała“.

„Owszem“.

A spotkanie owo było niebanalne.

Na sowieckim statku „Fomin“ pokład „roił się“ od czystych i grzecznych, ale bardzo ruchliwych blondasków w wieku od 1 roku do 15-u. Było ich dziesięcioro. Żwawej gromadce towarzyszyła łagodna, zawsze

uśmiechnięta brunetka-mama, oraz szczupły, wygolony papa-pastor.

Wracali ze Stanów Zjednoczonych, z urlopu.

„Z urlopu? Taka strasznie długa droga?“.

„You are mistaken! Z Hamadanu jedziemy do rodziny zaledwie 20 dni“.

Zaledwie 20 dni... z dziesięciorgiem dzieci.

Misjonarze są „z fachu“ pełni poświęcenia.

22. SZTUKA I ORNAMENTY

Niemiecki podróżnik Ryszard Katz, w jednej ze swych barwnych korespondencji z Bali mówi: „Kultura“ i „cywilizacja“ są to dwa słowa, stale w życiu codziennym używane błędnie, jakkolwiek treść ich jest tak samo różna, jak przy określonych „serca“ i „rozumu“, „miłości“ i „posagu“, „pałacu dożów“ i „drapacza chmur“. Serce, miłość i pałac dożów, odpowiadają przy tym kulturze, zaś rozum, posag i drapacz chmur — cywilizacji. Drastyczniej mówiąc, kwiatem kultury jest sztuka, kwiatem cywilizacji — waterklozet.

Szczęśliwe narody, posiadające jedną i drugą! Większość ma tylko jedną z tych wartości, np. Amerykanie cywilizację, Balińczycy — kulturę“.

Słowa te można by z powodzeniem powtórzyć mówiąc o Persji. Tu rzadko kto zna trudną sztukę odczytywania zawitych perskich liter, ale każdy chłop-analfabeta umie, kocha i powtarza poezje wielkich poetów Iranu Hafiza, czy Saadięgo. Wielki panuje do dziś brud, ale, nigdy porządnie nie myte ręce, rzeźbią na ścianach glinianej lepianki artystycznie skończone, subtelne ornamenty. Wodę czerpie się z mętnego „kanatu“,

lecz brzeg kutego dzbana zdobią te same stylizowane desenie; jakie widzieć można na słynnej kopule meczetu Lotfallaha w Ispahanie.

Stare tradycje kultury, do dziś jeszcze są żywe i życiodajne wśród tego ciemnego na pozór i jakże dla nas obcego ludu.

Bo kultura ta obca jest i niezrozumiała, jak często niepojęte i obce są przekonania, pojęcia, a zwłaszcza drogi, jakimi biegnie myśl, tutejszych ludzi.

I obcość ta pozostaje zawsze, mimo europejskiego wykształcenia, mimo kilkunastu lat spędzonych we Francji, Szwajcarii czy Anglii. Pozostaje — choć nie przyzna się dziś do tego żaden nowoczesny Irańczyk, choć każdy z nich oburzyłby się głęboko, czytając te słowa.

Bo, niestety, jedyne co czyni mieszkańców tego kraju często nieznośnymi i denerwującymi, to uparte twierdzenie, że niczym i w niczym nie różnią się oni od Europejczyków, a kraj ich od Europy.

Panuje tu tendencja odrzucania i wypierania się własnej odrębności kulturalnej i obyczajowej, podstawiając w jej miejsce cywilizację europejską, której przejawy często równie źle „przylegają“ do tutejszego życia, jak źle i nieprawdziwie wygląda lud, przybrany w europejskie stroje, niedostosowane ani do klimatu, ani do temperamentu, ruchów i t. d.

Jestem na wschodzie po raz pierwszy i wrażenie to jest oczywiście powierzchowne, ale podobne zdania wy-

głaszało przede mną wielu poważnych badaczy: że żywcem, „en bloc“, przenoszona cywilizacja europejska, nie nadaje się dla ludów wschodu, nawet bliskiego wschodu. Są oni zbyt „inni“ — nie koniecznie niżsi, lecz właśnie inni. Zatracają wówczas własne wartości, nie przyswajając sobie naszych.

Prawdopodobnie wykształceni mieszkańcy Iranu, odrzekliby z uniesieniem, że kanalizacja i fabryki ważniejsze są i pożyteczniejsze od zachowania narodowych czy obyczajowych tradycji, lecz przykład Japonii udawadnia, iż można przyswoić jedno, nie zatracając drugiego.

To zaś, co widzi się tutaj, jest często obok realnego, niezaprzeczonego postępu, o którym pisałam poprzednio — jakimś „snobizmem europeizacji“. Zapewne gra w tym rolę i „radość nowości“ i dziecinny zapal i pycha, z tak niedawno sprowadzonych do kraju „zdobyczy cywilizacji“, ale czy koniecznie burzyć trzeba antyczne, mozaikowe bramy miasta, dla położenia paru więcej metrów asfaltu?

Nie należy jednak przypuszczać, że tego rodzaju postępowanie stosuje się do wszelkich cennych starożytnych pomników. Przeciwnie! W tym kraju kontrastów, tylko na żywotność starej kultury w codziennym, współczesnym życiu, spogląda się niechętnym okiem, zabytki zaś sztuki poczęto już konserwować z pietyzmem.

Persepolis, błękitne meczety Ispahanu, Kum, Meszedu, feeryczne pałace Abbasa Wielkiego, otoczono pie-

czołową opieką i czyni się znaczne wysiłki, w celu rekonstruowania zniszczonych dzieł.

Najstarsze, znane zabytki perskiej sztuki, to ruiny pałacu Cyrusa w Pasargad oraz zdobywcy Babilonu Dariusza i Xerksesa w Tachte-Dżemszid (Persepolis). Jedne i drugie wykazują ogromny wpływ sztuki chaldejsko-assyryjskiej i egipskiej, jak również greckiej, choć co do tego ostatniego panuje między uczonymi pewna niezgodność.

Na położonych w szczyrej pustyni, olbrzymich, kamiennych tarasach Persepolis wznoszą się ruiny ścian, portyków, niezmiernie wysokich, smukłych kolumn, zakończonych przepięknymi kapitelami.

Nietylko linie architektoniczne, lecz również rzeźby i płaskorzeźby, zdradzają ową mieszaninę wpływów assyryjskich, egipskich i greckich. Prawdziwą, niezrównaną oryginalność, znajdują Persowie w przepysznym rozwoju ornamentu, a zwłaszcza ornamentacji ceramicznej; wspaniałe jej okazy, to jedyne w swoim rodzaju meczety Ispahanu: Lotfollaha, Szacha, Madrase Czacharbagh i inne.

Każda z tych glazurowanych cegiełek, których 18 milionów zużyto na zbudowanie np. meczetu Szacha, jest artystycznie skończona i cudna, jak klejnot.

Ta właśnie doskonałość ornamentacji, to zasadniczy wyraz i oryginalność perskiej sztuki (architektura Achmenidów i Sassanidów wykazuje owe wpływy assy-

ryjsko-babilońskie, egipskie i greckie, architektura islamu zaś wielkie wpływy arabskie).

Jednocześnie kwitnie w Persji, jedyne w swoim rodzaju, artystyczne rzemiosło, to, co nazwalibyśmy dziś „zdobnictwem“.

Czy będą to najpiękniejsze na świecie dywany, makaty i tkaniny jedwabne, czy niezrównane, wkuwane desenie tarcz, hełmów i broni, czy subtelne linie kielichów i dzbanów, wszędzie odnajduje się nieopisaną artystyczną harmonię.

Bo jak już wspomniałam, ta harmonia, tak wielka, że aż matematyczna, harmonia barw i linii to, co możnaby nazwać „najdoskonalszym rytmem stylizacji“, jest chyba główną, zasadniczą cechą perskiej sztuki.

Cecha tak istotną, że przejawiającą się nie tylko w ornamentyce, ale na przykład również i w miniaturach, stanowiących od wieków niezrównaną specjalność tutejszych artystów.

Tak zachowane z przed setek lat, jak i stworzone dziś, przez często bezimiennych, prymitywnych a świetnych malarzy, maleńkie arcydzieła, posiadają w przedstawionych scenach arealistyczną harmonię wyrazu.

Jest w tym wszystkim jakaś spokojna i pełna godności jednostajność czegoś, co osiągnęło już tak wielką doskonałość, że nie potrzebuje poszukiwać nowego, a niespodziewanego efektu, ale jest jednocześnie tyle subtelnych odmian, w zestawieniu barw, w świeżości motywów, że nigdy nie stają się one nużące.

Bo, jeżeli się można tak wyrazić, jedynie „rytm i harmonia“ pozostają niezmiennie, motywy zaś — to właśnie dowodzi żywotności kultury artystycznej — bierze się takie, jakie przynosi życie.

Czasem jest to dla nas, Europejczyków, nieoczekiwane i śmieszne, gdy naprzykład wśród zawitych ornamentów zjawi się motyw samochodu (!), lecz przyznać trzeba, że nawet te karkołomne połączenia czynione są z wielkim poczuciem harmonii.

Owo poczucie, poczucie estetyki, jest tu tak rozpowszechnione, że wydaje się, iż posiadają je naprawdę wszyscy, t. j. wszyscy rodowici, nie tylko z urodzenia, ale i z przekonania Persowie, nie wyrzekający się swojej starej — choć odmiennej od europejskiej, kultury, nie przekładający tandetnego niemieckiego fajansu z pucołowatą główką Gretchen, nad piękną, kutą misę, wszyscy to jest przede wszystkim — lud.

W zapadłych górskich wioskach okna i balkony zastaniają przepysznie rzeźbione drewniane kraty, wspniale inkrustowane noże służą do rozkrawania mięsa, a prymitywny drewniany zamek, zdobią zawile, a prawdziwie artystyczne desenie. Handlarz owoców na przedmieściu miasta, ustawia je w skomplikowane piramidki, oświetlając swą naftową lampą tak, by ich cienie utworzyły interesujący obraz.

Dbałość o piękno jest istotną, prawdziwą potrzebą tego ludu, wyraża się zaś w przejawach, choćby najprostszych, lecz zawsze artystycznie skończonych.

I ta „skończoność“, to, co sprawia, że każde dzieło — od najprymitywniejszego do najdoskonalszego — zdaje się być „zamkniętym kołem“, jest obok owej „matematycznej harmonii“ drugą cechą perskiej sztuki.

Pewien badacz francuski wygłosił zdanie, iż przyroda Persji, przyroda kontrastów — gdy po zielonych zboczach Mazanderanu, Gilanu czy Kuzistanu, nagle i bezpośrednio ukazują się martwe, kamieniste i straszne, położone od strony wewnętrznej wyżyny, stoki gór, że przyroda ta, była przyczyną powstania tu religii „dwóch pierwiastków“, religii wiecznie walczących z sobą — Arymana i Ormuzda.

I tak samo można chyba zaryzykować przypuszczenie, że jak głuchy, rytmiczny dźwięk dzwonek karawany odnajduje się w każdym motywie irańskiej muzyki, tak jednostajny, smutny spokój widoków wnętrza Persji, niezmiennosc oaz, zjawiających się wśród sfalowanych pustych wzgórz, dały podstawę niezrównanej harmonii perskiej sztuki.



23. MY I ONI

— Persja... tak... dywany... Wiem! wiem! Cyrus... Xerxes... a jakże wiem!“. Ale na tych wiadomościach kończą się przeważnie informacje przeciętnego Polaka o współczesnym Iranie.

Nietylko jednak większość nie zdaje sobie sprawy z obecnej, że tak powiem, „współczesnej“ sytuacji tego kraju, mało kto wie również jak wielki wpływ kulturalny wywierała Persja w ciągu długich lat na naszą ojczyznę.

Kobierce, dywany, brzozy, ceramika, broń etc. etc. cała ta barwna orientalna „sztuka stosowana“ szła do nas najczęściej przez Turcję, pochodziła jednak, w genezie swych artystycznych motywów, z Persji.

A na niej właśnie oparła się przecież narodowa t. zn. szlachecka moda, ona wprowadziła do nas altembasy i dywdyki, kontusze i delie, kolorowe safiany, krzywe szable i słuckie pasy.

Wpływy te dostawały się do nas, oprócz walk orężnych z Turcją i dzięki położeniu naszego kraju, które sprawiało, iż już od XIV wieku poselstwa angielskie,

hiszpańskie, burgundzkie i wenecki, kierujące się do Persji ciągnęły wielokrotnie przez Polskę.

Poza tym od XV wieku począwszy, aż do chwili utraty swej niepodległości, utrzymywała Rzeczpospolita przyjazne stosunki, z daleką krainą Szacha.

Podstawą tych dyplomatycznych rokowań, była zawsze wspólna niechęć do Ottomańskiego państwa i zgodne dążenie do zdławienia jego rosnącej potęgi.

I tak już Szach Hussein w XV wieku proponuje zawarcie zbrojnego przymierza przeciw Turcji. To samo powtarza jego następca w wieku XVI, a Szach Abbas Wielki (XVI—XVII wiek) wysyła wielokrotnie poselstwa swoje do Polski.

Nasi monarchowie nie pozostają dłużni. I tak w początkach XVII wieku udaje się z rozkazu Zygmunta III do Ispahanu kupiec Lwowski, Ormianin, Sefer Muratowicz.

Prócz misji dyplomatycznej, mającej na celu stwierdzenie możliwości wojskowych ówczesnej Persji, posiada Muratowicz również polecenie zakupu dla króla wielu cennych towarów i artystycznych wyrobów Perskich.

Że promieniowanie kultury perskiej na naszą sztukę było wyraźne, dowodzi fakt, iż w wieku XVIII Samuel Otwinowski przełożył już dzieła poety Saadiego.

Za następnych naszych władców mamy już całe serie poselstw dyplomatycznych do Iranu, z którymi ciągną liczne karawany kupców.

Następuje wymiana towarów, wyrobów artystycznych, wymiana darów etc.

Między innymi w końcu XVII wieku Szach Hussein, wysłał królowi Polskiemu Augustowi II całą partię żywych dzikich zwierząt.

Łatwo sobie wyobrazić z jaką olbrzymią trudnością połączony był przewóz dwóch lwów, lamparta, tygrysa i wielu pięknych azjatyckich ptaków. Ale był to bodaj pierwszy w Europie... „ogród zoologiczny“.

24. PIERWSZA FAJKA OPIUM

Jakiś dziwny zapach miesza się ze znanym odorem „roghanu“.

— Czuje pani opium?

Przystaję ze zdziwienia.

— Gdzie palą? W „czaj-khane“?

O dłuższego czasu szukam okazji zobaczenia tej tak egzotycznej dla mnie „czynności“.

Sama pójść w żaden sposób nie mogę — wszak kobiety w ogóle nie przekraczają progów „gave-hane“ — a o towarzysza na tę wyprawę jest, z wielu powodów, trudniej niżby się zdawać mogło.

Tym razem udało się — wchodzimy. Mam wyraźną treść. „Obrzęd“ palenia opium, jest przecież dla mnie zdecydowanie tajemniczy!

Niska, sklepiona izba, małe ławeczki, olbrzymi samowar i całe rzędy kolorowych czajniczków. Tu nie ma nikogo. Gospodarz zaszczycony odwiedzinami „ferenghi“, kłania się szybko kilka razy, wskazując drogę do oświetlonego sześciobocznymi latarniami ogródka.

Jest dziwnie błękitnie i nastrojowo. Przez kolorowe szkła padają na ziemię różnobarwne blaski, wysokie

platany o srebrzystej korze stoją smukłe i strzeliste, jak greckie kolumny, wokół okrągłego basenu, tłoczą się kępy różnobarwnych kwiatów i traw, w górze połyskują i migocą roje gwiazd.

Pod drzewami i koło basenu, siedzą na rozłożonych dywanikach ciemnolicy mężczyźni, popijając herbatę z maleńkich, w metal oprawnych szklaneczek, lub ciągnąc z wysiłkiem i namaszczeniem dym z wielkich, szklanych „kalyenów“ (aparatus do palenia tytoniu przez wodę).

Pod ścianą robotnik w błękitnym luźnym ubraniu z farbowanej w indygo bawełny i wielkich perskich pantoflach t. zw. „give“, rozkoszuje się tytoniowym dymem przymykając oczy. W kalyenie bulgoce woda, w której — dla ozdoby i zapachu — pływają drobne listki róż.

Mali chłopcy o murzyńskich rysach, wnoszą i wynoszą „kalyeny“ i trzymając cybuszek w ustach, rozdmuchują węgielki.

Rozglądam się dość niepewnie wokoło. Wszystkie oczy zwracają się ku mnie z niechęcią i oburzeniem. Jakże! Jestem jedyną w „czaj-hane“ kobietą, a w dodatku „ferenghi“.

Nagle siedząca naprzeciw nas grupa mężczyzn rozsuwa się szybko, tworząc małe półkole. „Pessar“ (chłopiec) wnosi i uroczyście stawia na środku rodzaj płaskiej, metalowej „skrzynki“ na czterech nóżkach, t. zw. „man-

gal“, gdzie na kupce wygasłego popiołu, leży kilka rozżarzonych węgielków.

Teraz podaje drewniane cybuszki, mające na końcu porcelanową, zupełnie zamkniętą fajeczkę, opatrzoną jedynie z boku małą dziureczką, wielkości łebka od szpilki.

Z namaszczeniem obracają palacze „bafur“ nad węglami, jak najmocniej rozgrzewając główkę, poczem szybko i sprawnie przylepiają tuż obok otworu kawałek opium, odłamany z długiej laseczki, podobnej do brązowego ołówka.

Przygotowania skończone. Jakby z ulgą palacze prostują się nieco i ująwszy małymi szczypczykami rozżarzony węgielek, trzymają go tuż nad owym kawałkiem opium, jednocześnie zaciągają się mocno leciutkim, błękitnym dymem.

Słodkawy, upajający, a jakiś przy tym ostry zapach rozchodzi się w powietrzu. Umilkły nieliczne rozmowy, wyraz błogości maluje się na wszystkich twarzach.

Wystarczy kilka pociągnięć, a przygasłe oczy poczynają błyszczeć, wygładzają się, ściągłe rysy, gorzkim wyrazem zaciśnięte usta rozchyła coś w rodzaju uśmiechu.

Widzę ze zdumieniem, jak nieprawdopodobną ilość czasu, przetrzymują palacze błękitny dym w płucach, przymykając oczy i lekko otchylając w tył głowę. Co parę chwil, szybko i zręcznie, przetykają otwór fajeczki specjalną igłą, wiszącą na łańcuszku u drewnianego

cybucha. Kilku popija przytem herbatę mocną i prawie bez cukru.

Persowie nie palą opium aż do utraty przytomności, a jedynie odurzają się nim lekko, jak alkoholem. Nałóg ten jest znacznie bardziej rozpowszechniony, niż chcą się do tego przyznać Irańczycy, mówiący o tych sprawach z cudzoziemcem niechętnie i wyjątkowo.

Nieraz zdarzyło mi się podróżować z szoferem opiumistą. W ciągu długiej — jakże długiej! — drogi, kilkakrotnie zatrzymywał się przed wiejskim „gave-hane“ i prosząc o parę minut czasu, wypalał ulubioną „fajczkę“.

Trudno się zresztą dziwić. Podróżując prawie wyłącznie nocą, robi się tu 400—500 km. „jednym tchem“ i człowiek śpiący w dzień zaledwie kilka godzin w straszliwym upale, musi szukać sztucznej podniety, by nie zwalić maszyny do przepaści, lub nie rozbić jej o skałę.

Opium perskie kosztuje tu około 4 rls. za laskę długości około 20 cm., a jest jakoby najlepsze na świecie. Gdy przed paru laty Liga Narodów rozpoczęła akcję, dążąc do zniesienia plantacji opium, dla zwalczania zgubnego nałogu, rząd irański nie podpisał odnośnego traktatu, $\frac{1}{5}$ część dochodów państwowych bowiem, stanowiły właśnie zyski z plantacji. Dziś, gdy stosunek wpływów uległ tak radykalnej zmianie, że stanowią one tylko 30-tą część dochodów rządu, przystąpiono już do pewnych ograniczeń.

Jedno ze sprawozdań francuskich z owego posiedze-

nia Ligi podaje, iż w pewnym momencie wstał ks. Arfa, delegat Iranu i uroczyście oświadczył, że aczkolwiek kraj jego ze względów wewnętrzno-państwowych przystąpić do traktatu anty-opiumowego nie może, to jednak rozpoczęto już kroki w celu zmniejszenia produkcji opium. I oto nie ma już dziś żadnych plantacji w 3 wielkich prowincjach Iranu: Mazanderanie, Azerbejdżanie i Gilanie.

La docte assemblée przyklasnęła z uznaniem mowie irańskiego delegata, nie interesując się kwestią, że w prowincjach tych opium istotnie nie ma, bowiem nie było go tam nigdy — gorzej nawet — być nie mogło ze względów klimatycznych.

Siedzący naprzeciw nas palacze popijają teraz herbatę, rozmawiając z ożywieniem. Służący pozbiierał już fajki, wewnątrz których zebrał się czarny, błyszczący osad, t. zw. „szire“, produkt silniejszy nawet od zwykłego opium; bywa on przerabiany raz jeszcze i często przez najsilniejszych nałogowców spożywany, względnie pity po rozrobieniu w wodzie.

Za wynoszącym „mangal“ chłopcem biegnie żalodne spojrzenie wychudłego, żółtego mężczyzny, siedzącego samotnie na małym dywaniku.

— Chciałby jeszcze zapalić, a nie ma już pieniędzy — stwierdza mój towarzysz i pochylając się, zaprasza staruszką na „bafur“.

Człowiek przyjmuje propozycję z radością, wstaje, kłania się nisko i przysiada do nas.

Mam teraz sposobność obserwować z bliska całą procedurę: widzę zręczność, z jaką palacz przylepia kawałeczki opium i czyści otworek swej fajki, widzę żarloczną chciwość, z jaką zaciąga się wonnym dymem, widzę jego nadmiernie rozszerzone źrenice, nerwowe ruchy i żółtą cerę.

Jest bardzo wdzięczny za zaproszenie. — Skończywszy pierwszą fajeczkę, kładzie ją ostrożnie na metalowym brzegu tacy i rozpoczyna uprzejmą rozmowę.

Pracuje jako woźny w urzędzie, zarabia dobrze, ma tylko jedną żonę i dwoje dzieci.

— Bo — dodaje, uśmiechając się niepewnie — palić zaczął już trzy lata po ślubie, szesnaście lat temu.

Stanowi to wyjaśnienie nielicznej rodziny, gdyż nałogowi palacze szybko stają się niezdolni do pełnienia „obowiązków małżeńskich“.

— A palić trzeba było zacząć koniecznie, doktor kazał — dodaje jeszcze nasz znajomy, sięgając po „bafur“ i błyskawicznie przygotowując go do palenia.

Może to jest tylko wymówka wobec „ferenghi“, którzy — śmieszne! — widzą coś zdroźnego w używaniu opium, może jednak być prawdą. Przed kilkunastu laty bowiem „doktorzy“, którym za jedyne „wykształcenie“ starczyły posługi w jakiejś europejskiej misji, nakazywali swoim pacjentom, przy każdej okazji, palenie opium, sądząc, nie bez słuszności, że „klient“ będzie zawsze zadowolony z tego rodzaju kuracji.

Druga fajeczka dobiega końca i suchy człowiek popija teraz herbatę, wkładając do ust kawaleczki cukru.

...Obecnie opium stało się dlań koniecznością, wypala dziennie jedną laskę, dzieląc ją na trzy porcje: o 7-ej, o 1-ej i o 8-ej wieczór. Tylko nie można się spóźnić!“.

Istotnie; nałogowi palacze odczuwają głód narkotyku zawsze o tej samej porze i to z dokładnością zegarka; najmniejsze, kwadransowe opóźnienie, doprowadza ich do szału zdenerwowania. Po wypaleniu jednak swej określonej porcji odzyskują zupełną równowagę.

„Czaj-hane“ opustoszało, przygaszono ozdobne latarnie, koło których krążą roje komarów. Rozglądam się i — niespodziewana decyzja:

— Chcę zapalić.

Konsternacja.

— Tutaj? w czaj-hane?!

— Właśnie w czaj-hane.

Mogę sobie pozwolić na tego rodzaju „skandaliczny wybryk“, będąc w mieście chwilowo i przejazdem.

— Europejczyk nie pali opium w ogóle, a zwłaszcza w czaj-hane — zaznacza oburzonym tonem mój towarzysz, mimo to jednak zamawia dla mnie „bafur“.

Sensacja jest olbrzymia. „Pessar“ pośpiesznie wnosi nowy „mangal“ i fajkę dla „hanum ferenghi“.

Niezręcznie idzie mi cała manipulacja, tym bardziej, że jestem jednak pod wrażeniem własnej ekstrawagancji. No! Nareszcie! Choć krzywo, ale trzyma się

mój kawałek opium, choć niezgrabnie, ale chwyciłam szczypczykami węgielek.

Zasyczała zbyt mocno przygrzana „laseczka“ i dziwny smak rozszedł się w ustach.

— Trzeba się dobrze zaciągnąć.

Przymykam oczy, wypełniając płuca lekkim, wonnym, jakby miękkim dymem.

Niezaprzeczenie — bardzo miłe! Nie czuję właściwie żadnego określonego wrażenia, ale jest mi przyjemnie. O!... bardzo przyjemnie!

Jeszcze jedno pociągnięcie... i jeszcze jedno... i jeszcze... i jeszcze...

— Będzie dosyć.

Zupełnie zapomniałam, że jestem ośrodkiem ogólnego zainteresowania i głos towarzysza jakby mnie zbudził.

Drugi kawałek opium przylepia się już o wiele zrzęcniej i smakuje wiele lepiej. Robi mi się wesoło, tak wesoło, jak nigdy w życiu. Osłabienie i zmęczenie upałem, stale dające się we znaki, dawno znikło. Jestem pełna sił, humoru, werwy, w głowie roją się lekkomyślne projekty, które, w dodatku, wydają się niezmiernie łatwe do wykonania.

— Stanowczo dosyć. — Tym razem głos brzmi surowo.

Niechętnie odkładam „bafur“, ale może istotnie zbyt już pociąga mnie „wschodni narkotyk“.

Wychodzimy. Jestem tak „lekka“, świeża i wypoczę-

ta, że teraz dopiero rozumiem, czemu Persowie w swej ozdobnej mowie mówią często zamiast: „palić opium“ — „kazać umrzeć zmęczeniu“.

Przytem podróż wydaje mi się cudowna, Ispahan najpiękniejszym miastem na ziemi, inżynier wybitnie interesującym człowiekiem, a gwiazdzista noc — odmianą raju.

— Tylko niech pani nie próbuje po raz drugi. Opium perskie jest niebezpieczniejsze od innych.

— Nie boję się narkotyków.

Ale na drugi dzień musiałam przyznać rację swojemu towarzyszowi: tak bardzo pociągały mnie raz doznane wrażenia, że aż przystawałam przed drzwiami „czaj-hane“, wdychając lekki zapach błękitnego dymu i myśląc, jaka szkoda, iż w obawie groźnej namiętności, nie można skosztować po raz drugi tajemniczego smaku „bafur“.

25. KOLACJA NA PUSZYSTYM DYWANIE

„Cher monsieur, votre ville est charmante, mais il n'y a pas moyen de la quitter“.

„Oh! dlaczego?“.

„Od tygodnia nie mogę dostać auta, a raczej miejsca do Szirazu“.

Gubernator jest oburzony. W desperacji przyszedł do niego właśnie po pomoc. W gabinecie, prócz mnie siedzi jeszcze dwóch ciemnych, o wiecznie tych samych czarnych oczach i czarnych włosach, gentelmenów.

Do nich teraz zwraca się gubernator. Kilka chrapliwych słów.

„Mademoiselle, sprawa załatwiona. Vous permettez — mister T. (pan na niezwykle krótkich nogach kłania się nisko), który właśnie jedzie do Szirazu i zaprasza panią do swego auta“.

Krótkonogi gentelmen kłania się raz jeszcze, po czym oznaczamy godzinę wyjazdu i rozplątam się w podziękowaniach. Grzeczność i uprzejmość względem cudzoziemca, jest tu doprawdy wzorowa.

Szumi motor automobilu pana T., mijają za szybami monotonne obrazy pustyni. Na sfalowanej, żółtej, słoń-

cem spalonej przestrzeni, zarysy gór to zbliżają się ku nam, to pędem uciekają na boki, by znów za chwilę zda się na wyścigi z maszyną, gnać ku drodze.

Zmienny kalejdoskop wrażeń. Kruszejące skały, raz do złudzenia przypominają obronne średniowieczne zamki, to znów stają się groźnym, w słońce wpatrzonym sfinksem, lub spoczywającym na ziemi olbrzymem.

Jak to być może, by wyobraźnia ludu nie zapełniła tych martwych a fantastycznych obszarów, tłumem legendarnych postaci? Wszak wiadomo, że podań i bajek jest tu mało.

W ciągu najbliższych godzin miałam otrzymać odpowiedź. Na wspaniały w swej grozie widok, początkowo patrzy się z podziwem i zainteresowaniem, potem obojętnie, wreszcie, gdy przez cztery, sześć, dziesięć godzin obraz się nie zmienia, strach, przygnębienie, beznadziejność stają się prosto dławiące.

Nie ma zieleni — tylko bezkresne osypiska drobnych kamyków, nie ma zwierzyny — tylko czasem, nocą, w światła reflektorów wpadnie obłąkana przerażeniem gazella, nie ma drzew, nie ma strumieni, nie ma życia — olbrzymia pustka, a górą martwota bez chmurnego nieba.

Przymykają się udrećzone oczy, głowa mimowolnie opada na poduszki wozu.

Opada... Nie na długo! Jak wszystkie szosy Persji i droga Ispahan-Sziraz, skądinąd doskonała, jest ni-niwelowana i składa się z szeregu pagóreczków, czasem

dość wysokich, a tak stromych i siebie bliskich, że w przerażeniu błyska myśl:

„Przecież się nie zmieścimy w ten rowek!“

Jazda przypomina pęd saniami po olbrzymich zaspach, i tym bardziej daje mi się we znaki, że rozbawiony szofer — (w lusterku widzę jego kręcone włosy i roześmianą gębę) — bierze je „skokiem“.

Hop! — na szczycie, ziuuuuu! — na dół i znów siuuup! do góry!

A bodaj cię!! Mam dwa tylko marzenia: pierwsze, abyśmy się wszyscy nie wysypali, i drugie, abym się ja sama nie pochorowała — w cudzej limuzynie! Nie znośszę morza, nie znośszę bujania... „O, jak to niszczy nerwy, tak huśtać się bez przerwy“.

Hop! — na szczycie! ziuuuuu! — na dół i znów hop!

O Jezu! jeśli długo — nie oprę się prawom natury.

Ale losy okazały się łaskawe. Nagle poza jakąś wściekłą serpentyną, wyrosła przed nami fantastyczna miejscowość — Yazde-Khast.

W olbrzymiej litej skale, wykuta jest cała, bez wyjątku, wioska. Łuki, mosty, balkony i pasażę łączą się ze sobą te dziwaczne mieszkania, mające coś z pieczar troglodyckich i coś z nowoczesnej kamienicy.

Zniknął za nami zwid nierealnej wsi, teraz mkniemy po równej, prostej, jak strzelił, szosie.

Jeszcze nie zdążył uradować się mój organizm, gdy już ze strachu zdrętwiała dusza. Szofer (śmieje się szelma ciągle!) gazuje tak, że omal fruujemy nad ziemią.

Nie wiem czego mu życzyć! Jeśli się „wykopyrtnie“ — to i ja z nim! Powtarzam więc tylko w duchu:

„Żeby mu motor przestał ciągnąć, żeby przestał ciągnąć, żeby przestał...!“ Ale nie przestał. Maszyna była dobra i oto krótkonogi mister T. z pięknym ukłonem oznajmia mi, że jesteśmy w Abadeh i że tu zamierza nocować.

Owszem, dlaczego nie, wolę zanocować, niż pędzić dalej, może do jutra wzmocnią się nerwy.

Wielkie „gave-hane“ w Abadeh, jest o dziwo! — niezmiernie czyste. Białe i jasne, posiada ogródek, gdzie nad nawadniającymi rowkami rosną nietylko drzewa ale i kwiaty, posiada izby, gdzie na nowych metalowych łózkach, nocować mogą podróżni.

Zapadł wieczór i koło jasnych, naftowych latarni krążą roje komarów. Brązowy chłopak w króciutkich spodniach i błękitnym kaftanie, przynosi w wysmukłym metalowym dzbanie wodę i polewa nam ręce.

„Will you dine with us?“ zaprasza, kłaniając się znów mister T.

„Beforme hamum!“ dodaje właściciel „gave-hane“, który już od godziny zabawia mego towarzysza rozmową.

Na czerwonym, puszystym dywaniku, na którym położono biały obrus, zasiadamy do kolacji.

Po raz drugi dopiero znalazłam się na takim przyjęciu. Cieszy mnie to niezmiernie.

„Beforme!“.

Jestem „dwukrotnie“ gościem i nie mogę odmówić, choć włosy jeżą mi się ze strachu, przed zapachem „roghanu“.

Nieufnie kosztuję potraw...? znacznie lepiej, niż przypuszczałam: korzenie i przyprawy są tak mocne, że głuszą ten straszny, dławiący odór.

A mister T. wyraźnie urządził dla mnie ucztę. Cała seria czysto perskich potraw: A więc „ku-ku“ omlet tak pełen wonnych ziółek, że ma kolor naszego szpinaku, zupy z jarzyn i owoców zwane „asz“, mięso baranie i jagnięce, oraz, jako ostatnie danie „pilaw“, ryż z ostrymi sosami, jak „kari“ i najbardziej lubiony „fazandżan“, robiony z korzeni, siekanych orzechów, soku z granatów i octu, w którym dłuższy czas leżał gwóźdź.

Kuchnia perska używa w ogóle, bardzo wielu przypraw kwaśnych. Nie wiem, może jest to w związku z rozpowszechnionym, specjalnie tu w prowincji Farsu, przesądem, że kwasy rozwijają ducha.

To przekonanie sprawia, że podobno nawet niemowlętom podają przez smoczek ocet z sokiem cytrynowym (!). Trudno się potem dziwić, że sodę do Szirazu zwożą wielkie kamiony.

Chciałabym jakoś zmienić pozycję. Kolana zdrętwiały mi „na drewno“, a przy tym wciąż widzę własne stopy. Zdumiewające jakie wydają się one olbrzymie, gdy zobaczy się je koło własnego talerza!

Patrzę z podziwem na moich towarzyszy, Siedzą jeden po turecku, drugi w t. zw. pozycji „japońskiej“,

a przytem z bajeczną zrecznością podnoszą potrawy do ust.

Stanowczo jestem za wysoka i w ciągu tak długiej drogi, zupa rozchlapuje mi się z łyżki.

Do picia podano „dug“, owo kwaśne mleko owcze, z wodą, cukrem i lodem, a dla mnie wino z Szirazu. Uchodzi ono za jedno z najlepszych w Persji, a dość powiedzieć, że w XVI w. Portugalczycy osiedleni na wyspie Ormuzd w zatoce Perskiej, skupywali je i transportowali do swej ojczyzny.

Chciałabym spytać mister T. czy jest żonaty, czy ma jedną tylko kobietę etc. ale boję się go urazić. Wogóle europejczyk — zwłaszcza zresztą mężczyzna — musi w głębi kraju niezmiernie uważać na swoje słowa, gdyż, zapytując naprzykład o zdrowie żony swego rozmówcy, trafić może na człowieka starej daty, który poczyta to za ciężką obrazę.

Wszak przepisy grzeczności zmieniają się w zależności od geograficznego położenia. Tu np. do dziś nakryta głowa oznacza szacunek, a ktoś osiedlający się w mieście nie składa „pierwszych wizyt“ czekając, aż odwiedzać go zaczną dawniejsi mieszkańcy.

Skończyliśmy kolację, mister T. zapalił teraz wielki „kalyen“, który przyniósł mu zaafierowany i rozpędzony służący. Właściciel gave-hane, chuderlawy w swym za szerokim europejskim ubraniu i z rozwianym włossem, niezmiernie zabiega o łaski mego towarzysza.

Rozgadaliśmy się na dobre. Mister T. twardym ak-

centem opowiada po angielsku, jak dotąd jeszcze w zapadłych kątach południa nie można informować się u wieśniaków czy daleko leży dana miejscowość, ponieważ, wedle nakazów proroka (by nie odbierać otuchy podróżnym) odpowiedzą zawsze, że tuż obok, choćby w rzeczywistości jechać tam trzeba było dzień cały.

Chcę wyzyskać sytuację.

„Czy mógłby mi pan wyjaśnić co to jest „mach-nat?”“.

Lekka konsternacja i uprzejmy Irańczyk odpowiada, że trudno mu wytłumaczyć, zresztą „dzisiaj to już nie istnieje“.

Po prostu unika odpowiedzi. Przed dwoma dniami bowiem w odległości kilkudziesięciu kilometrów od Ispahanu, w jednej z zapadłych wiosek, zwrócił moją uwagę wybitnej urody chłopak, barwnie ubrany z kolorową chustką na szyi.

Zapytany, odpowiedział, że jest „mach-natem Achmeda“. Objasniono mnie, że Achmed, to miejscowy bogacz, w żaden jednak sposób nie mogłam dojść, co znaczy „mach-nat“.

I dopiero dużo później poinformowano mnie, że „mach-nat“ ma być legalną konkubiną rodzaju męskiego, znowu „pobłogosławioną“ przez mułłę. Tego rodzaju związki są podobno religijnie dozwolone, a przynajmniej tolerowane i choć obecnie surowo zakazane i tępiące przez państwo, pokutują jeszcze czasem w zapadłych kątach południa.

Jest niezmiernie późno, na podcieniu gave-hane zasiadł w kuczki smagły chłopak i z wyrazem rozkoszy na twarzy pali „bafur“.

Na niebie migocą roje gwiazd.

„Jutro ruszamy o 6-ej“. Zaznacza mister T.

Coprędzej uciekam spać.

Złote promienie zalewają już o 5-ej kaskadami Abadeh. To zabawne! Hammerfest ma $4\frac{1}{2}$ tys. mieszkańców, a mimo to jest dużym miastem, Abadeh liczy ich 7 tys. i jest — wioską! Wioską jak wszystkie inne które na wewnętrznej wyżynie Iranu widziałam.

Gliniane domy, równe sześciany, o oknach zasłoniętych pięknie rzeźbionymi żelaznymi kratami i szczelnie zamkniętych drzwiach bez wyrazu. O długich złotych murach z za których wychylają się czuby platynów i wierzb, o ulicach obrzeżonych nawadniającymi rowkami, nad którymi chylą się niewielkie drzewa.

Wolno krążą po europejsku, nędznie ubrani mężczyźni, przejdzie „zmodernizowana“, w chustce tylko, dziewczyna, czasem przemknie czadurem okryta kobieta.

W tej chwili właśnie uwija się po szerokiej drodze postać w długiej, kwiecistej zasłonie i szerokich czarnych szarawarach.

Szybko drepcą nogi w białych „give“, a brunatne ręce zbierają pośpiesznie suchy nawóz osłów i mulów.

Tu gdzie nie ma ani lasów, ani krzaków, ani większych chwastów, służy on ludziom ubogim za jedyny

bodaj opał. Wielkie gęste „dżengel“, gdzie wypala się tonny i tonny drzewnego węgla, są przecież tak daleko!

Denerwująco ryczy klakson samochodu pana T.

Niechże „hanum ferenghi“ nie robi zamieszania i wraca prędko na swoje miejsce w automobiliu, by znów setki kilometrów patrzeć na migające za szybami puste równiny, puste góry, puste skały i nieliczne, glinianym murem otoczone, egzotyczne i dzikie posterunki żandarmerii.

Praży słońce, straszliwy kurz tamuje oddech. Jakież olbrzymie są odległości w tym kraju!

W najupalniejszej godzinie ukazały się przed nami mury Szirazu.

26. SZIRAZ I CUDOTWÓRCZA STUDNIA SAADIEGO

Nie łatwo jest wytrzymać latem w Szirazie. Siedzę w szczelnie zamkniętym, o przysłoniętych oknach pokoju i zrzucam kolejno wszystkie części garderoby, pozostały już tylko lekkie perskie pantofle i właśnie zastanawiam się czy podobna, aby one to wywoływały wrażenie, że jestem okryta kozuchem?

A pomyśleć, że tu do Szirazu, przyjeżdżają na ochłodzenie Anglicy z Bushir! Polecano mi zwiedzić ten port nad Zatoką Perską. Kiedy jednak usłyszałam, że wystarczy tam wypić szklankę niedogotowanej wody, by dostać tz. „gni“, pasorzytów przedostających się z wnętrzości pod skórę i owijających człowieka długimi na metr wstęgami, które wydobywać trzeba za pomocą bolesnych i żmudnych operacji, że wogóle brak wody, a kąpiel w morzu jest wobec rekinów i ryb pił — wykluczona, no i zwłaszcza, że panuje tam obecnie temperatura 60-ciu stopni w cieniu — nieco się zniechęciłam.

Przytym droga Sziraz-Bushir, to bodaj najtrudniejsza z samochodowych tras Iranu: budowana pośpiesz-

nie w czasie wojny przez Anglików zakreśla tak straszliwe łuki i serpentyny, że przeciętnie jedna maszyna tygodniowo wali się w przepaść.

„Nie rozumiem pani obaw, można jechać zupełnie spokojnie, jedynie przy wszystkich zjazdach stać trzeba na stopniu i w razie niebezpieczeństwa natychmiast zeskoczyć. Zawsze tak robię“, namawia mnie miejscowy Niemiec.

Nie uległam. Wystarczyło mi widziane na drodze z Ispahanu, leżące w — nie głębokiej zresztą szczelinie — auto.

Sądzę, że tutejsi szoferzy mają „pasję niebezpieczeństwa“, pędzą bowiem na złamanie karku, by potem godzinami stać w przydrożnym czaj-hane, mimo irytacji podróżujących ferenghi mających idiotyczne wymagania, by dojechać w określonym mniej więcej czasie. To też gdy szofer oświadczy, że jest zmęczony i zatrzymawszy auto położy się obok spać na parę godzin, cudzoziemcy złością się niesłychanie, aczkolwiek bezskutecznie.

Sziraz ukazuje się podróżnemu nagle u stop wyniosłych, żółtych skał. Pewno prawom kontrastu zawdzięcza stolica Farsu opinię „miasta cudownych ogrodów“. Z trudem pielęgnowane, proste w liniach, pełne gęstych, strzyżonych krzewów, nie wzbudzają one zbyt dużego podziwu Europejczyków. Pamiętać jednak trzeba, że tu, roślina, czy drzewo, wyrośnie wówczas

tylko, gdy teren będzie nawodniony, gdy ludzkie ręce sprowadzą ze źródeł i strumieni ożywczą wilgoć.

A niestety, w mieście z nieznanymi powodów wycięto stare, ocieniające drzewa i teraz główna „avenue“ — (56 mtr. (!) szerokości) — obrzeżona niskimi, jednopiętrowymi domkami, smaży się w jarzących promieniach słońca.

Krąży po niej wielu Murzynów i mieszaińców, pochodzących od dawnych niewolników z Bushir, ciągną karawany, przeważnie — o dziwo! — konne. W prowincji Farsu bowiem kwitnie hodowla pięknych, zbliżonych do arabskich, koni.

Taką właśnie pełną fantazji parą siwków, wiezie mnie miejscowy dorożkó, do stóp pobliskich skalistych, nagich gór, gdzie leżą grobowce dwóch wielkich poetów Iranu Hafeza i Saadiego. Przebudowywane obecnie, pełne kurzu, majstrów i robotników nie czynią żadnego wrażenia.

W maleńkim ogródku, krążą, rajcują i kłóć się całe tłumy kobiet. Jestem zachwycona! Więc lud przychodzi tu uczcić pamięć swych słynnych piewców?

Dorożkó ze śmiechem wskazuje ukryte pod porządnym obmurowaniem schody. To zejście do źródła Saadiego, źródła obdarzonego cudowną własnością: oto wypiszy zeń parę kropel i dokonawszy koniecznych ablucji, „można być pewnym spełnienia, najgorętszych życzeń, a zwłaszcza — powicia syna“.

Samo to połączenie: „spełnienie życzeń, a zwłasz-

cza urodzenia syna“, świadczy jak ważnym, jak nieodzownym, jest dla irańskiej kobiety męski potomek. Właściwie wydanie na świat córki to tragedia, czasem nieomal hańba.

Europejka, żona Persa, z którą mąż przestał rozmawiać, gdy po dwóch chłopcach powiła dziewczynkę, mówiła z westchnieniem:

„Muzułmanie tak lubią kobiety, a tak niecierpią córek!“.

To też do cudotwórczej studni Saadiego, zbiegają się żony i narzeczone (dla pewności) z bliższych i dalszych okolic. Wiara w skuteczność tej pielgrzymki ma być niezachwiana.

Tak przynajmniej objaśnia mnie świeżo poznany Irańczyk, który z podziwu godną uprzejmością pokazuje mi „Sehenswürdigkeit’y“ miasta. A więc starożytny meczet, wspaniałe obronne mury i muzeum o kilku ciekawych, antycznych miniaturach i wyrobach ceramicznych.

„Słońce już zaszło, może chce pani wyjechać za miasto, by rzucić okiem na okolice?“.

Znów rozbręczana dorożkę wiezie nas w kierunku gór, zdających się wznosić tuż nad miastem, a leżących w rzeczywistości o parę kilometrów.

Na łagodnie pochyłych zboczach, szeroko sadzone krzewy winogrodu. Rozglądam się uważnie.

„Nie widzę nawadniających rowków...“.

„Bo to „dejm“. Informuje Irańczyk.

„Dejm“, jest to teren, który dzięki specjalnej strukturze, zachowuje całe lato wiosenną wilgoć, dzięki czemu można sadzić i siać na nim rośliny bez irygacyjnych prac. „Dejm“ w Iranie to skarb, każdy właściciel szczyli się nim niezmiernie.

„Niech pani zwróci uwagę na te pola. Zapewniam, że oba obsiane były tym samym gatunkiem pszenicy, z tą różnicą, że jedno jesienią, drugie wiosną — jak pani widzi dojrzewają jednakowo“.

Prowincja Farsu niezmiernie różnorodna, dostarcza (prócz koni, owiec, wełny) również zboża, bawełny, wina, daktyli, cytryn i pomarańcz, które, jeżeli chodzi o samo miasto Sziraz, rodzą się w jednej jej części, zasłoniętej od wiatru, nie dojrzewają w drugiej wystawionej na chłodne podmuchy.

Ciekawa rozmowa z moim towarzyszem tocząca się już teraz przy stoliku w hotelowym ogródku, przerwana zostaje z konieczności: na podwyższeniu zasiadła perska muzyka.

Pierwszego dnia słuchałam jej z zainteresowaniem, drugiego obojętnie, trzeciego niechętnie, następnie już z wściekłością.

Rytmiczna, ostra, hałaśliwa, z niemożliwą do uchwycenia melodią, a dziwnie przytym głucha i ponura, staje się wprędce nieznośnie drażniąca dla europejskiego ucha.

Muzyka perska kultywowana zwłaszcza w XV wieku (z owych czasów zachowały się znakomite dzieła o mu-

zyce np. Abulefa), posiada dwanaście zasadniczych rytmów.

Zgrupowane po trzy, mają, wedle Persów, krańcowo inny charakter: „Rast“, „nawa“ i „orszak“, to rytmy wojny i bohaterstwa. Na nich śpiewana bywa Szach-name.

„Buzelik“, „husseind“, „ispahan“ służą najtrudniejszym melodiom, przeznaczonym dla znawców. „Hidgaz“, „zengule“, „babilon“ są wesołe, radosne, używane w czasie zabaw i festynów. Podobno koncert tego rodzaju utworów, wyleczył miał Szacha Abbasa z melancholii, w którą zapadł po ciężkiej chorobie.

Wreszcie „buzurk“, „zirefkend“ i „ruszui“ są smutne, żałobne i ciężkie.

Nie wiem, których używa nasza orkiestra, wiem, że męczy i szarpie nerwy. Uciekajmy na puste w tej chwili ulice.

Zapadła noc, rozjarzyły się gwiazdy. Uff! nareszcie będzie można zacząć żyć!

27. ALLAH ODWRÓCIŁ SIĘ OD NOMADÓW

„Niech pani spojrzy, to napewno Kaszkai“.

Za otwartą bramą hotelowego ogródka, przystanął rosły, o wydatnych rysach, mężczyzna. Resztki jakiegoś ciemnego szala zwisają z pod okrągłej czapeczki, wyniosła postać odbija, od otaczających go drobnych, słabo rozwiniętych przechodniów.

Patrzę nań ze współczuciem. Kaszkai wielkie plenię Nomadów, bogate w stada, dzielne, bitne i — rozbójnicze, zostało w krwawy sposób opanowane i siłą zmuszone do osiadłego życia.

Dano im ziemię. Lecz tutaj nie rodzi się nic bez sztucznego nawadniania, a koczownik, to nie chłop perski, któremu wystarczy rzucić okiem na pole, by instynktownie wiedzieć, jak przekopać trzeba irygacyjne rowki.

Kaszkai to pasterz, wojownik i nomada, robić tego nie umie i — może nie chce. Wieki i wieki żył pod namiotem, przenosząc się z wysokich dolin na płaszczyny i z płaszczyn ku przelęczom, a dziś... trzeba mieć pozwolenie, by mieszkać w „czadurach“ i przykuto Kaszkaich do stałych miejsc pobytu.

To też przymierają głodem i poczynają ginąć powoli, beznadziejnie.

Podyktowana względami gospodarczymi i państwowymi akcja, osadzania nomadów na roli, była może konieczna, wiele jednak popełniono tu krwawych okrucieństw.

A koczowników z gór Farsu np. wielkie plemię Bah-tiari, można było porównać do średniowiecznych „Raubritterów“.

Zdarzyło się, iż do włoskiego inżyniera, pracującego przy południowym odcinku kolei, podszedł mężczyzna, zapytując czy nie potrzebuje służącego.

Wydał się Europejczykowi sympatyczny, został więc przyjęty.

Istotnie okazał się wierny, staranny i znacznie porządniejszy od swych poprzedników.

Po paru tygodniach inżynier zaprosił do siebie kilku kolegów i przy tej okazji polecił służącemu, otworzyć parę butelek szampana.

Jakież było jego zdumienie, gdy następnego ranka, „aszpaz“ odezwał się doń najczystszą francuszczyzną:

„Dałeś swym przyjaciółom podłe wino. Nie takie ja w życiu pijałem“.

„A któż ty jesteś?“ spytał przerażony inżynier.

„Jestem Bahtiari, byłem szeikiem, a dziś... cóż! cieszę się, że wyniosłem całą głowę i że mogę żyć u ciebie za parę kranów dziennie. Już cię znam teraz Arbab. Wiem, że mnie nie wydasz“.

Bo szefowie Bahtiari, kształcili synów w Anglii, posiadali, jak naprzykład szeik Mahmara-Haz-Al najlepszych adwokatów Bagdadzkich na swoje usługi, a rabując i porywając podróżnych dla okupu, zachowywali przytym pewne cechy prawdziwej rycerskości.

Dziś osiedleni przemocą na ziemi, częściowo przeniesieni daleko na północ, z trudem przystosowują się do nowych i obcych sobie warunków.

Ten sam los spotkał Lurów, ten sam Szach - Sewanów, ten sam Kurdów.

„I cóż mamy począć?“ rzekł wódz plemienia Szach-Sewanów, gdy przyniesiono mu rozkaz opuszczenia się w doliny i zamieszkania w wiosce. „Nie ma dla nas miejsca na ziemi. W Turcji jeszcze gorzej, w Rosji tak samo, Allah odwrócił się od Nomadów!“

Pokazywano mi kiedyś porządną, równo zbudowaną wioskę — wioskę dla Kurdów. Koło pustych, jakby wymarłych chat stała rośła, w barwne tkaniny okręcona kobieta i przepysznyymi oczyma patrzyła ponuro ku góróm.

Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że jest to spojrzenie więźnia.

A o ile kobiety perskie, we wnętrzu kraju, były omalże niewolnicami, o tyle koczowniczki cieszyły się wolnością i znaczeniem.

Notowane są fakty, gdy u Kurdów kobiety stawały na czele plemion, nawet w czasie wojny, a księżniczki

Bahtiarci słynęły swą energią, przedsiębiorczością, nawet samowolą.

Smutno i ponuro patrzy przed siebie Kaszkai.

„Ja go znam“, odzywa się nagle jeden z towarzyszących mi w tej chwili europejczyków, „odbierał ode mnie broń“.

„Broń?“

„Tak. W czasie ostatniego buntu przeciw rządowi, dostarczałem im karabinów. Pani myśli, że to już koniec? O! można być pewnym, iż nomadzi wielokrotnie walczyć jeszcze będą. Los ich jest przecie straszny!“

Czuje, że oczy moje stają się okrągłe. Zdumiewa bezczelna odwaga z jaką ten ex-pułkownik wielkiej wojny, przyznaje się do swych, niezbyt legalnych czynów.

Reżim nie u wszystkich cieszy się sympatią.

* *

*

Szumia przemykające pod oknami limuzyny, na gładkim asfalcie teherańskiej ulicy miękko rozplaszczają się kopyta wielbłądów.

„... niechże pani pomyśli, że u koczowników korzyści ze stad, z rabunków i okupów ciągnął głównie szejkwódz. A jego prości podwładni, zwykli bandyci... Oh! pardon! byliby oni srogo dotknięci takim mianem! Szerokie masy jednym słowem, jakież miały życie?

Choćby u tych słynnych Bahtiarci: Za pożywienie

słodkie żółędzie, za mieszkanie prymitywny namiot. Większość nie widziała nawet nigdy murowanego budynku“.

„A teraz?“.

„Teraz!“.

Dygnitarz rozpiera w fotelu swą potężną postać, białe zęby śmieją się zarozumiale. „Teraz, dzięki nam, otrzymali grunty, otrzymali domy. Prawda — wielu trzeba było przenieść do innych prowincji, nie rozumieli bowiem, iż można u nich żyć nie rabując, ale ujrzeni za to miasta, otrzymali pracę. Wielu zatrudniono przy budowie trans-irańskiej kolei, są ze swego losu bardzo zadowoleni. Sam widziałem, jak ci dzicy pasterze, nie znający dotąd miast, bawili się w gave-hane i kinach Teheranu“.

Są bardzo zadowoleni... Patrzę bezmyślnie w słoneczny kwadrat okna... I nagle staje mi w oczach wysoka, chuda postać smutnego Kaszkai i słyszę zrezygnowane słowa: „Allah odwrócił się od nomadów...“.

„Niech pani zanotuje“, budzi mnie z zadumy apodyktyczny głos, „niech pani zanotuje, że nasza akcja osiedlania koczowników na ziemi, jest akcją omalże humanitarną“.

Zanotowałam.

28. FELIETON RYZYKOWNY

„Miniatures impolies“.

Solimann handlarz starożytności, mruga na mnie porozumiewawcza.

„Bon travail... très bon travail madame...“ i schylając swój pękaty korpusik wschodniego żydka, usiłuje wyciągnąć, zawierające je pudełko.

„Non, merci“.

„Pourquoi madame?... Bon travail!“.

„Soliman, daj jej spokój, skoro nie chce!“.

Szczupła, dziwnie elegancka Persjanka stoi obok mnie, mrużąc śliczne podłużne oczy.

„Wybaczy pani, że się wmieszałam, ale inaczej nigdyby pani nie puścił“.

„Dziękuję...“.

I znajomość zawarta.

Moja rozmówczyni podróżowała wiele, zna europejskie języki, spędziła we Francji, Anglii, Niemczech dziesięć lat, posiada tę giętką i bystrą inteligencję wschodnią, która „gdy się uda“, ma nieodparty czar.

Spotykamy się kilkakrotnie.

„Ja właśnie, będąc kobietą, mogę pani ukazać i opo-

wiedzieć wiele rzeczy. Mężczyznom trudno, inne „hanum“ często nie chcą się zdradzać wobec „ferenghi“ — białe zęby w za szerokich trochę ustach, błyskają uśmiechem. „Ja dość znam Europę by wiedzieć, że w większości krajów kryją się po kątach, całe pokłady niesamowitych przesądów. A cóż dopiero u nas! Wieki zaległości! Islam!“.

Mariam jest oczywiście bezwyznaniowa, czego nie zaniedbała mi zaznaczyć zaraz na wstępie.

„Jakże, wobec swych nowoczesnych poglądów, może pani wytrzymać tak strasznie zależne stanowisko Irańskiej kobiety?“.

„Po pierwsze mam nadzieję niedługo wyjechać, po drugie, jeśli się jest młodą i ostatecznie nie najbrzydszą, można coś nie coś od męża uzyskać, a po trzecie — śliczne zęby znów błyskają w uśmiechu — ...bo tylko europejki myślą, że my tak zupełnie żadnych przeżyć nie mamy. Ogół — no... może! ale niektóre...!“ — Dzwoni kaskada troszkę beczelnego śmiechu.

„Przede wszystkim, musi pani wiedzieć, że w kraju, gdzie znajomość tajemniczych właściwości ziół i leków jest wielka, a jednocześnie tak ceni się dziewictwo kobiety, jak u nas, dziwnem by było, gdyby nie znalazły sobie uciśnione niewiasty sposobów i sposobików.

W naszym domu na przykład, była stara „badzi“. Przywiązana do mnie fanatycznie, kiedyś zapewniała w sekrecie, że gdyby „coś się stało“ i zaszła potrzeba,

ona w wilię małżeństwa, da mi leki, które „zatrą wszelkie ślady“.

„Czyż to możliwe??“.

„Nie na długo, na jeden dzień. Coś w tem musi być, skoro moja bliska kuzynka... Czy pani wiadomo, że w niektórych prowincjach istniał, a nawet istnieje dotąd zwyczaj, iż gdy młodzi małżonkowie, znajdą się enfin seuls, cała rodzina zgromadzona czeka pod drzwiami, a młody mąż ma obowiązek, wyjść i ukać zebrany prześcieradło, jako realny dowód dziewictwa żony. Gdyby tego nie uczynił, ubliżyłby jej rodzinie. Otóż kuzynka, o której wspomniałam, miała pewne przeżycia... — oh! to zdarzało się również i u nas, choć ze znacznie większym ryzykiem. — Gdy wychodziła za mąż, przybiegła do naszej „badzi“. Jak się owa kuracja odbyła — nie wiem. Wiem, że skutek był chwilowy wprawdzie, lecz zbyt udany: zgromadzona rodzina bezskutecznie czekała pod drzwiami pokoju.

Wreszcie znieczepione stare hanum wtargnęły do wnętrza, wyrzuciły zeń wściekłego zresztą męża, a wzięły ze sobą brzytwę i świecę...

Komentarze chyba zbyt liczne. Brrrr! cóż za barbarzyństwo!!“.

„Wszystkie te sprawy ulegają jednak zmianom“.

„Tak, postęp jest znaczny. Ale niepodobna zwalczyć w ciągu lat zacofania wieków. Wie pani przecież o małżeństwach dzieci?“.

„Oczywiście“.

„I nietylko małżeństwa... Są przecież 8-o, 9-o letnie dziewczynki, już „zawodowe“, mimo pościgu policji...“.

„Tak... Prawda...“. I staje mi przed oczyma owa siedmioletnia, smągła, śliczna i mimo wszystko wyglądająca na dziecko hanum, która przy mnie ofiarowywała swoje usługi europejczykowi w Szirazie...

„Są też przepisy higieniczne, niezmiernie mądre w założeniu, straszliwe w interpretacji. Prorok rzekł, iż zamiast wody wolno używać piasku. Lecz gdzie jest granica między piaskiem, a kurzem?“.

„Tak wiem. Widziałam na południu dziewczynki używające prochu ulicznego do najintymniejszych celów. Wobec tej ilości chorób wenerycznych — potworne!“.

„Jeżeli chodzi o higienę postęp jest jednak olbrzymi. A wie pani co między innymi dodatkowo wpłynęło na kobiety, zwłaszcza wewnątrz kraju?“.

„?“.

„Zdjęcie czaduru“.

„Czaduru?“.

„Oczywiście. Zakutane od stóp do głów hanum, o ile z natury nie były schludne, mogły najzupełniej nie dbać o siebie. Nikt nic nie widział. A wie pani ile na wschodzie robi się dla oczu ludzkich. Mam wiele znajomych, których stopień czystości podniósł się w dwójnasób teraz, gdy muszą pokazać się bliźnim!“.

„Z tą higieną nie musi być świetnie, skoro nietylko lud, ale i ludzie inteligentni, wyczyniają gesty...“.

„Gesty?”

„Jakże mam to pani określić?? Gesty, które przywodzą na myśl najfatalniej zainstalowane insekty”.

Moja towarzyszka śmieje się, mało! zanosí się od śmiechu, aż łzami zachodzą śliczne oczy.

„Oh! mademoiselle! oh! là là!”

Nie wiem co takiego palnęłam. To przecież fakt. Że ludzie wschodu w ogóle, nie krępują się zbyt w sprawach fizjologicznych — wiadomo. Ale bezceremonialność pewnych ruchów, zgorszyła nawet mnie.

„Insekty! Oh! là! là! nie insekty, lecz po prostu brzytwa!

„Brzytwa?”

„Żiletka, jeśli chodzi o ludzi moderne. Czyż pani nie wie, że mahometanie, tak kobiety, jak i mężczyźni golią się, że tak powiem, od stóp do głów?”

Nie wiedziałam. Ot! co znaczy brak dostatecznego wykształcenia! Teraz rozumiem wiele rzeczy, które mnie przed tym raziły. I zaczynam się śmiać. Właściwie bardzo zabawne.

„Prawdopodobnie zauważyła pani, jak wiele miejsca w rozmowach moich rodaczek zajmują sprawy erotyczne, lub choćby pośrednio z erotyzmem związane. (Zabawne, że podkreślam to ja, mówiąc z panią od godziny, o tych właśnie rzeczach!).

Otóż w Europie zastanawiałam się, czy powodem nie jest fakt, iż nasi mężczyźni na ogół są w tej dziedzinie tak różni od europejczyków? Znałam europejczyków...

cóż za porównanie! Mój mąż kochał mnie bardzo, a jednak...“.

„Dziwne. U nas ludzie wschodu mają wprost przeciwną opinię“.

„Może inni, nie Persowie — to pewna. Właściwie możnaby przypuścić, że przeżycia kobiety nic ich nie obchodzą. Absolutny egoizm fizyczny, Możliwe, że nie należy tego uogólniać bezwzględnie, ale tyle znajomych, przyjaciółek i kuzynek czyniło mi podobne zwierzenia!

Oczywiście dużo znaczy i nieświadomość. Gdy pierwszy raz poznałam — jakby to wyrazić? — inny sposób postępowania, byłam zdumiona i wydało mi się ono nienormalne.

„Rzeczywiście, że informacji, jakie od pani otrzymuję, może mi udzielić tylko kobieta“.

„Tak. Zato mężczyźni mogliby oświetlić inną dziedzinę. Gdy ktoś w jednej z naszych słynnych łaźni, poprosi „baigneur'a“ o sprowadzenie hanum (co się często zdarza) wielokrotnie otrzymuje odpowiedź:: tak trudno szukać, posyłać, ale mamy tu kilku ślicznych chłopców, może wystarczą?“.

„Tu jest bądź co bądź wschód“.

„Tak, wschód. Do niedawna w Ispahanie Europejczyk łatwo mógł być zaczepiony przez ślicznych chłopców ofiarowujących mu róże, z wyraźną intencją... Ale, zresztą nie jest to tylko właściwość wschodu. Prze-

cież najstarsze prawo małżeńskie francuskie, w pierwszym paragrafie opiewa: osoby pragnące zawrzeć związek małżeński, muszą być płci odmiennej“.

„Zamurowała“ mnie. Nie wiem czy to prawda, wątpię, a jednak „zamurowała“ mnie.

29. I ZNÓW $\frac{1}{50}$ CZĘŚĆ SEKUNDY

„Czy jest wolny pokój?“.

„Bahle! panie“.

„Chcę od północy“.

„Od północy panie“.

„Z balkonem“.

„Bahle! z balkonem panie“.

„Biorę go zaraz“.

„W tej chwili panie“.

Okazuje się, że pokoju nie ma, będzie jutro, bez balkonu i od południa.

* *
*

„He! pessar! czy z waszego garażu odchodzi auto o 3-ej?“.

„Bahle panie o 3-ej“.

„Ale może dziś odejdzie później?“.

„Tak panie, później“.

„Czy wiesz napewno?“.

„Bahle, bahle, napewno“.

„Zatem wyjedzie o drugiej?“.

„O drugiej, panie“.

„Ależ ty nie masz o niczym pojęcia! Idź do diabła (do piekła!“).

„Idę panie!“.

Rodowity Pers w głębi kraju, uważa najczęściej za szczyt niegrzeczności powiedzieć ferenghiemu „nie“, w jakiegokolwiek formie i z jakiegokolwiek powodu.

Ferenghi z początku irytuje się, piekli, powołuje na otrzymane informacje, potem przyzwyczajają i dodaje do każdego projektu i zamiaru słówko „inszallah“ (jeśli Bóg pozwoli).

* *
*
*
*

Przed Ispahańskim hotelem zatrzymało się auto. Widać z budowy przystosowane do dalekich podróży w Azji. Powoli otwierają się drzwiczki. Kolonialne hełmy, kolonialne stroje. Anglik z żoną. On ma lat 72 ona 63. (Sprawdzone w paszportach u portiera). Jadą z Indii do Londynu. Sami. Przybyli tu od Zahedan setki klm. przez pustynie Beludżystanu. Zamierzają odpocząć dwa dni, poczym ruszają przez Bagdad i pustynię Syryjską dalej.

Niespożyta rasa.

* *
*
*

„Madame... bon travail!... vieux travail... de Yezd... achetez madame... pour vous...

„Nie mam pieniędzy“.

Od trzech dni oblegają mnie kolejno w hotelu i na ulicy, handlarze starożytności. Raz są to stare kalamkary, ręcznie drukowane tkaniny, kiedyindziej indyjskie brokaty, lub kute, srebrne bransolety, kasetki, jedwabie etc.

Bronię się jak lew, choć rzeczy są cudowne. Zwłaszcza wpadł mi w oko piękny, gruby jak skóra kurdyjski jedwab, 7 mtr. długości a 40 cm. szerokości. Dla tego też rzuciłam go z pogardą na ziemię.

„U nas wyrabiają lepsze“.

„Madame!! bon travail! vieux travail...!“.

„C'est un torchon!“ oświadczam kategorycznie zabierając się do oglądania niesamowitego bric á brac'u, gdzie, przyznać trzeba, jest 70% przedmiotów ciekawych i pięknych.

Wreszcie mimochodem: „A ileż kosztować ma to zielone paskudztwo (cochonrie).

„30 tomanów“.

„Combien??“ Z godnością zabieram swój korkowy hełm, Leicę, torebkę i wychodzę.

„Madame! madame!“ woła rozpaczliwie kupiec, „prenez! pour Vous tous! pour vous sans argent!“.

Targowaliśmy się trzy dni. Kupiłam za pięć tomanów.

* *

*

Jeżeli na północy kraju lepiej jest znać język rosyjski i francuski, to na południu służyć może jedynie angielski. Anglo-Persian-Oil-Comp. znajduje się przecie o „dwa kroki“.

Służba hotelowa przyzwyczajona jest również do Brytyjskich zwyczajów.

45^o w cieniu! Żądam porcji sodowej wody. Przyнося kubeczek z 12-tu butelkami. Sapiąc pożądliwie, otwieram jedną za drugą. Skonsumowałam już sześć.

Otwarte drzwi balkonu, pozwalają dojrzeć co się u mnie dzieje. Sabiola-khan, manager, kręci się niespokojnie koło progu.

„I beg your pardon miss... ale czy nie podać trochę whisky? czysta woda jest zawsze szkodliwa“.

* *

*

To najwyraźniej z upału. Ferenghi irytują się tu w hotelu bez przyczyny. Bo czy właściwie jest się czym przejmować, że iście południowa, krążąca jak muchy po smole służba, wstawiła komuś do kilkudniowego rachunku 20 butelek piwa, i 30 wody sodowej? Albo, że omal w każdej potrawie znajduje się włos? Ludzka rzecz. Trudno aby wszyscy byli łysi, oświadcza manager.

* *
*

Szwedzki inżynier może się ze mnie wyśmiewać, ale nie jest przyjemną myśl, że gospodyni spotkała wczoraj w kuchni tarantulle.

Zabito ją i rozmiarzdzono dokładnie, poczym wszyscy zastanawiali się, jak ona tam wlaźła.

Mnie to obojętne. Dość, że była. W dodatku tę przykrą wizytę, przypominającą mi wciąż lażące po ścianie parocentymetrowe pająki. Podobno nieszkodliwe. Brrrr! Dobrze, że nie jestem nerwowa!

* *
*

Pan Ameni jest Ormianinem. Zwierza mi się jak nie-szczęśliwy, uciśniony i rozdarty jest jego naród.

„Powinna pani dobrze zrozumieć, jak bardzo jesteśmy odrębni. Żaden z nas w głębi duszy nie uważa się za Irańczyka“.

„Czy pani sądzi, że jestem Pers — broń Boże! Jestem Tiurek!“ zaznacza po parodniowej znajomości pan Sz.

„Nie jestem Pers, pochodzę z Turkmenów“. Podkreśla pan A.

Pozornie zatarte różnice plemienne żyją jeszcze w umysłach ludzi.

* *

*

Wraz z panem Ch. irańskim dyrektorem banku, jestem zaproszona na wielkie przyjęcie.

Zatem „raiss“ się śpieszy. Śpieszy się już od 6-ej ponieważ na godzinę 7¹/₂, jak głosił list, winniśmy się stawić. Śpieszy się jeszcze o 9-ej, a gdy o 9¹/₂ zajeżdżamy przed wielką bramę, wzdycha z ulgą:

„Uff! maszallah! zdążyliśmy jednak!“.

* *

*

„Samochód jest już pełny“, oświadcza szofer. Zglądam przez szybę.

„Istotnie, pełny!“ stwierdzam.

Bagaż, pakunki, tobołki i koce, ułożone są tak iż „wypełniają“ do równa całą wolną przestrzeń i nie ma już ani centymetra miejsca na nogi.

Cóż to jednak za przeszkoda dla giętkich jak sprężyny Irańczyków. W klasycznej tureckiej pozycji, siedzi na tobołkach trzech gentlemenów. Czeka ich 500 kilometrowa droga.

Winszuję.

* *

*

Chciałabym wyjechać z Szirazu. Po pierwsze wszystko już zwiedziłam, po drugie gorąco piekielne, po trzecie herbata w hotelu trąci baranem.

Ale „chcę“, to jeszcze mało. Całe auto do Ispahanu kosztuje 170 zł. (za 500 klm.), tyle zapłacić nie mogę, muszę zatem tutejszym obyczajem, szukać dwóch innych pasażerów.

A szukanie jest utrudnione, sama dogadać się nie potrafię, zaś portier hotelowy, ze zrozumiałych względów donosi mi zawsze, że telefony do różnych garaży były bezskuteczne, bo amatorów nie ma.

Jest 6-a. Siedzę przy śniadaniu. Jak burza, z rozwianym włosiem, między pomarańczowymi drzewami i krzakami róż, pędzi szofer.

Jest! jest okazja! Tylko jechać trzeba zaraz! natychmiast! w tej chwili! tamci nie mogą czekać! za dziesięć minut, za kwadrans, za pół godziny najdalej ruszamy!

Gwałt, moc słów, wielkie gesty!

Pięć tomanów zadatku i porzucam jajka na miękko, by pędem spakować kuferki. 7-a... 7¹/₂... 8... 9... Zjawia się szofer. Odnosi zadatek Tamci panowie się rozmyślili, więc albo zapłacę całe 170 zł. albo on jechać nie może.

Jednak chcąc mi ułatwić sytuację (pół tomana napiwku), przyprowadził ze sobą kolegę. Ten jedzie dziś wieczór, ma dla mnie miejsce, właśnie przy szoferze.

Pasażerowie już nie skrewią, zapłacili bowiem z góry całe bilety.

„O! pani jeszcze jest!” — woła radośnie przy obiedzie szwedzki inżynier, „kiedyż pani jedzie?”.

„Dziś po południu — inszallah”.

Wyruszyłam trzeciego dnia wieczorem.

*

*

*

Proszę o przedłużenie wizy pobytowej. Miły „raiss” w szeroko rozpiętym mundurze zabawia mnie rozmową w czystej francuszczyźnie.

„Mimo starań w trzech garażach, znów nie mogę dostać auta, a raczej miejsca do Teheranu”.

„Do Teheranu? W tej chwili!”.

Dzwonek—i na progu staje wyprężona jak struna błękitny „sergent”.

„Będziesz chodził od garażu do garażu. Hanum życzy sobie jechać do Teheranu dziś. Masz znaleźć auto i resztę pasażerów”.

Wyjechałam w dwie godziny. Policja jest w tym kraju istotnie wszechwładna.

30. PERSEPOLIS

Jak głucho... Dzwoni w uszach cisza pustyni, wśród splekanych ruin śmigają wielkie, niebieskawe jaszczurki...

Kaskadami żaru oślepia słońce, aż drga i tańczy powietrze, aż mruża się zmęczone oczy...

Nisko, u podnóża stu wielkich schodów Apadany, pozostała lśniąca limuzina, pozostał dozorca i guide. Jestem sama wśród ruin Persepolis.

Dwa olbrzymie bloki kamienne pokryte płaskorzeźbami, rozpoczynają portal Xerxesa. Skrzydlate byki o ludzkich głowach strzegą wejścia, za którym leży wielka „sala posłuchań“ i sala „stu kolumn“.

Dziś, ze smukłego tłumu kamiennych pilastrów, pozostało zaledwie cztery. $7\frac{1}{2}$ metra nad ziemię wzniesione kapitele, pozbawione kamiennych belek pałacu, zdają się teraz wspierać niebo.

Jasno odcinają się w przepysznym słońcu, bezcenne płaskorzeźby ścian: koronacja Dariusza, nadnaturalnej wielkości „portret“ tego króla, hołd 28-u narodów niosących dary wielkiemu władcy i powtarzający się mo-

tyw lwa, walczącego z bykiem, motyw uznany dziś za herb państwa Achmenidów.

Ściany wewnętrznych schodów pokrywa długi szereg wizerunków, przedstawiających straż królewską „10 tysięcy nieśmiertelnych“, a na wygładzonej, prawie lśniącej kamiennej płycie, wmurowanej w jedną ze ścian portalu Apadany, widnieje napis:

„Jam jest Xerxes Wielki, król królów, król wielu narodów, król wszechświata, syn Dariusza, król Achmenida. To rzekł Xerxes wielki król. Z łaski Ahuramazdy zbudowałem ten portal, bramę wszystkich narodów. Niechaj Ahuramazda, strzeże mnie i państwo moje“.

Powstało Persepolis w VI wieku przed Chr. Dariusz II zdobywca Babilonu rozpoczął jego budowę, a „Xerxes wielki król“ rozszerzył i wykończył wspaniałe pałace. Wówczas w kwitnącej dolinie, zroszonej wodami dwóch strumieni i znakomitą siecią irygacyjną, otwartej na południe, a z trzech pozostałych stron osłoniętej górami, gdzie w litej skale wykute są królewskie grobowce, leżało świetne miasto. Nieliczne zachowane ślady, pozwalają przypuszczać, iż zajmowało ono okrąg ok. 7—8 klm.

Otoczające wzgórza umacniał szereg obronnych prac, i tu na wyniosłych skałach rozstawieni byli owi, wspomniani przez Didora ze Sycylii, ludzie, o bajecznie silnym głosie, powtarzający sobie z ust do ust rozkazy królewskie i przenoszący je w ten sposób w głąb kraju.

Pałac oparty o skalistą „górzę łaski“, w której wykute są kolosalne tarasy, zawierał nieprawdopodobne bogactwa, złupione i zwiezione ze wszystkich krańców ówczesnego świata, w epoce, gdy państwo Achmenidów sięgało od Indu po Nil.

Tradycja mówi, iż ściany, boazerie, kolumny, lśniły od złota, drogich kamieni i kości słoniowej, a w pysznych salach, przechowywany był skarb królów Persji, skarb tak olbrzymi, że Aleksander, po zdobyciu Persepolis, uwiózł go na 3000 wielbłądów, nie licząc mułów i osłów.

Bo król Macedoński, wkroczywszy do miasta, które dobrowolnie otwarło bramy „zwycięzcy Azji“, wydał je na łup groźnych hord żołdactwa.

Upojony zdobyczą 120 tysięcy talentów, wódz wydał wspaniałą, wiekopomną biesiadę, dla swej olbrzymiej armii.

W pałacach Persepolis ucztował król i wodzowie.

A gdy istny już szal ogarnął zdobywców, porwała się słynna kurtyzana Thais, kochanka Ptolomeusza, późniejszego władcy Egiptu i w bachicznym uniesieniu twołać poczęła:

„Aleksandrze! dzięki twej niezwyciężonej odwadze, Grecja pomszczona! Jesteś, o panie! zwycięzcą Persji i ze złotych czar Dariusza, pijemy wino! Pozwól mi wielki królu rozniecić ogień radości! Pozwól mi spalić pałace Xerksesa, pozwól niech ręka kobiety pomści

Grecję skuteczniej i wspanialej, niż dłoń Milcjadesa i Temistokla!“.

Parwany przemową, pijany winem Aleksander, sam przyłożyć miał płonąca pochodnię do bezcennych boazerii pałacu.

I spłonęło doszczętnie Persepolis, zwęgliły się drewniane płaskorzeźby, potrzaskały marmury, spękały kolumny.

Nie osłonił Ahuramuzda pałacu i miasta. Choć podniosło się ono jeszcze ze zgliszcz i popiołów, nigdy nie osiągnęło dawnej świetności, a najazd Arabów zrujnował je ostatecznie i beznadziejnie.

Chwała Persepolis zginęła w płomieniach i dziś pod jarzącym, złotym, niezmiennym słońcem, biegają wśród kolosalnych ruin szaro-błękitne jaszczurki, szleszcząc czarnymi węgielkami, węgielkami ze spalonych, bezcennych boazerii Persepolis.

* *

*

Długie lata i wieki drobny piasek pustyni przysypywał i pokrywał ruiny Tachte-Dzemszid.

Pierwsze zainteresowanie nimi europejczyków datuje się z XVII wieku. Chardin widział wówczas jeszcze 21 kolumn z białego marmuru, wspartych na czarnych piedestałach, pilastry, świetnie zachowane rzeźby i opisał pałac Persepolis z drobiazgową dokładnością.

Obecnie od lat trzech prowadzone są w tej oddalonej o 1000 klm. od Teheranu, a 70 od Szirazu miejscowości, prace wykopaliskowe pod znakomitym kierownictwem profesora Ernesta Herzfelda.

31. EUROPEJCZYCY

W Iranie polityka rozwoju własnych środków produkcji, przy jednoczesnym zahamowaniu importu zagranicznego, osiągnęła szczególne nasilenie po roku 1930. Starano się utrudnić, a często uniemożliwić import i w konsekwencji przyciągnąć i skierować kapitał handlowy prywatny do lokaty we własnym przemyśle. Tam gdzie okazywał się on za słaby (dotyczyło to wszystkich większych przedsięwzięć) inwestowano kapitały państwowe.

A trzeba przyznać, że w latach najostrzejszego kryzysu (który niemniej dotknął Persję od państw Europy), i ogólnej pauperyzacji ludności, potrafiono zmobilizować w kraju potrzebne kapitały na budowę dróg i przemysłu, bez uciekania się do kredytów zagranicznych. Uprzymysłowienia kraju i budowy kolei dokonano własnymi środkami finansowymi jedynie tylko przy pomocy i kierownictwie technicznym specjalistów europejskich.

Jednakże nadeszła chwila, gdy rząd irański zmuszony został do walki z ciężkimi finansowymi trudnościami. Trudności te, powstałe tak z powodu wielkich, wyżej

wspomnianych inwestycji, jak i szeregu innych przyczyn, spowodowały szybki spadek rialsa. Gdy w roku 1933 płacono około 20—30 rls. za funt angielski, w r. 1935 płacić trzeba było 85—90.

Dla opanowania niebezpiecznej sytuacji wydano ostre przepisy dewizowe oraz stworzono szereg syndykatów t. zw. „szer-ke'ów“, które ujęły w swe ręce około 90% wszelkiego eksportu i importu irańskiego.

Udział kapitalistów rządowych w wyżej wspomnianych syndykatach wynosi około 70%, reszta to t. zw. „wielki“ kapitał irański.

Wskutek tych posunięć perski kapitał średni i mały, jaki dotychczas zaangażowany był w drobny eksport i import, znalazł się „bez zajęcia“ i — jak obecnie — usilnie szuka inwestycyjnych możliwości.

Dlatego też każdy uczciwy przedsiębiorca-fachowiec, posiadający pewną gwarancję solidności w postaci niewielkiego kapitału, może obecnie w Persji liczyć na to, iż znajdzie resztę potrzebnych środków finansowych oraz wydatną pomoc.

Trudności wywozu pieniędzy z własnego kraju można uniknąć przez zabranie ze sobą — miast gotówki — wszelkiego rodzaju maszyn, warsztatów etc.

Bo pamiętać trzeba, iż Persja, obecnie jeszcze, potrzebuje literalnie wszystkiego. Wielkie, zbudowane przez rząd fabryki nie pokrywają nawet 50% zapotrzebowania wewnętrznego kraju.

Tak duże przedsiębiorstwa jak i małe warsztaty wy-

rabiające choćby: pastę do obuwia, pastę do zębów, gwoździe, śruby, narzędzia, konfekcję męską, a zwłaszcza damską, trykotaże, pończochy etc. etc. liczyć tu mogą nie tylko na znaczne powodzenie, ale nawet — w razie przyjęcia wspólnika Persa i prowadzenia interesu pod firmą irańską, na specjalną opiekę rządową w postaci ustaw ochronnych etc. etc.

Również wykwalifikowani i solidni rzemieślnicy z pewnością znaleźć by mogli w Iranie, nawet dziś jeszcze, jeżeli nie łatwe, to w każdym razie nader korzystne, warunki pracy.

Polityka rządu irańskiego dążąca intensywnie do uprzemysłowienia kraju stworzyła duże możliwości dla ekspansji europejskich sił technicznych i naukowych, bez których nie można się było obejść mimo szowinistycznych prądów w rządzie i społeczeństwie perskim. Dopiero w ostatnich latach czynione są usiłowania wytworzenia fachowców własnych, a mimo to jednak rząd perski liczy się nadal z koniecznością zatrudniania jeszcze przez długie lata specjalistów europejskich.

Jak dotąd, najwyższym sukcesem w penetracji na rynek perski mogą się pochwalić Niemcy. Mają oni swoich przedstawicieli we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego i kulturalnego kraju, przy czym szczególnie opanowali zagraniczny obrót towarowy. Przed półtora rokiem zawarła Trzecia Rzesza z państwem Iranu układ clearingowy, a wizyta Schachta doprowadziła do ostatecznego uzgodnienia sprawy wy-

miany towarowej. Większość dostaw dla handlu, przemysłu i kolei otrzymują Niemcy. Posiadają oni na terenie Persji liczne i dobrze zorganizowane przedstawicielstwa handlowe, składy fabryczne i spółki budowlane pracujące dla państwa lub firm prywatnych. Ponadto rząd zatrudnia wielu specjalistów niemieckich w charakterze profesorów uniwersytetu, inżynierów, fachowców kolejowych, geologów, organizatorów służby zdrowia, szkolnictwa i t. d.

Oni to zorganizowali przemysł węglowy (w tym dziale prawie wszyscy inżynierowie i technicy są Niemcami), a obecnie, zdaje się, będzie im powierzona organizacja i budowa ciężkiego przemysłu żelaznego. Na drodze ostrożnej polityki zdołali zdobyć zaufanie kół rządowych i uzyskać wpływy gospodarczo-polityczne w kraju. W dziedzinie gospodarczej są zawsze „mile widziani“ przez decydujące czynniki.

Stan liczebny Niemców w ciągu ostatniego roku miał się jakoby udziiesięciokrotnić.

Obok Niemców ważną pozycję w Iranie zajmują Czesi. Oni wybudowali osiem cukrowni dla rządu perskiego i przemysł ten zupełnie opanowali. Cały zarząd techniczny i administracji cukrowni spoczywa w ich ręku.

Wielką działalność rozwijają również w dziedzinie budowy tuneli, mostów szosowych i kolejowych, budynków stacyjnych na kolei trans-irańskiej. Oni również budują nowoczesną elektrownię dla Teheranu.

Wszystkie te inwestycje są na ogół prowadzone i finansowane przez T-wo Skoda, posiadające również wielkie przedsiębiorstwa transportowe.

Kolonia francuska, choć stosunkowo nieliczna, bo ograniczająca się do około 140 rodzin, ma jednak dobrą pozycję w Persji, członkowie jej zajmują poważne i dobrze płatne stanowiska. Przede wszystkim wymienić tu należy wojskową misję francuską, złożoną z kilku oficerów z generałem na czele. Poważną pozycję zajmują profesorowie francuscy na wyższych uczelniach perskich etc. W dziedzinie gospodarczej uzyskali ostatnio bardzo poważny sukces, gdyż została im powierzona kanalizacja Teheranu i przeprowadzenie wodociągów — prace oceniane na 100 milionów franków.

Prócz wyżej wspomnianych europejczyków pracują jeszcze w Iranie niezbyt liczni *Szwajcarzy* (technicy, kreślarze, inżynierowie), *Belgowie* (specjaliści w dziedzinie skarbowości), *Holendrzy* (budowa portów) oraz *Duńczycy* i *Szwedzi*. Do tych ostatnich t. j. do szwedzko-duńskiego towarzystwa „Kamp-sax“ należy organizacja budowy kolei trans-irańskiej, a zatem opracowywanie planów, sprawowanie administracji etc. etc., za co otrzymuje towarzystwo 5 dolarów od mtr. bież. kolei (wpływie mu więc z budowy ok. 9.000.000 dol.).

Oczywiście licznie reprezentowani są w Persji bolszewicy i Anglicy. Jednak ich wpływy gospodarcze ograniczają się do pozycji zdobytych przed lub w pierwszych latach po wojnie. Rozwój ekspansji gospodar-

czej tych państw jest celowo hamowany przez rząd perski. W ostatnich latach można nawet stwierdzić raczej cofanie się ich wpływów polityczno-gospodarczych, choć dotychczas posiadają jeszcze w swych rękach ważne gałęzie gospodarstwa perskiego.

Anglicy nadal odgrywają pierwszorzędną rolę w dziedzinie bankowości perskiej, choć już nie monopolistyczną, jak zaledwie kilka lat temu. Ich bank „Imperial Bank of Iran“, posiadający około 20 oddziałów w całej Persji, był do niedawna dyktatorem w dziedzinie kredytów i finansów i tą drogą wywierał naturalnie potężne wpływy na całe życie gospodarcze. Obecnie znaczną część jego agend (np. prawo emisji banknotów) przejął państwowy bank perski. W swoich rękach skupiają również Anglicy przemysł naftowy (Anglo-Irian Oil Company) o kolosalnych i dokładnie nie zbadaanych jeszcze zasobach surowca.

Bolszewicy posiadają wpływy przez organizację „Iran-ryba“ i „Iran-chłopok“. Pierwsza z nich ma wyłączną koncesję na połów ryb na terytorialnych wodach perskich i przerób ich na terenie Persji. Druga zajmuje się przerobem (oczyszczaniem) i handlem bawełną perską. Ponadto mają w Persji kilka innych organizacji handlowych, własny bank do finansowania transakcji z Persją, organizacje transportowe, szpitale. Ich obroty handlowe z Persją co rocznie osiągają około 40% całego handlu zagranicznego tego kraju.

Niestety stwierdzić trzeba, że na szarym końcu wśród

kolonii europejskich w Iranie znajduje się — kolonia polska.

Ogółem składa się ona z około 100 osób i żałować należy, że wysoka koniunktura imigracyjna w Iranie w latach 1928—1934 nie została przez nas wyzyskana.

W tym okresie przyjechało bowiem do Persji dziesiątki i setki specjalistów i techników europejskich. Z Polaków zdołało ulokować się zaledwie kilku.

Prócz tego, podczas gdy inne narodowości opanowując jakąś dziedzinę gospodarczą, ściągały tam systematycznie swoje siły techniczne, Polacy emigrowali jednostkowo i z własnej inicjatywy, często nie orientując się zupełnie co do możliwości stworzenia sobie egzystencji w Persji. Dlatego też, gdy inni pracują skupieni we własnych organizacjach, Polacy są rozproszkowani w przedsiębiorstwach czeskich, niemieckich, duńskich, perskich i t. d. i żadnej siły gospodarczej nie przedstawiają.

Mimo to, choć nie wszyscy członkowie kolonii polskiej posiadają określoną specjalność (często bowiem swego zawodu nauczyli się dopiero w Persji), wyjątkowo tylko wśród nich spotyka się bezrobotnych.

Ich stan materialny jest na ogół niezły, wystarczający na dostatnie utrzymanie. Dla przykładu przytoczę, że szofer europejski zarabia w Persji około 300—400 zł., mechanik 500—600 zł., majster fabryczny 500—800 zł. Utrzymanie zaś jest tu na ogół tańsze jak w Polsce. W instytucjach państwowych bardzo dobrze są

płatni starzy specjaliści z długoletnią praktyką, wśród nich jednak Polaków jest zaledwie dwóch.

Pod względem wyznaniowym nasza emigracja składa się z około 25% obywateli wyznania mojżeszowego i 75% chrześcijan, na ogół katolików.

Obecnie ze względu zarówno na trudności finansowe rządu perskiego, brak miejsc, jak i silną konkurencję sił europejskich, możliwości lokowania specjalistów polskich są coraz mniejsze. Nie mniej, choć w znacznie skromniejszych rozmiarach, istnieją nadal. Np. uruchomienie kolei perskich będzie wymagało sprowadzenia z Europy pomocniczych sił technicznych dla służby ruchu, trakcji i służby drogowej.

Budowa drugiej linii kolejowej Teheran-Tabryz zapewni pracę świeżym siłom europejskim. Dalsza rozbudowa i organizacja nowych gałęzi przemysłu (przemysł hutniczy) spowoduje również wpływy specjalistów europejskich. Poza tym płynność elementu europejskiego wywołuje ciągle pewne przetasowania i luki wśród specjalistów zapełniane najczęściej przybyszami z Europy.

A zaznaczyć tu jeszcze trzeba, że stosunek rządu irańskiego do Polaków jest — jak dotąd — wybitnie przychylny.

32. ONE I ONI

Francuzeczka ma łzy w oczach. „Mieszkał w Paryżu 18 lat. Pobraliśmy się i w ciągu sześciu lat naszego pobytu we Francji nigdy, ale to nigdy nie zauważyłam najmniejszej różnicy między nim a moimi rodakami. Ani w umysłowości, ani w wykształceniu, ani w manierach.

A ledwośmy wrócili do jego ojczyzny, ledwo postawił stopę w Pahlewi — zmienił się krańcowo, stał mi się obcy!!

„Wie pani jaki był pierwszy jego czyn w domu? W Hamadanie? Porozsuwał wszystkie meble, zrzucił ubranie, zrzucił kołnierzyk, zrzucił krawat i siadłszy po turecku na środku dywanu oświadczył: „uff!! nareszcie będzie można zacząć żyć!“

* *
*

On jest Niemiec — ona Rosjanka. On umie podle po angielsku, ona marnie po francusku. Tym systemem nie mogą się zatem nigdy porządnie rozmówić.

Ostatecznie oboje nauczyli się nieco po Persku, on zaś „extra“ kilka francuskich słów od niej.

Żyją z sobą nad Kaspijskim morzem przeszło rok i mają się pobrać, ale „coś się psuje w państwie duńskim“.

„Pani nie ma pojęcia, jakie to okropne, żyć z człowiekiem z którym się dogadać nigdy nie można“, woła zaciskając pięści Natasza i dodaje ciszej „ani nawymyślać!“.

Dziś rano popełniłam „gaffę“. Zbiegając do pensjonatowej jadalni, usłyszałam brzęk szkła.

„Oho!“ — oznajmiłam wchodząc, „coś się tłucze to na szczęście!“.

Aj! nie dobrze! miny zważone, ściana mokra (z jego strony), szkło na podłodze. Wyraźnie grzmotnęła w niego szklankę i chybiła (oczywiście, skoro ściana mokra).

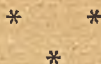
Dla pewności znikam. Ale przez cienkie drewniane ściany głos biegnie jak w lesie.

„Vous fou“ — skanduje powoli i flegmatycznie Niemiec — „si moisur moi comme ça une croix toute ma vie, non, veux dutout pas!“

„Vous sur les genous jurer, moi pour vous tresor toujours“ — piszczy histerycznie Natasza — „et maintenant vous bandit!!!“

„Pourquoi vous tout de suite scandale, vous fou... — konkluduje spokojnie Niemiec.

Rzeczywiście fatalnie jak się ludzie nie mogą dogadać.



On jest bajecznie przystojnym szwedem — ona Francuzką. On pracuje przy budowie kolei, ona wraz z mężem, uczonym profesorem, wraca z Chin. On mieć może lat trzydzieści, ona 25 lub 45. On jest wysportowany i wesoły, ona ma figurę jak wąż, ruchy jak pantera, a ręce jak stado ptaków, w tym znaczeniu, że są w ciągłym ruchu, że ilustrują każde słowo, że otaczają rozmówcę całą siecią splątanych gestów.

Ma diabelski temperament, a w każdym razie egzaltowaną fantazję. „Uwielbia“ egzotyzm, „szaleje“ za nastrojem, „przeżywa“ zwiedzane kraje.

Dosłownie przeżywa.

„... W chińskiej palarni opium“, mówi mi z uśmiechem, „na miękkich, plecionych matach, oddałam się jasnemu jak słońce norwegowi, oficerowi, holenderskiego statku“.

Rozumiem, to są rzeczywiste zamięrowania geograficzno-podróżnicze. Teraz chodzi ze swym Szwedem wśród wyniosłych platanów Szemranu. Z za zasłony pni dobiega mnie strzęp rozmowy.

„Oh! ten płaski dach Khańikinu! księżycowym światłem zalany! rozwichrzzone czuby palm i daleka cisza pustyni! Et je me suis donnée á un capitaine anglais avec des épaules comme deux fois les vôtres

mon cher!“ i drobna dłoń kończy tyradę lekceważącym potrąceniem szwedzkiego ramienia.

Chłopak ma minę „pneu“. Przykre jest podkreślanie wyższości Brytanii nad Skandynawią. .

* *

*

On jest Anglik — ona Greczynka. On mówi jedynie po angielsku, ona wyłącznie po grecku z dodatkiem paru słów „farsi“. Przez pół roku są niebiańsko szczęśliwi. Nie rozstają się wcale, z wyjątkiem godzin jego pracy. Mija 6 miesięcy. Greczynka zrobiła mu niespodziankę, nauczyła się wreszcie speak english. Anglik jest wzruszony, dziękuje, znosi prezenty.

Rozlecieli się w dwa tygodnie.

33. BŁĘKITNA DOLINA SZARISTANEK

Nasza nowa znajoma nosi poetyczne imię Ku-Kiapk, „kuropatwa górską“. Drobna, bardzo ciemna, błyska w rozmowie olśniewającymi zębami i oczyma jak czarne diamenty.

Jest śmiała, o! bardzo śmiała! wyraźnie kokietuje mego towarzysza, przyjmującego to z bezczelnym zadowoleniem.

Ku-Kiapk ma lat piętnaście, rocznego synka, którego nie omieszkała nam pokazać, (jakże, pierworodny!) i jest mieszkanką cudownej ukrytej w dolinie Elburcu wioski Szaristanek.

Dolina Szaristanek, to szmaragdowa szczelina w żółtej pustyni skał. Na dnie jej, na zboczach, wiją się, płaczącą, szumią i szeleszczą aż cztery źródła.

Źródła! wystarczy spędzić w Iranie parę tygodni, by poznać, by ocenić czar i magię wody. W tym kraju wiele miesięcy pozbawionym deszczu, cierpiącym na brak rzek i strumieni, gdzie żadne pole, ogród, ba! nawet kępa roślin, obejść się nie może bez nadwadniającego rowka, źródło, to skarb, to prawie świętość.

Co z tych pojęć przejmuje także ferenghi i patrzy

ze wzruszeniem na błogosławioną wąską dolinę Szaristanek. Szumią tu pola zbóż, zielenią się maleńkie sady, za glinianymi murami pną po ziemi splątane kłęczce jarzyn.

Swobodnie, śmiało opowiada Ku-Kiapk, że rok jest dobry i że zboża ludzic z Szaristanek mieć będą mnóstwo.

„Mnóstwo“ sięga tu jednak 6—7 q. z ha., więcej nie urodzi sucha, kamienista gleba.

Achmed, mąż Ku-Kiapk, poszedł właśnie na zbocze, gdzie wrywa z korzeniami ościsty jęczmień (podobno wtenczas nie rozsypują się „garście) i układa go w krąg. Po południu będzie młócił, jeśli „ferenghi“ chcą, mogą pójść zobaczyć. Ku-Kiapk znała już ferenghich wie, że są ciekawi.

Zaprzyjaźniła się z nami na dobre. Przeplata opowiadanie wybuchami dziecinnego śmiechu. Jest zabawna, żywa jak iskra i śliczna.

Prócz białego „czaduru“ ma jeszcze na sobie jasną siatkę, spiętą starą, kutą, srebrną broszą, poczem idzie skomplikowany szereg koszul czy bluzek, króciutka marszczona spódniczka, spod której dopiero widać, długie do ziemi, czarne spodnie.

Z całego tego stroju najzabawniejsze jest pochodzenie owej krótkiej baletniczej spódniczki. Wspomniany już Nasr-Eddin-Szach, w czasie swej podróży po Europie, usłyszał „gdzieś-kiedyś-coś“ o słynnym dekreście Tylżyckim, w którym Napoleon, z odległości tysięcy

kilometrów, reorganizował akademię francuską, i zapragnął go naśladować. Będąc w Paryżu wydał więc manifest, nakazujący kobietom perskim noszenie „szat“ takich, jak baletnice opery Paryskiej.

Wola Szacha — rzecz święta. Na długie szarawary zaczęto wkładać ozdobne, marszczone spódniczki, które dziś jeszcze spotkać można w zapadłych i ślicznych kątach Iranu.

Ku-Kiapk okazująca memu towarzyszowi wyraźną sympatię, ma doń jedną tylko pretensję: oto zjawił się w Szaristanek — piechotą!! Poniżył swoją godność. Czy można prawdziwie szanować „ferenghi“ chodzących piechotą, choćby nawet szła za nimi spora karawana osłów? Nie, Arbab źle postąpił, bardzo źle!

I łagodząc krytykę jeszcze jednym uśmiechem purpurowych ust, odbiega tak szybko, aż zafurkotał w powietrzu jasny długi, czadur.

Zrobiliśmy zatem „gaffę“. Na pociechę chodźmy obejrzyć ową zapowiedzianą młóckę.

Idziemy poprzez uprawne prymitywną sochą pola i półka, pocięte, pokrajane, posiekane nawadniającymi rowkami.

Sposób ich przeprowadzania jest nieomyślny. Tam gdzie europejski inżynier zużyłby moc obliczeń, pomiarów etc. chłop perski, przez wieki kształconym instynktem, zakreśla najdoskonalsze plany irygacji.

Wąski, długi szpadel, przytrzymywany ręką, ciągnięty na nisko uwiązany sznurze, przez człowieka lub

osła, służy do drażenia owych kanalików. Szereg mniejszych i większych prymitywnych tam, pozwala normować dopływ wody, jej ilość etc.

Na dalszych, pozornie pustynnych, zboczach pasą się osły. Co mogą znajdować, na tej do cna wypalanej glinie, niewiadomo, lecz wyglądają niezłe.

Przynajmniej „iszak“ naszego nowego przyjaciela Achmeda prezentuje się imponująco. Zaprzężony jest do czegoś, co przypomina z wyglądu wysokie, dziecinne sanki, posiada zaś pod spodem rodzaj zębatego, talerzowego walca.

Przyrząd ten, ciągniony w kółko, po rozłożonym na ziemi zbożu, młóci je dokumentnie, ścierając na „na mak“ suchą, jak pieprz, słomę.

W tutejszym klimacie bowiem, słoma tak jest kruchą, że, gdy jeden z postępowych persów, sprowadził sobie nowoczesną młockarnię, normalne jej używanie okazało się niemożliwe, musiano wpięrw spryskiwać zboże wodą.

Tutaj jednak panują jeszcze dawne obyczaje. Ziarno od plew odczyszczają na wietrze i miele potem między kamieniami turbin.

Bo Szaristanek, błogosławiona wieś strumieni, posiada nawet prymitywne, maleńkie, wodą poruszane, młyny.

Tam, gdzie brak takich niezwykłych ułatwień, zadowolnić się trzeba wielkim, kamiennym kręgiem, obracany za pomocą drąga po rozsypanym znów na ziemi

zbożu, przez muła lub osła. Mąka, gruba, razowa jest wówczas szara od kurzu, nikt nie zwraca jednak na to uwagi. Perski chleb piecze się prawie wyłącznie z 80% pszenicy.

Korzystam z zaproszenia Ku-Kiapk i patrzę jak zręcznymi, brunatnymi dłońmi, oczyszcza okrągłą w gliniastej ziemi wygrzebaną, jamę, jak rozpala w niej ogień, ze świeżych wierzbowych gałązek i jak, gdy rozgrzeją się mocno ścianki prymitywnego piecyka, obkłada je szczelnie płatami ciemnego ciasta.

Wypieczony już „lawasz“, niezmiernie zresztą pożywny, jest kleisty, i nieznośny w smaku dla europejskiego podniebienia.

Jednak tu w Iranie, dostać można niezmierną ilość gatunków „nun“, z których najsmaczniejszy jest „nun sangek“, chrupiący i suchy, pieczony przez rzucania płatów ciasta na kupkę rozpalonych kamieni i „chleb armeński“ cieniutki, a przypominający w smaku przypalony opłatek.

Zapada zmrok. Wracają ku glinianym, tarasowato jedna nad drugimi ustawionym, domkom, muły obładowane wielkimi pękami zielska.

Za prawo ścinania w wyższych częściach doliny tych, dla „gusfan“ przeznaczonych, chwastów, płaci Hossein, nasz gospodarz, całe 60-tomanów rocznie. 200 zł. Piękna cena, za trochę zieleniny.

Bo choć Szaristanek należy do wyjątkowych w Iranie

wiosek, gdzie ziemia jest własnością wieśniaków, grunta ich nie sięgają aż tam do pałacu. Pałac jest Szacha.

„Pałac?”

„Bahle! ferenghi powinni pójść, obejrzyć wspaniałą budowlę Nasr-Eddin-Szacha“.

Więc o świcie, gdy słońce zaledwie różowieć poczęło szczyty, ruszają ferenghi w górę.

Wiją się wąskie, żółte ścieżki, błękitne strumienie z szumem biegną w dół, olbrzymie rośliny, przypominające belladonnę, wyciągają nad wodą wielkie wycinane liście, a ponure, spękane głązy wyrastają niespodziewanie na drodze.

Jałowe, groźne zbocza, wznoszą się nad rozslonecznioną, szmaragdową i błękitną doliną.

Długo w ciszy i samotności idą ferenghi. Dawno znikły ostatnie ślady ludzkiego osiedla, dawno w tyle pozostały uprawne pola.

Tu nad białymi pianami, coraz gwałtowniej rozszalałych potoków, kwitną tylko olbrzymie, większe od człowieka osty i wybujałe chwasty rysują szmaragdowy cień.

Aż gdzieś wysoko między spiętrzonymi skałami i białą, huczącą kaskadą zagroził nam drogę, wysoki, gliniany mur.

Opuszczony, nawpół zrujnowany, wznosi się samotny pałac wśród gór. Wielkie lśniące baseny, szleszczące strumienie, zamarte fontanny wśród ozdob-

nych krzewów, zwalone na ziemię kolumny i regularne łuki krążanków.

Błękitna i złota pustka. W przystępie fantazji Nasr-Eddin-Szach zbudować kazał tu, na wysokości 2500 mtr. myśliwski pałac.

Opuszczony teraz rozpada się powoli w gruzy i tylko czasem, posłuży za schronienie ciekawym, a wytrwałym ferenghi.

Nasr-Eddin-Szach wiele miał zresztą bardziej ekstrawaganckich pomysłów. Usłysawszy np., że w XVIII wieku wolnomularze zgromadzali w Europie elitę umysłową, rozkazał założyć w Teheranie lożę.

I znów zastosowano się ściśle do woli Szacha. Tyle tylko, że nie wiedziano, co czynić należy w owej godnej instytucji.

„Czy istnieje loża masońska?“ spytał pewnego dnia Nasr-Eddin.

„Rozkazałeś o panie!“

„I cóż wy tam robicie?“

„Rozmawiamy najjaśniejszy panie, pijemy „gave“, „czaji“... co kto woli... palimy kaleyn...“.

„Ależ to zwykle gave-hane!“ krzyknął zirytowany Szach i rozkazał skasować w państwie wolnomularstwo.

Nasr-Eddin-Szach miał poza tym zwyczaj portretować się wielokrotnie, a zawsze w towarzystwie ministrów o niezwykle głupich minach.

* * *

*

Niezapomniana dolina Szaristanek! Upalne złote dnie, błękitne potoki, szmaragdowe trawy. Wieczory rozjarzone setkami gwiazd, syk czerwonych węgielków w mangalu, szmer samowaru i błękitny dym ogniska, na którym pieką się złowione forele. Lodowate noce nad rozszepianym strumieniem i różowe poranki rozpoczynane wesołym „Salam!“ Ku-Kiapk. Przyjazne kobiety w długich czadurach i czarnych szarawarach, otaczające mnie kołem i zanoszące się od śmiechu, że „hanum ferenghi“ tak słabo z nimi dogadać się może. Poważni „amu“ przykucnięci na dywaniku, wkoło samowara i opowiadający powoli tajemnicze historie o „dżinach tych gór.

Niezapomniane dnie...

Lecz wreszcie wyrwać się trzeba było z błękitnej doliny Elburcu i karawaną osłów dotarłszy do szosy, pomknąć z powrotem ku stolicy.

Wspaniała szosa Czaluss—Theran, to chluba Persji. Kosztem wielu milionów tomanów, przerzucono ją przez dzikie, kamienne i nagie masywy Elburcu, stwarzając przepyszną widokowo i turystycznie arterię komunikacyjną.

Niestety w zimie, olbrzymie masy śniegu zawałające trzy tysiące metrów wysokie przełęcze, czynią ją nie do przebycia, to też obecnie buduje się olbrzymi tunel, by umożliwić przejazd terenem znacznie niższym, tunel, który wraz z żelbetonowymi zasłonami przeciwlawinowymi, uczynić ma trasę dostępną rok cały.

Już zieje w twarz przerażający żar pustyni, już jesteśmy w miasteczku Keredż.

Jak zawsze, jak na każdym samochodowym postoju, otacza naszą maszynę rój żebraków.

„Hanum... hanum... hanum...“, powtarzają żalonym i rozgrymaszonym, straszliwie irytującym tonem.

Są między nimi obdarcy starcy, o henną na rudo farbowanych brodach, są kaleki wyciągający ku mnie powtórne kikuty, są dzieci ślepe i kobieta, której zdeformowane oko wyszło z orbity i sterczy z oczodołu nakształt potwornego stożka.

Widok tych ran, kalectw i chorób, jest tak ohydny, że można tylko, rzuciwszy zdala parę „szachi“, zatrzasnąć drzwiczki limuzyny, zwłaszcza, że nędzarze, chwytają za ubranie, za ręce, za ramiona.

Uciekać!

Zawarczała maszyna i zaczyna się „wieczna ondulacja“. „Permanente“, taką nazwę nosi odcinek Keredż—Teheran, dzięki szeregowi miniaturowych wzniesień, i rowków, wprawiających maszynę w „krótkofalowy ruch“.

Jestem wściekła. Już wziął mnie w swoje pazury upał Teherański. Nic dziwnego, że tak łatwo rozlatują się tu europejskie małżeństwa. Powietrze przeładowane elektrycznością, napręża nerwy do ostateczności.

Nareszcie! Jasne, z suszonej na słońcu cegły budowane domy, płaskie dachy, długie mury, asfalty — Teheran.

34. STAROŻYTNA DROGA SZACHA ABBASA

„Chce pani jechać karawanową drogą Szacha Abbasa przez Elburc do Mazanderanu?”

„Wyjeżdżam jutro“.

Irański wice minister przygląda mi się długo, z uwagą, jakby chcąc sprawdzić, czy naprawdę jestem przy zdrowych zmysłach.

„Fantaisie de ferenghi!” oświadcza wreszcie.

„Wyjeżdżamy jutro“, tak, tylko należało dodać „inszallah“, bo szeroko rozpowszechniony zwrot: „fardah, postfardah, inszallah!“, zwrot doprowadzający cudzoziemca początkowo do szału, jest daleko więcej uzasadniony w tym kraju niżby się na pozór zdawało.

Zresztą parę godzin, parę dni, czy parę tygodni — czy to właściwie nie wszystko jedno? Tu nie ma jeszcze ściśle określonego czasu. Samochód biura podróży, który przebyć miał daną przestrzeń w dziesięć godzin, pokrywa ją w piętnacie. Nie z powodu defektów — broń Boże! Z powodu drzemki szofera, fajeczki opium, czy rozmówek ze znajomymi. Nowo kursujące pociągi „osiągają“ nawet dziewięciogodzinne opóźnienia — cóż zatem mówić o mułach!

A trudności zaczęły zaraz na pierwszym etapie w Ab-Ali. Hotel zbudowany w pobliżu wspaniałego mineralnego źródła (pianista, zamrożona Ab-Ali, to najlepsza woda jaką kiedykolwiek piłam. Sprawiedliwość jednak nakazuje mi wyznać, że żadnej innej nie kosztowałam przy temperaturze 45 stopni w cieniu), jest przepelniony.

To zrozumiałe, zważywszy, że dziś czwartek, a zatem muzulmańska sobota. Zresztą łóżka polowe, mustikery i skały nad potokiem, stanowią najwspanialszy, bo chłodny pokój.

Prawdziwe zmartwienie to brak „kather“ (mułów). Teheran w lipcu jest prawdziwym piekłem, kurzu, upału, rozżarzonych asfaltów i braku cienia. Kto może ucieka w góry, właśnie Anglicy i Amerykanie zabrali większą partię jucznych zwierząt do doliny Lar u stóp Demawentu.

Trudno! Okoliczności zmuszają do zachowania staroperskiego zwyczaju: dawniej bowiem, gdy z Teheranu wyruszały tylko karawany, opuszczano mury stolicy zawsze popołudniu, i rozbijano namioty w odległości dwóch lub trzech kilometrów. Tu odbywała się jedna jeszcze pożegnalna kolacja, na którą przybywali z miasta krewni i przyjaciele, poczem dopiero następnego ranka wyruszano „na dobre“. Ten świetny zwyczaj pozwalał dokładnie sprawdzić stan zwierząt, ekwipunku, etc. no i zawrócić po kilka niezbędnych, a zapomnianych przedmiotów. Pozostawianie w domu naj-

potrzebniejszych w podróży rzeczy, rozpowszechnione jest bowiem pod każdą szerokością geograficzną.

W leżącej kilkaset metrów ponad Ab-Ali wiosce Mobarek-Abad mamy podobno dostać muły, ruszamy tam więc piechotą.

Poranne słońce, mimo znacznego już wzniesienia, przypieka potężnie. Wąską, skalistą dolinką potoku, gdzie właśnie teraz wykuwa się w ścianie nową, samochodową drogę, dostajemy się na szersze, uprawne przestrzenie.

Chwieją się lany niskiego jęczmienia, żyta, a nawet małe pólka kartofli. Przy nawadniających rowkach, rosną wysmukłe srebrzyste topole.

Te ostatnie stanowią poważne źródło dochodu w gospodarstwie wieśniaka. W Persji, gdzie tak do budowy, jak i na rusztowania, używa się niezmiernie cienkiego drzewa, topole starannie podlewane, lub nawadniane, sprzedaje się za dobrą cenę już po pięciu, sześciu latach.

Właśnie zaproszeni przez naszego nowego znajomego Machrada, siedzimy na małym, twardo ubitym placyku przed domem, na gościnnie rozłożonym wojłoku własnej fabrykacji, popijając znakomitą „czaji“.

Już od wielu godzin trwają targi, umowy i rozważania na temat mułów i osłów: raz nie ma ich wcale, to znów jest bardzo dużo, tylko drogie. Raz muły są bez porównania pewniejsze, to znów lepiej byłoby wyprawić się na osłach.

Zapadła noc. Na gliniastym, kamieniami zasypanym zbocz, rozstawiłam swoje polowe łóżko.

„Bia! Bia!“.

Dwóch czarnych chłopaków, w obszarpanych europejskich ubraniach, podbiega pędem. Błyszczą czarne, dzikie oczy, lśnią białe zęby.

„Czaha beroman!“ mówię pokazując drążek.

„Hejli hub!“.

Mustikiera już ustawiona. Należy zrobić tualetę.

Szemerze źródelko... to poezja, ale myć się w strumyczku tak maleńkim, że podstawiwszy kubek, czekać trzeba parę minut, aż się napelni, to przykry realizm.

Stoję w karkołomnej pozycji na okrągłych, mokrych kamieniach. Mydło jest utarzone w piasku, woda zmącona z ziemią.

O parę metrów niżej grupka młodych kobiet w barwnych, długich czadurach i czarnych pantalonach, przygląda się z zajęciem dziwnym wyczynom „hanum ferenghi“.

Kiwam ku nim ręką: „Salam!“

Zaciągają czadury na twarz i chichoczą, błyskając ku mnie wspaniałymi oczyma.

Pewno, że wydają im się śmieszna. Wszak nie myją się nigdy dobrowolnie, chyba z nakazu Koranu, a „ferenghi“ nie wierzą przecie w Koran!

Srebrna smuga księżycy przedarła się przez gałęzie nadbrzeżnej wierzby. Instynktownie podnoszę oczy i — ...mydło wypada mi z ręki!

Z za zrębu niebotycznej skały, na tle rozgwiażdżonego nieba, wygląda czarna rogata głowa. Patrzy na mnie z uwagą i zajęciem. Włosy jeżą mi się ze strachu!

„Diabeł!... Nic innego, tylko w tym pogańskim kraju ukazał mi się diabeł!“ przemyka mi przez myśl.

Ale w tej samej chwili „diabeł“ zabeczał rozgłośnie i w radosnych podskokach zbiegł z góry wielki czarny kozioł, a za nim całe stado, wraz z rozdzwonioną gromadką owiec.

Nie mogę ochłonąć z wrażenia.

„Podłe bydłeta! tak mnie nastraszyć!“.

I zirytowana kładę się na polowym łóżku, a w około czarnym dywanem układają się owce i kozy.

Długie godziny podzwaniają cichutkie dzwoneczki stada.

Rankiem, po 24-godzinnym „zaledwie“ oczekiwaniu, pertraktacjach i targach, wyruszamy małą karawaną, złożoną z kilku dużych, dobrze wypasionych i utrzymanych osiołków.

Niestety „czarwadar“ (poganiacz) chłopak o gębie zbója, ma — co tu owijać w bawełnę! — wyraźne parchy. A co gorsza, jest niesłychanie brutalny względem zwierząt.

W ogóle zresztą Irańczycy, są dziwnie źli dla wszelkich stworzeń. Niezliczoną ilość razy zdarzyło mi się widzieć ludzi i to ludzi dorosłych, kopiących bez przyczyny psy, dręczących koty, poganiaczy rzucających ostrymi kamieniami we własne zwierzęta, w ogóle ro-

biących rzeczy, za które nasz polski ZOZ wielokrotnie żądałby kryminału.

Na skutek swych moralnych przewinień, czarwador nazwany został „le chien galleux“ i takim już pozostał.

Nasze cierpliwe i przemyślne osiołki, wspinają się zawzięcie po spękanych głazach, osypiskach i gliniastych upłazach.

Zbocza Elburcu od strony wewnętrznej wyżyny są puste, jałowe, zrzadka pokryte kępami ostu i niskich kłujących roślin.

Tą nędzną roślinnością żywią się czarne owce i kozy, jakich całe stada ruchomym dywanem pokrywają rude lub srebrzyste przestrzenie.

Wolę kiedy widać je tylko z daleka. Bo osioł to w ogóle wierzchowiec nieco detonujący swym brakiem wzrostu, a cóż dopiero, gdy mijać trzeba wspaniałe psy pasterskie, wielkości San-Bernardów, jasno-żółte, rosłe i złe, szczerzące zęby i obszczekujące karawanę.

Ich białe kły są nie tylko na wysokości mojej nogi, lecz wprost kolana! Uff! szczęśliwe zostały za nami, teraz grożą dwom czarnym jak murzyni chłopakom, którzy z drążkiem na plecach dążą w tę samą co i my stronę.

Ów drążek noszą tu wszyscy podróżni, opierając go o barki, a przez dwa końce przekładając ręce w sposób, w jaki u nas trzyma się kijki na gimnastyce, by chodzić w idealnie wyprostowanej pozycji.

Podobno zwyczaj ten podyktowany jest korzyścią

płynącą ze swobodnego oddechu, jaki daje rozszerzona klatka piersiowa.

Długo, powoli, cierpliwie, wspinają się osiołki, na wysoką, 3000 mtr. liczącą przełęcz Aszem.

Podejście jest tak strome, skaliste i ostre, że ostatnie 700 mtr. wzniesienia przebywamy piechotą.

Mam z natury tęgi zawrót głowy, to też wolę nie oglądać się za siebie, a pokonując bicie, nieprzyzwyczajonego do tych wysokości, serca, wdrapywać się wyżej i wyżej.

Jeszcze pięćdziesiąt — dwadzieścia — dziesięć metrów — uff! Na skalistej, nagiej przełęczy, stoi małutki, kamienny gave-hane (dom kawy).

Właściwie nie wiadomo czemu zawdzięczają przydrożne oberże i zajazdy tę nazwę, skoro kawy nigdzie dostać nie można, a jedynie wachlowaną herbatę.

Mówią „wachlowaną“, bowiem jak już wspomniałam, gotuje się wszędzie na węglu drzewnym, zatem dla pośpiechu, nad kilkoma ustawionymi we wgłębieniach, między kamieniami czajniczkami, siedzi, przykucnąwszy na własnych piętach pessar i szybko wachluje rozżarzone węgielki, podobnymi do chorągiewek wachlarzykami ze słomy. Tak samo, jak w Teheranie.

Gave-khane pełne jest w tej chwili podróżnych. Przyszło kilku pasterzy z Veraminu, przebywających ze swymi stadami w Lar, jakiś grajek z długą trzcinową puszczalką, jakiś starzec, który może przybył tu, by odwiedzić pobożnie „imamzadé“ Aszem. Bowiem tuż za

gave-khane, wznoszą się mury i śpiczasta kopuła grobowca świętobliwego mułły.

Siedzimy na ziemi, popijając herbatę, z maleńkich perskich szklaneczek. Stary pasterz w charakterystycznej czapce, której kształt pochodzi chyba z dalekiej filjacji od półkolistego kołpaka Medów, opowiada jakie niezliczone mnóstwo „gusfan“ pasie się latem w dolinach u stóp Devamentu.

„Hejli gusfan“ — Arbab hejli! kilkaset tysięcy, milion!“. Twierdzi z powagą. Ale niedługo, już we wrześniu ruszą stada i pociągną w dół doliną potoku, aż do suchych równin Veraminu.

„Hejli gusfan!“ powtarza w kółko, popijając czaji, poprzez trzymany w ustach kawałeczek cukru.

Niebo zaciągnęło się chmurami, wieje wiatr. Czy to możliwe, że jeszcze dwie godziny temu nie można było tchu złapać z upału?

Stąd, od „imamzadé“ Aszem, administracyjnie, a widocznie i meteorologicznie, zaczyna się już Mezanderan, prowincja mająca 1500 mm opadów.

Pryskają pierwsze krople deszczu. Witam je okrzykami radości: deszcze w Persji latem, to przecież nie-lada sensacja!

Po oślizgłych głazach, ruszamy w stronę doliny Ab-Aras.

35. 999 KARAWANSERAJI I 999 MOSTÓW

W litej, stromej skale czerni się szereg równych, jeden za drugim położonych wgłębień. Wielkością i kształtem odpowiadają one zupełnie kopytom muła, to też zwierzęta ostrożnie stawiają nogi właśnie w te otwory. A może na odwiecznej ścieżce setki i setki przechodzących jucznych bydła wyłobiło w twardym kamieniu te dziwne schody?

Powoli z przełęczy Aszem opuszczamy się do kamienistej doliny potoku Ab-Aras.

To chyba dolina rozpaczy. Wielkie, spękane głazy zawaliły całe jej dno, nagie ponure ściany wznoszą się ze wszech stron. Nastrój grozy potęgują jeszcze ciemne skłębione chmury, które od Mezanderanu pędzi ku nam wiatr, drąc je i rozszarpując o ostre, grzebieniaste szczyty.

Trudno rozróżnić drogę wśród tej kamiennej pustyni. A właściwie może to zupełnie wszystko jedno, którą stroną groźnego osypiska, posuwa się maleńka karawana.

Tak martwo i głucho jest w głębi doliny, że zjawia-

jąca się tam niżej, pod nami grupa jeźdźców, zdaje się chyba wizją.

Ale nie! już są blisko, już dość wyraźnie widać sunącego środkiem na niskim, kosmatym koniku jeźdźca.

Jego długie zmierzwione włosy, obszerny „kaftan“, szerokie spodnie, dziwnie odbijają od quasi-europejskich ubrań otaczających go ludzi.

„Esme czy?“

„Derwisz“. Odpowiada wychudły człowiek.

Zeskakuję z muła i zbliżam się pośpiesznie do rzadko już dziś spotykanej w Persji postaci.

Derwisze byli to dawniej ubodzy i świętobliwi, wędrowni starcy, należący do czegoś, co w naszych warunkach nazwalibyśmy „bractwem religijnym“. Zнали wiele tajemnic i zaklęć, umieli nadać siłę amuletom, potrafili leczyć i zaklinać choroby. Lud otaczał ich czcią i opieką i suto obdarowywał, napełniając pożywieniem wielkie, półkoliste, często rzeźbione miseczki żebracze, t. zw. „tasz-gul“.

Derwiszom bowiem nie wolno było brać pieniędzy, a to jedynie, co koniecznym jest do utrzymania życia.

Nosili oni wielkie, obszerne i malownicze szaty, czyniąc śluby odnośnie jakiegoś koloru, np. ubierając się tylko białą i t. p.

Obecnie rozporządzenie rządu zakazuje im ukazywać się w tych egzotycznych strojach i tylko gdzieś w zapadłej dolinie dzikich gór, spotkać można dziwną, nie dzisiejszą postać.

„Godafez szuma!“.

Minęły się karawany i tylko przez chwilę jeszcze sły-chać grzechot czarnej „tasz-gul“, uwiązanej na łańcuszku i uderzającej rytmicznie o siodło derwisza. Przed nami, wśród kamiennych rumowisk i skał, ukazuje się szara kamienna kopuła.

To starożytny karawanseraj, jeden z 999 karawan-seraji Szacha Abbasa.

Bo tradycja mówi, że kiedy wielki władca zastana-wiał się, co winien uczynić dla wewnętrznego rozwoju kraju, poradzono mu budowę mostów i zajazdów dla podróżnych.

— Dobrze — miał odrzec Szach — zbuduję w Persji 999 karawanseraji i 999 mostów.

— Czemu nie tysiąc, o najjaśniejszy? — spytali dworacy.

— Cyfra tysiąc, wyda się wnukom naszym przesadą i zamiast tysiąc, mówić będą „wiele“, a niedokończoną liczbę 999, każdy z potomnych zapamiętać musi.

I widocznie miał rację wielki Szach, skoro do dziś dnia zna tę legendę nie tylko każdy Irańczyk, ale i każdy podróżujący ferenghi.

Coraz bardziej rozszerza się dolina, coraz większym i bogatszym w wodę staje się potok. Przez ostrołuki most nadjeżdża w tej chwili ku nam muła na białej oślicy.

Wielki misternie zwinięty turban (są specjaliści od tej skomplikowanej czynności) osłania wąską twarz

o prostych, szczupłych rysach. Jest bardzo stary i wyblakłe oczy patrzą niespokojnie na hanum ferenghi, która nastawia na niego swą bezczelną Leicę.

Towarzyszący mu uczeń podbiega szybko, prosząc, by nie wywoływać tej fotografii. Jego mistrz jest świętobliwym musztachedem i nie może się na to zgodzić.

Wątpię czy to prawda. Musztached jest bowiem rodzajem duchownego wyższego stopnia, o ile można wyrazić się w ten sposób o wyznaniu szyickim, nie posiadającym żadnej określonej hierarchii.

Większe lub mniejsze znaczenie duchownego opierało się tu zawsze na osobistym prestige'u i moralnych zasługach, a przede wszystkim na ilości odbytych pielgrzymek i studiów, zwłaszcza w świętych „madrasc” szyickich, położonych w sąsiednim Iraku.

Dziś wszystko to i znaczenia mułłów, ongiś olbrzymie, a teraz prawie żadne i wpływy musztachedów, należą już prawie do przeszłości. Ograniczono ich ilość, surowo kontroluje się kwalifikacje, a przytym bezwyznaniowość szerzy się szybko. Puste są meczety w piątek, bardzo rzadko ujrzyć można starca, odprawiającego modły w godzinie zachodu, i coraz bardziej zaniedbywane są przepisy Koranu. Z dawnych czasów, manifestujących pobożność wieloma zewnętrznymi znakami, pozostały jedynie rozliczone okrzyki: „yallah” „maszallah” „inszallah”.

Dojeżdżamy do zielonej wtulonej między skały wioski. Przed gave-khane stoi Abolghassem, właściciel. Ro-

sła postać, wielkie czarne oczy i wydatne rysy rozjaśnione ciągłymi przebłyskami uśmiechu.

„Salem alejkum!“ wita radośnie podróżnych, podając naszemu czarwadorowi starożytnym zwyczajem obie ręce, które potem przykłada do serca.

Po 11 godzinach marszu dobiliśmy do Pelur u stóp Demawentu.

36. WIECZÓR U STÓP DEMAVENTU

Wiatr szarpie ścianami namiotu, płomień naftowej latarki chwieje się lekko, maleńki blaszany samowar syczy, stwarzając przytulny nastrój „home‘u“.

Siedzimy na rozłożonym dywaniku popijając nieodzowne „czaji“, jako zakończenie kolacji, złożonej z upieczonego na patyku, nawiasem mówiąc, pół surowego kurczaka.

„Czarwadar“ Hassan i Abolghassem, właściciel gave-hane w Pelur, siedzą razem z nami i korzystając z zaproszenia „ferenghich“, przy jednej szklaneczce herbaty, aż dwa razy wkładają sobie do ust cukier.

Właściwie rozpoczęliśmy targi o muły czarwadara Hassana, ale dawno porzucono ten temat, by wzajem okazać sobie, że przecież nikomu tak naprawdę, na załatwieniu tej sprawy nie zależy.

Abolghassem to człowiek obyty, znający wielu ludzi, wiele spraw, historii i legend.

Nie darmo jest właścicielem gave-hane. Nie tylko bowiem przez większą część roku widuje najrozmaitszych podróżnych, ba! często nawet „ferenghi“, ale przecież zimą zbiera się w gave-hane okoliczna ludność



Ścieżka karawanowa w wysokich górach.



Czarwadar Hassan i nasze muły.

i ktoś posiadający tę trudną sztukę, czyta głośno „Szah-name“, lub poezje Hafiza, czy Saadiego.

Tym to zwyczajom zawdzięczają Irańczycy, że tak żywa jest tu wśród ciemnego ludu, wielka poezja starej Persji. Mężczyźni słuchają, często uczą się na pamięć i potem w domu, w kole swoich najbliższych powtarzają fragmenty arcydzieł, czyniąc je dostępnymi kobietom i dzieciom.

Zresztą Abolghassem służył ferenghim za przewodnika w wyprawie na Demavent.

Bo stąd, z doliny Pelur, gdy przetrą się chmury i błysnie słońce, wspaniałe, wiecznym śniegiem pokryte stożek ukazuje się w całej glori. Nie darmo uchodzi za jedną z najpiękniejszych gór świata: czystość i regularność linii, lśniąca białość na tle błękitnego nieba, pasma poszarpanych mgieł, wijących się koło 5660 mtr. wysokiego szczytu stwarzają obraz doprawdy niezapomniany.

Najwyższy, tajemniczy, dotąd jeszcze wewnątrz krateru dymiący, wulkan otaczają dziesiątki legend.

Tam w głębi, żyje przecież do dziś uwięziony król Zah-Ak, mający na ramionach dwa potężne węże, którym poświęcać trzeba było codziennie trzech młodych chłopców.

Na zboczach Demaventu leżą dotąd łokciowej długości żelazne strzały, które rzucał bohaterski Rustam, przeciw złemu Afrasiabowi. Abolghassem zapewnia

nas, z głębokim przekonaniem, że widział te strzały na własne oczy.

Czarwadar Hassan chrząknął, przerywając potok wymowy swego towarzysza. Jest już późno, przygasły węgielki w otwartym blaszanym piecyku, samowar przestał szumieć — czas wrócić do sprawy mułów.

— Chcemy jechać do Amol... — zaczyna mój towarzysz.

— Inszalach — poprawia z powagą Hassan.

— Inszallah — powtarza jaknajśpieszniej zawstydzony „ferenghi“.

Targi są długie i skomplikowane. Trudno jest teraz ludziom z gór zjechać do Mazanderanu: „Ferenghi“, którzy wytrzymują upał teherański, zniosą także wilgotne gorąco wybrzeży kaspijskich, ale wieśniakom przychodzi to bardzo ciężko. Dlatego cena jest wygórowana.

— Zresztą — dodaje Abolghassam, te trzy muły to źródło utrzymania aż dwudziestu osób.

— Dwudziestu?

— Tak, Hassan, to tylko „czarwadar“. Właściciel „khater“ ma dwie żony i odpowiednią ilość dzieci.

Budzę się z drzemki w którą popadłam znudzona jednostajnością rozmowy.

— Dwie żony?

Abolghassam i Hassan śmieją się zgodnie z zainteresowania „hanum“. Cóż! biedny wieśniak nie może

sobie pozwolić na taki luksus i posiada najczęściej jedną kobietę. Ale kto ma pieniądze...

O! tu w Pelur, umarł właśnie człowiek, który miał siedem żon! Na lato do rodzinnej wsi Hassana, do Ask, przyjeżdża dotąd „sardar“ ongiś bardzo bogaty, mający dwadzieścia pięć żon, które zawsze woził ze sobą.

Rozumie się tylko cztery były hanum, reszta „sighe“, ale on trzymał wszystkie razem przy sobie.

Abolghassam i Hassan wzdychają z zazdrości i podziwu mówiąc o owym „sardar“. Podzielam to drugie uczucie: dwadzieścia pięć żon, to bądź co bądź wy czyn, choć, jak wspomniałam, Kadzar Fath Ali Szach miał ich podobno trzysta...

— Ludzie są u nas mocni, — zapewnia Hassan, — „sardar“ ma dziś 80 lat, a jeszcze lekko podnosi dwóch ludzi i odrzuca ich od siebie.

— W Sangeli, — dodaje Abolghasem — mieszkał człowiek co miał już 102 lata i 4-letniego syna z ostatnią 19-letnią żoną.

Jak wszystkich opowiadań i tego rodzaju słuchałabym z najwyższym podziwem, gdyby nie świadomość, że tu, bardziej jeszcze niż na wewnętrznej wyżynie, nikt właściwie nie orientuje się ile ma lat.

Dawniej bowiem istniał tu kalendarz księżycowy, który skasowano wprowadzając kalendarz słoneczny. W głębi gór jednak istnieje, inny jeszcze, a bardziej skomplikowany sposób obliczania czasu.

— Siła tutejszych ludzi pochodzi z dobregożywiania. Mieszkańcy gór dobrze jedzą, nie tak jak ludzie z miast — zapewniają zgodnie obaj wieśniacy. — Wprawdzie rano tylko szklaneczka „czaji“, ale zato o dwunastej w południe 5 jaj z większą porcją ryżu, suto okraszanego „roghanem“. I to samo na wieczór. Do tego herbata i chleb „rogami“ (pieczony na łożu).

Znów robi mi się ckliwo na samo wspomnienie „roghanu“. Potworny zapach tego starego baraniego tłuszczu wprost nie da się w słowach określić. Trzeba go raz przynajmniej powąchać, by zrozumieć, czemu przybywający do Iranu Europejczycy po dwa i trzy miesiące nie jedzą nic, prócz herbaty i owoców.

Targi o „kather“ dobiegają końca. Czarwadar zapewnia, że zwierzęta są mocne, wytrwałe i łagodne, że „hanum“ (w tym wypadku pani), okazująca pewien niepokój przed jazdą na nieznanych stworzeniach, będzie pewno zadowolona... A zresztą tyle zobaczy ciekawych rzeczy! Ot! choćby w Rejne wiele jest „hanum“ mających dzieci, nawet dwoje, a lat przy tym 12... 13... 14... No, cóż! teraz zakazano! ale przecież „ferenghi“ wiedzą, że niedawno jeszcze dziewczęta wychodziły za mąż mając lat osiem, dziewięć lub dziesięć.

Wiatr szarpnął ścianą namiotu, niosąc stonowany, harmonijny dźwięk dzwonek.

— Karawana wielbłądów, wracająca z wypoczynku w dolinie Lar.

Wypadam pędem na zbocze.

W srebrzystej, przyćmionej obłokami poświacie księżycy, majaczeją dziwne i karykaturalne, jakby z dawnych, przedhistorycznych epok zachowane kształty zwierząt. Na długich wygiętych szyjach chwieją się w takt posuwistego chodu dzwonki, tworząc głuchy i stonowany rytm, charakterystyczny „rytm karawan“.

Na czele kroczy godnie, wysoko unosząc mały płaski łeb, tak rzadko dziś już widywany „wielbłąd dzwonnik“. Całą jego szyję otaczają girlandy i festony dzwonnów, dzwoneczków i dzwoneczków. Są one łączone w ten sposób, iż wchodzi jeden w drugi i cały mniejszy dzwonek stanowi serce większego i t. d.

Każdy krok staje się harmonijnym dźwiękiem, całym akordem, rozsypującym się w perełki nierównych, spóźnionych tonów.

Na skalistej ścieżce równo, spokojnie posuwają się powiązane ze sobą sznurami zwierzęta. Zapalam zniecka wileki reflektor. Wspaniały, tłusty, puszystą sierścią pokryty wielbłąd powoli zwraca ku mnie pysk. Wypukłe czarne oczy patrzą przez chwilę wyniośle na moją nędzną osobę, po czym rozdzielony nos kilkakrotnie porusza się i marszczy ze szczerym obrzydzeniem.

— Czi? Czi? — wołają od czoła karawany przewodnicy, wystraszeni nagłym światłem.

Szybko gaszę latarkę. Poco psuć „smugą nowoczesności“ czarującą wizję starej Persji...

W poszumie wiatru długo jeszcze dźwięczą dzwonki karawany.

37. PRZEZ WĄWOZY ELBURCU

Mój pierwszy lot odbyłam na samolocie wojskowym. Z rozfalowanej przestrzeni młodego łąbinu poderwaliśmy się w srebro wrześnieego nieba.

Bałam się potężnie. I nagle poprzez ściskającą mózg obręcz strachu uderzyło mnie dziwne, kontrastowe wrażenie: Szalony pęd automobilowy i spokój łodzi na bezkresnym, gładkim jak zwierciadło jeziorze.

To nieporównane połączenie pamiętałam długo, jako synonim lotu otwartą maszyną.

A teraz przeżywam coś podobnego. Ostry, smagający jak bicz wichur stwarza złudzenie szybkości, a otwarte u naszych stóp doliny, zdają się takie dalekie, spokojne, nieruchome i błękitne, jak głębia wody.

Tutaj, na szczycie, w kryształowym powietrzu, płyną smugi białych mgieł, skrzydłami wiatru odrywane raz po raz od srebrzystych zboczy Demawentu. Nieodłączny towarzysz naszej drogi potok Ab-Aras wiję się tam w dole, a ogromne, strome, kamieniste, porysowane rozpadlinami i smugami zielonych traw, zbocza, wznoszą się groźne i niedostępne, coraz nowe, coraz potężniejsze i dziksze.

Stoimy przy malutkim z gładów budowanym czaj-khane.

Hassan czarwadar przykucnął naprzeciw mnie i nainoworozwodzi swe żale. Wiem już, że ma siedem córek i że bardzo nad tym boleje, że nie udało mu się ani w Pelur, ani w Sangali, koło przepysznego mostu Szacha Abbasa kupić „nun“, (a sama widziałam jak przytracał je wełnianym sznurem!). Wiem prócz tego, że chciałby, jak najprędzej, znaleźć się w rodzinnym Ask, bo jest to jedyne piękne miejsce na świecie.

Zostaje obdarzony gotowanym kurakiem byle raz zamilkł i dał mi wreszcie spokój.

Ten naiwnie chytry chłop nie może utrzymać ust w spokoju: jeżeli nie je, to gada, a jeśli nie gada to przynajmniej śpiewa, a raczej zawodzi monotonicznie i przeraźliwie.

Ot! i teraz! Ledwo ruszyliśmy w drogę znów rozpoczął swój straszliwy akompaniament.

„Salem alejkum!“.

Na gładami zawałonej ścieżynie ukazuje się karawana. Rzecz, której nie cierpię: wymijanie nad przepaścią.

Czynię bohaterskie wysiłki, by zmusić moją mulicę „Kosz-czeszme“ do ustawienia się pod samą ścianą. Niech sobie tamci przejeżdżają brzegiem.

„Nooh! asz! asz!“ wrzeszczę rozpaczliwie naśladowując naszego „amu“.

Gdzie tam! „piękno-oka“ poznaje się widocznie na cudzoziemskim akcencie i ani drgnie..

A stój uparty bydlaku, jeżeli chcesz, by cię zepchnęli! Zeskakuję z rozmachem i już bezpiecznie patrzę jak ostrożnie przesuwają się koło mnie muł za mułem, niosąc ogromne wory drzewnego węgla. Z lasów Mazanderanu, gdzie wypala się olbrzymie ilości dążą do stolicy; to już szósty spotkany w drodze transport.

Z tyłu, jak zwykle wrzeszcząc na swe zwierzęta, kroczą czarni, w okrągłych myckach poganiacze.

Nagle — „peder such!“ ryczy Hassan rzucając się ku mułom.

Bagażę i juki zczepiły się z sobą, pękł popręg.

Pospolity wypadek na wysokogórskiej ścieżce. Mi nie ładnych parę minut, zanim czarwadar sypiący bez przerwy sierzyste przekleństwa, doprowadzi do ładu karawanę.

„Asz! Asz!“

Już znikły za skałą czarne wory węgla.

„Godafecz szuma!“ krzyczy jeszcze Hassan, widocznie dla wyrównania miotanych obelg.

„Godafecz szuma!“ powtarza znowu po chwili, żegnając na jakimś załomie dróżki towarzyszącego nam dotąd oficera. Dąży on do Ab-giarm, gorących źródeł cieszących się tu opinią skuteczności nawet w chorobach wenerycznych. Łatwo sobie wyobrazić ich powodzenie w tym kraju.

Jedyną interesującą cechą naszego przygodnego zna-

jomego jest jego koń. Świetnie zbudowany o żelaznych nogach turkmen, lekki a niesamowicie wytrzymały, stąpa pewnie po drózkach zasypanych piargiem, po ruchomych głazach, na których najlepsze z naszych wierzcowców podierałyby się pyskiem.

Konie turkmeńskie, w Persji najbardziej poszukiwane, osiągają cenę 800 do 1000, a nawet 1300 zł. są jednak niezastąpione.

Znikła już za nami piękna wioska Rejne, znikło obszerne gavekhane, po gliniastej, pełnej kurzu i ruchomych kamieni drożynie biegnę, zjeżdżam, zsuwam się w dół.

Tam nisko, urwiste skały tworzą zamknięty, mroczny kocioł. Otaczające go ściany coraz fantastyczniejsze przybierają kształty: raz są to zębate, obronne mury, to znów średniowieczne zamki, to olbrzymie prymitywne posągi.

Za mną po złotym słońcem zalanym zboczem srebrny mi ściegami załamuje się ścieżka, którą ostrożnie i mierzliwie zbliża się karawana.

Muszę poczekać. Na kamienistym dnie zginął mi ślad drogi i nie wiem dokąd iść, zwłaszcza, że czarne skały zdają się nieprzebyte.

„Asz! Asz!“ pokrzykuje Hassan.

Kroczę już teraz obok zwierząt. Jakiś nieuchwytny zakręt i nagle, tak niespodziewanie, otwiera się w ciemnej ścianie skał wąska rozpadlina, że można by myśleć,

iż czarne głazy pękły nagle dla nas tylko tworząc nikomu nieznaną dotąd przejście.

„Dolina Atlantydy“, inaczej nazwać niepodobna wąskiej gardzieli, po której ścianie biegnie teraz ścieżka.

Ciemne, groźne zbocza zdają się pochylać ku sobie w wilgotnym mroku, raz po raz mającą otwory tajemniczych pieczar. Spadające z ich kamiennych sklepień fantastyczne porosty zielonymi festonami zasłaniają wejścia, a wielkie odłupane od zboczy głazy podobne są zastygłym w bezruchu potworom.

Brrrrr! aż dławiącą staje się cisza, aż niepokojącym ruch drzew, które rosnąc na dnie dolinki puszystymi czubami sięgają zaledwie naszych stóp.

I znów zakręt. Jak biała rysa na czarnym tle skał, jak rozjarzone słońcem okienko głębokiego lochu, nagle ukazują się nisko przed nami poprzeczna, zalana światłem dolina.

W obramowaniu ciemnych skał jaśnieją wyłoczone słońcem wysmukłe topole, równo jedno nad drugimi ustawione domki i srebrzyste, szeleszczące źródła.

A wokoło olbrzymie, trzy i cztery tysiące metrów wysokie szczyty wznoszą się nagie, brunatne, pocięte smugami jakichś barwnych minerałów. Między domami wioski wije się i zawraca błękitny, srebrzystymi pianami poszarpany potok.

Brzegi jego spina starożytny, wygięty w ostry, gotycki prawie łuk, most Szacha Abbasa. W jarzącym słońcu wielkie, nierówne głazy bruku zdają się wdra-

pywać jedne na drugie, a drewniane, spękane wiązania srebrzą się na tle lazuruwej wody.

Tam daleko w dole, po drugiej stronie, jedno ze źródeł setki i setki lat osadzało białe nacieki gipsu i teraz wśród naturalnych, równo w dół opadających tarasów bieleje wielka, stężała struga, jak rozlane mleko.

Skalisty cypel kształtu potwornej lwiej łapy wdziera się i świeci dziką nagością kamienia wśród zbożowych pól i maleńkich ogrodów Ask.

Nie wiem — może sprawił to kontrast radosnej doliny ze zgrozą otaczających gór, może oślepiający blask słońca po mroku tajemniczego jaru, ale mnie, znającej już i kraje północy i Tyrol i Włochy i południe Francji, wydało się, iż jest to chyba najpiękniejsza na świecie miejscowość.

„Ask hub! Hejli hub!“ powtarzam łamanym językiem farsi, a Hassan śmieje się radośnie, ukazując swe jedyne, dwa żółte zęby.

38. ASK

„Dzyń! Dzyń! Dzyń!“

Siadam zdumiona na swym wąskim polowym łożku.

— „Co to?“

„Dzwon z hamamu!“

Prawda, jesteśmy w Ask, tu istnieją jeszcze staroperskie tradycje. Wedle nakazu Koranu, każdy bogobojny mahometanin winien po cnotliwej małżeńskiej nocy wykąpać się w łaźni (zwyczaj byłby ultra-higieniczny, gdyby zmieniano wodę).

Toteż rano, gdy ogień z zielonych wierzbowych gałązek, ostów i oślego nawozu nagrzał już dostatecznie wodę „hamamu“, dzwon wzywa wyznawców proroka na przepisana ablucję.

Poprzez rzeźbione kraty mego balkonu słońce rysuje na glinianej ścianie koronkowe desenie. Maleńkie gwiazdki, półkola, arabeski i ornamenty wycięte ręką prymitywnego artysty powtarzają złociste światelka i ostre cienie.

Wszystkie okna i balkony w Ask mają jeszcze te nieporównane, przypominające „musz - arabi“ ozdoby.

Z innych dostępniejszych miejscowości Iranu znikły one już prawie zupełnie, wykupione do — Ameryki.

Z trudem przesuвам głowę ponad boczną balustradę.

„Dochtar!”

Naprzeciw, koło glinianego muru podwórka przysiadły córeczki Hassana, cztery z owych nieszczęsnych siedmiu.

Wielkie czarne oczy wpatrzone są uparcie w drewniane kraty, za którymi, szczelnie zasłonięta śpi na górze „hanum ferenghi”.

Nic dziwnego, jestem drugą dopiero europejską kobietą, jaka zjawiała się w Ask i stanowię nielada sensację.

„Dochtar!”

Małe bosc nóżki tupocą po niebywale wysokich, ślimakowatych schodach, wiodących z dolnego balkonu-sieni na 1. piętro.

Nasz dom — jak i wiele innych zresztą, jest piętrowy, niezwykle czysty i doskonale utrzymany.

Tu, w Ask panuje zresztą czystość jakiej nie widziałam dotąd w Iranie. Ot! I mała Nosrah ma na sobie czystą sukienkę w jakieś barwne kwiatki, jasny czadur i długie do ziemi czarne spodenki.

Zorientowała się bystro, czego od niej żądam i przydźwigała pięknie kutą, metalową misę oraz smukły, o klasycznych liniach, dzbanek z wodą.

Teraz polewa mi ręce, twarz i dłonie, bym mogła je umyć.

Innych ablucji Nosrah nie uznaje. Nic nie szkodzi, czeka mnie przecież najwspanialsza kąpiel.

Huczący potok spada kaskadą na białą, wapienną skałę, jego odwieczna wściekłość wyłobiliła w kamieniu wgłębienie, w którym dzień i noc szumią białe, puszyste piany.

Ostrożnie wsuwam się w tę naturalną, przeczystą wannę, a rozszalałe wiry szmaragdowej wody otaczają mnie, więżą, smagają idealnymi masażami, przysnycem, całą syntezą hydroterapii.

Samobójca odzyskałby humor po takich wodolecznicznych zabiegach. Podchodzę wolno stromą uliczką. Gliniane, zamożne domki, ustawione często tak, iż dach jednego z nich jest balkonem dla „sąsiada z góry“, otaczają na naturalnych tarasach uczepione ogródki. Kłaczce jarzyn, purpurowe jabłuszka, walczą o lepsze ze srebrzystą strzelistością topoli.

Między sześcianami glinianych budowli wiję się skomplikowana sieć szeleszczących strumyków. To owe pięć mineralnych źródeł — niezużyte bogactwo Ask — dostarcza tyle kryształowej wody.

Na dnie maleńkich korytek osadza ona jakieś białe, lśniące, podobne do gipsu minerały, tak, że cała górską wioska pożyłowana jest śnieżystymi, drgającymi smugami.

Przed dużym, zamożnym domem widzę młodą „ha-

num“ jak czyści patyczkiem dno strumyka — niebывała na stosunki irańskie higiena.

Przerwała na chwilę pracę, by przyjrzeć się egzotycznej hanum ferenghi.

Śmieją się do mnie purpurowe usta i wielkie, czarne oczy.

Z głowy na ramiona i plecy spływa długi, malowniczy czadur. Nie okrywa on twarzy. Nawet w czasach, gdy kobiety miejskie zasłaniały ją szczelnie, wieśniaczki, góralki cieszyły się znacznie większą swobodą, poddyktowaną warunkami pracy.

Żona Hassana — tęga, wysoka Fatima, o oczach długich jak u egipskiego posągu, zaprasza na czaji. W chłodnym cieniu na głównym placyku wioski koło naszego domu rozłożyła dywanik i sama przysiadła wraz z nami dla chwilki rozmowy.

Ona również boleje nad brakiem syna. „Z nich przecież nie zrobią czarwadarów“ wzdycha, wskazując grupkę przykucniętych obok nas córek.

Widocznie „czarwadarstwo“ to tradycja rodu.

Fatima zresztą wini męża: „jest zbyt stary, nie może dać mi synów“ powtarza.

Na placyku rozpoczął się ruch. Krążą kobiety niosące wodę w wielkich płaskich naczyniach, bezwładnie człapiąc wielkimi, białymi „give“ wędruje pod murem stary — jakże stary! muła.

Ten pamięta z pewnością niejedno, pamięta dawne, dobre czasy, wielkiego znaczenia „duchownych“ — bo

dziś... Ograniczono ilość mułków, żąda się od nich dowodów wykształcenia — a prestige u ludu... szkoda słów. Wszak nawet ferenghi wiedzą, że meczety prawie zupełnie puste są w piątek.

I trzęsąc z oburzenia swym wielkim, białym turbanem staruszek znika za ozdobionym ornamentami domem „Sardara“, o którym już w Pelur wspomniał nam Hassan. Teraz znów wiele o jego bogactwie, dobroci etc. opowiada mi, mrużąc swe podłużne oczy Fatima, gdy odwiedzam ją w maleńkiej, osobno obok domu stojącej kuchence. Czysta izdebka, wypełniona wonnym dymem świeżych gałązek. Zaprzyjaźniłam się z Fatimą. Z kobiecą solidarnością darzy mnie specjalną opieką, a nawet zaprowadziła na górę i wyjąwszy z drewnianej, kutej, ornamentem z mosiądzu zdobionej skrzynki, wielkie, kształtu kielicha od wina, emaliowane kolczyki, pokazuje jak się je przypina i nosi.

Stoimy w głównej izbie domu. Jest zupełnie pusta, bez okien, szerokie drzwi wiodą na przepięknie drewnianymi kratami chroniony balkon. Na glinianej polepie leżą grube wołjoki służące za łóżka, krzesła i stoły jednocześnie.

Czystość uderzająca, wybitny kontrast ze znanymi mi lepiankami w miasteczkach wewnętrznej wyżyny, tak jak i krańcowym kontrastem są ludzie: tam zdegenerowani, ponurzy, wrodzy, tu rośli, zdrowi, weseli, przyjaźni i rozmowni. Ali, młody gospodarz o suchych,



Dorożkarz z Ispahanu.



Dom w Ask.

prostych rysach twierdzi, że musimy obejrzeć jego pola i jego „gusfan“.

Kroczy pierwszy, człapiąc wielkimi give. Odwieczny i międzynarodowy jest gest dumy, jakim szczyli się rozfalowanym półkiem jęczmienia i zielonymi łęcinami kartofli i gromadą swych wełnistych, stłoczonych w skalnej pieczarze, owiec.

Chodźmy po krętych uliczkach wioski. Mimo mojej obecności podbiega do towarzyszącego mi Anglika może dziesięcioletnia dziewczynka.

Błyszczące czarne oczy, drobne rysy otaczają fałdziste zwoje „czaduru“.

„Czy nie potrzebujesz badzi?“ mrużą się porozumiewawczo małe ślepka.

„Nie, jestem tu na krótko, wyjeżdżam“.

„Pojadę z tobą, umiem wiele rzeczy przyjemnych mężczyźnie“. Śliczne usteczka śmieją się zachęcająco.

„Nie, nie chcę“.

„To szkoda, ja jestem bardzo przyjemna!“ I odbiegając rzuca pełne kokieterii i obietnic spojrzenie.

Wcześniej...

39. „ZNAKOMITA“ DROGA

W końcu XIX wieku pewna włoska dama powzięła szaleńczą myśl przejechania starej drogi szacha Abbasa z Meszediser do Teheranu.

Rozpoczęła ją w towarzystwie sekretarza francuskiego poselstwa, młodzieniec jednak wprędce znudził się towarzystwem dość leciwej niewiasty i nierycersko porzucił ją w Amol, pozostawiając na łasce mulników, z którymi, nie znając języka, nie mogła się nawet dobrze porozumieć.

Pierwsze rozdziały książki, jaką mimowolna bohaterka wydała po powrocie do ojczyzny pełne są przede wszystkim strachu, strachu, strachu. Obawa rozbójników, wąziutkie ścieżki nad przepaściami, chwiejne kładki, skalne szczeliny, przejmują podróżniczkę dreszczem grozy.

Przypominam sobie cierpienia leciwej Włoszki i usiłuję szukać w nich otuchy, gdyż i mnie włosy jeżą się na głowie i pozostają w tej interesującej pozycji pięknych parę minut.

A od Ask miała się zacząć dobra droga, „doskonała

droga“, jak zgodnie zapewniali nas czarwadar Hassan i Mochamed, właściciel mułów.

Istotnie. Już kilkaset metrów po opuszczeniu wioski mamy sposobność przekonać się o tej „doskonałości“. Płaskie podkowy zgrzytają po oślizgiej od wody, śnieżno-białej skale. To owa widziana uprzednio z daleka „struga mineralnych osadów“ na skalnym cyplu. Teren lśni jak lód i mam nieodparte wrażenie, że musi być również jak lód śliski.

No! szczęśliwie jesteśmy już na drugiej stronie! Przed nami stroma ściana, której jednostajną, rudozłotą barwę pocięły srebrzyste płyty ostrych traw. Jakoś nie widzę drogi...? Oj! czy to możliwe??

Bagażowy siwek „Sefid“, mądre bydłę, które od początku samo prowadzi karawanę, poczyną wspinać się po wąziutkiej ścieżce przyklepionej jak półeczka do prostopadłego zbocza.

Już za późno!! Nie zorientowałam się i moja „koszyczek“ poszła w jego ślady. Teraz zeskoczyć niepodobna, a „dech mi zapiera“ ze strachu. Ścieżynka ma najwyżej 30 cm. a tam, w dole, kilkadziesiąt metrów niżej, między skałami szumi, burzy się i huczy szafirowy potok. Wody kłębią się, kipią, otaczają srebrnymi łańcuchami pian sterczące z dna czarne, oślizgłe głązy, strzelają w górę fontannami kropel, giną wpadając w ciemne rozpadliny, by znów za chwilę błysnąć szafirową, pociętą łuską światełek powierzchnią między prostopadłymi zboczami gór.

Huk potoku powiększa jeszcze wrażenie przepaści, a w dodatku głązy, po których stąpają nasze muły nie są zbyt pewne, skoro „sefid“ obsunął się przed chwilą tylnymi nogami z kawałkiem ukruszonego skalnego gzymsu.

Zgrzałam się jak mysz! Hassan czarwadar idzie teraz piechotą, pokrzykując wytrwale „Asz! Asz!“

Nie koniec naszych wrażeń!! Skalna szczelina przecięła nam drogę! By ją przebyć minąć trzeba kładkę, nie długą wprawdzie, półtora metra, ale wążutką, chwiejną i ot! zawieszoną nad przepaścią, a oczywiście bez poręczy!

To chyba niepodobieństwo! Mulica opuszcza głowę... uważnie bada mostek... Skrzypią podparte głazami dyle.

Oj!!!... nie! to tylko stoczył się jakiś kamień. Uf! już!!

„Maszallah“ szepce Hassan.

Jeszcze tylko kilkanaście metrów. Kopyta mułów z trudem czepiają się okrągłych głazów, kąt nachylenia jest tak silny, że mocno uchwycić trzeba łęk swego siodła, by nie obsunąć się w tył.

Uf! Nareszcie jesteśmy na szczycie! Przed nami kawałek równej drogi. Srebrna wstęga potoku oddaliła się tak bardzo, że gwałtowny, huczący szum stał się szmerem tylko. Na prawo, na lewo, za nami, przed nami, ogromne, wspaniałe, potężne łańcuchy nagich gór. Brunatne, żółte, pocięte smugami kobaltu i czerwieni,

wznoszą się równe, olbrzymie, a łagodne szczyty, otoczone wieńcami białych chmur i smugami mgieł. Barometr wskazuje 3800 metrów wzniesienia.

Równym, odwiecznym porządkiem kroczy karawana. Majestatycznie kołyszają się zadumane łby zwierząt, czarwadar Hassan rytmicznie wałąc piętami swego osła znów zawodzi przeraźliwą jakąś monotonną pieśń. Jednostajna, a trudna do uchwycenia melodia dziwnie przypomina ponurą powagę gregoriańskich śpiewów.

Zgrzytają pod kopytami splekane głazy, krągłe łby kamieni i ostre osypiska.

Oho! nie długo tego pięknego nastroju! Widzę obryw skalny przed nami, za chwilę zacznie się zjazd!

Istotnie. Nagle załamana, wygięta w niezliczone zakosy i skręty kamienista ścieżka wali się w dół, przypominając raczej gigantyczne schody, a nie jezdnię „doskonałą“ drogę.

Pochylają się nisko łby zwierząt, długie uszy nastawione są z uwagą. Hop! chyba skok z bankiety, nie zwykły krok! Znów kilka metrów po kruchych osypiskach i ogromne rozpadliny, w których nogi mułów znikają po kolana.

Doprawdy najwyższego podziwu godna jest zręczność, rozwaga i umiejętność, z jaką te wytrwałe stworzenia wybierają sobie teren i umieją się na nim utrzymać. Można mieć do nich pełne zaufanie i nareszcie opanować nonsensowną chęć kierowania swoim wierzchowcem.

Tendencja zrozumiała u każdego, kto wiele jeździł konno, staje się często zgubną. Muł szarpany za łańcuch (uzda tu nie istnieje) traci orientację i nieraz z winy jeźdźca obsuwa się w przepaść.

No! dobrze! niech bydlę robi co chce! gotowa jestem uznać jego wyższość w znajomości gór, ale dlaczego z uporem godnym ojca osła idzie zawsze po samym brzegu, po samym kancie ścieżki nad przepaścią?

Nie pomagają nawoływania, uderzenia, lub ukłucia w kark ostrym patyczkiem (sposób zalecany przez naszego „amu“), na najbardziej karkołomnych skrętach „kosz-czeszme“ ostrożnie i starannie tak obraca ciężkim tułowiem, że pół mojej cennej osoby wisi, dosłownie, nad przepaścią!

Trudno! Przymykam oczy, skoro nic więcej dla osobistego bezpieczeństwa uczynić nie mogę! Jeszcze kilka metrów, jeszcze kilka ryzykownych skoków i obsunięć po głazach — uff! Jesteśmy na szerokiej, przynajmniej metr, drodze na dnie doliny.

Ściany gór zbliżyły się tworząc wspaniałą, szeroki i potężny korytarz. Po przeciwnej stronie, wysoko w górze, na gładkim, niedostępnym górskim zboczu czernieją szeregi tajemniczych pieczar. Ich wejścia, resztki śladów kutych w skale ścieżek świadczą wyraźnie, że ongiś, przed wiekami, czy setkami wieków, służyły one ludziom za mieszkanie.

Dziś wydaje się to niemożliwe, dziś deszcze i mrozy wygładziły ściany, czyniąc pieczary prawie niedostępnymi.

mi. Ale dawniej... Miejscowe legendy głoszą, że w VIII wieku, ścigani przez najeźdźców arabskich, chronili się tu Gebrowie.

Jest to zresztą mało prawdopodobne i daleko poważniejsza zdaje się być wersja, iż są to, prawie dotąd niezbadane, jaskinie troglodytów.

Postępujemy rażno. „Amu“ znów rozpoczął swą monotonną pieśń, a muły usiłują pochwycić pyskiem kępki zielonej, przyschłej trawy.

„Boru!! Asz! asz!“ wrzeszczymy wszyscy zgodnie.

Biały osiołek, zwany le petit âne pudique dla swej obojętności względem spotkanych oślic, uczuł nagle przypływ młodzieńczych pożądań. Korzystając z nieuwagi czarwadara zastrzygł uszami i puścił się truchcikiem ku pasącej się nad samym strumieniem damie swego rodu.

Skok był tak nagły, a zbocze tak strome, że Hassan wywalił wielkiego kozła i wylądował na osypisku.

„He! peder such!!“ wrzeszczy zbierając kamienie i cisnąc je z rozmachem w nogi przerażonego osiołka, który z wyraźnym zawstydzeniem, mozolnie wdrapuje się z powrotem na ścieżkę.

Łagodnie schodzi teraz droga zakreślając łuk do widocznego z daleka pięknego kamiennego mostu. To Mune-Pal, jeden z owych 999 mostów Szacha Abbasa. Nierówne stare cegły, drewniane wiązania lśnią jak metal na tle błękitnej wody.

Ostrożnie wchodzą nasze muły na wielkie nierówne kamienie bruku.

„Hub pa! Hejli hub pa!“ powtarza z uznaniem „amu“.

Dawniej, przed wiekami most tak cenną był rzeczą i tak wielkim cieszył się szacunkiem, że jeżeli w potoku mało było wody, karawany musiały przebywać go w bród, by nie niszczyć wartościowej budowli.

Na wąskiej, równej przestrzeni brzegu zazielenił się nagle rząd wysmukłych topoli. To gave-khane Gaz-nek. Otaczają go srebrzyste i wyniosłe pnie, tak charakterystyczne dla wszystkich bez wyjątku górskich wiosek Persji.

Gliniane ściany, płaski słomiany dach na drewnianych słupach, a u podejścia kilka objuczonych mułów.

W ciemnym wnętrzu siedzą w kuczki podróżni i z ciężkiej miedzianej tacy jedzą rękami „pław“.

Zręczne palce szybko zlepiają ryż w małe, kształtne kulki i ostrożnie wkładają go sobie do ust, bacząc pilnie, by nie skrzywdzić ilościowo innych współbiesiadników.

Ten to sposób posilania się podyktował mądrym prorokowi przepis, że do jedzenia używać można tylko ręki prawej, do celów zaś, że tak powiem higienicznych, wyłącznie lewej.

Patrząc jednak na brunatne i mimo nakazów Koranu właściwie nigdy porządnie nie myte dłonie myślę, jakie

to szczęście, że nie jestem w Arabii, gdzie zwyczaj nakazuje dla gościa, lub nawet przygodnego znajomego kręcić kulki z ryżu i wkładać mu je własnoręcznie do ust.

40. W PRZEŁOMIE POTOKU

Hm! stanowczo mój kuferek nie jest przystosowany do podróży karawaną! Że „sefid“ wyróżnął nim o jakąś skałę, to zaraz stracił fason i ma teraz kształt trójkąta.

Widocznie wyroby krajowe nie stoją jeszcze na wysokości podróżniczego zadania! A pakowanie w drodze to rzecz niełatwa: wszystko bowiem, wszystko bez wyjątku musi być na wierzchu: spirytus — oczywiście dezynfektant, jodyna — już dwa razy wywaliłam się na skały i musiałam jej użyć, mydło i ręcznik — niepodobna jeść mając ręce czarne od sierści muła, bułki — cały mój obiad, migdały — jedyna przegryzka w czasie marszu, sweter — wciąż przepadają deszcze, jabłka — zastępują brak wody w drodze, nóż fiński... eeeee! pójdę za przykładem towarzyszy: wrzucić wszystko do kufra, a już dzięki „sefidowi“ przedmioty odpowiednio „uleżą“ się w drodze.

Dziś humor nikomu zbytnio nie służy. Chmury leżą nisko, w nocy dokuczał ziąb (któż mógł przypuszczać, że gdy w Teheranie tchu z upału złapać nie można, a i tutaj w dzień lekka bluzeczka zdaje się być futrem, w nocy ciepła pijama, dwa swetry, wełniane

palto i trzy koce nie wystarczą!), w rezultacie zakrzepli mi kości, ruszajmy na razie piechotą.

Krew żywiej zaczyna krążyć, zza obłoków wyrzało słońce, „barometr usposobienia“ podnosi się znacznie.

Toteż okrzyki Hassana wzywającego do wsiadania na muły nie wprawiają nas, jak zwykle, w irytację.

Istotnie dalej iść niepodobna. Ścieżkę przecina wielki, kaskadami spadający potok. Trochę jeżą mi się włosy z wrażenia, ale ho! ho! mam już przecie wprawę.

Przez spienioną wodę, zanurzone po brzuchy, mozolnie przedzierają się nasze zwierzęta. Nie ma zresztą wyboru, wczorajsza burza zniosła jedyny mostek. Jedziemy w srebrzystych bryzgach, krągłe kamienie obsuwają się spod kopyt, oślepia rozjarzone słońce.

Przed nami znów stroma, najeżona skalnymi obrywami ściana. A nie! pardon! mam dość strachu!! hop!! jestem na ziemi. Zdaje mi się, że łatwość z jaką zeskakuję i wskakuję na dość wysoką „kosz-czeszme“ wzbudza nieklamany podziw Hassana. Pewnie! w porównaniu z okutnymi w fałdźiste czadury Persjankami, które winduje na siodło często dwu ludzi!

Znów przesycona słońcem, roztapiająca się w błękitcie przełęcz, znów karkołomny zjazd, znów stary ostrołuki most i kamieniste dno doliny. I nagle zielona oaza w pustce głazów: Szan-gal-dek.

Zamożne, obszerne domy, puszyste czuby drzew, rozłożyste orzechy, szerokolistne figi. Z otwartych,

upalnych przestrzeni zanurzamy się w szmaragdowy cień jak w rozkoszną chłodną kąpiel.

„Kosz-czaszme“ i „sefid“ i „mach-mal“ oglądają się żałośnie na gliniane stajnie „gus-fan“. Im także nie chce się powracać na rozjarzoną słońcem ścieżynę.

„Salam! Salam!“ witają nas czarne dzieciaki, szeleści sieć małych, nawadniających strumyczków, lekko chwieją się rozłożyste gałęzie, a wysoko w górze wśród sfalowanych zwałów zieleni, bieleje ostry stożek jakiegoś „imamzade“.

Na przeciwległym zbocz doliny odcinają się ostro ruiny fortu Vaneh. Wedle Morgana, znakomitego badacza Persji, dzikie zamczysko, wielokrotnie burzone i odbudowywane, po raz ostatni padło pastwą płomieni w XVI wieku.

Cały szereg śladów prac obronnych widzieć do dziś można w dolinie Ab-Aras. Jest to przecież jedno z nielicznych przejść przez niedostępne łańcuchy Elburcu i strzeżenie go należało do ważnych zadań władców.

Dolina potoku zwęża się gwałtownie. Ścieżka znikła — czyżbyśmy zmylili drogę? Nie! w brunatnej, urwistej skale otwiera się wąska szczelina, gigantyczny korytarz olbrzymów.

Kolosalne ściany wznoszą się kilkadziesiąt i kilkaset metrów w górę, a na dnie ciemnego kanionu błękitny jak szmaragd, poszarpany srebrnymi pazurami pian potok szumi tak, że własnego głosu dosłyszeć niepodobna.

Czarne, mokre łby ogromnych głazów zastępują mu

drogę, więc rzuca się na nie z wściekłością i odparty, przesuwa przez szczeliny, wślizguje pod skały, owija je łańcuchami wirów i znów rozlewa szerzej, by za chwilę spaść kilka metrów wysoką kaskadą w ogromną i huczącą czeluść maleńkiego, krągłego jeziorka.

Górami, wysoko, widać jasne niebo i złote pasma słońca na szczytach, ale tu, w głębi, panuje mrok i pryskają drobne kropelki wody.

Po uczepionej skał ścieżce jedziemy tym nieopisanie pięknym przełomem, gdzie na gładkiej kamiennej ścianie Nasr-Eddin-szach rozkazał wykuć portret swój w towarzystwie ministrów.

Jedziemy wśród coraz nowych, coraz bardziej porywających widoków. Oto z góry, kilkanaście metrów, spada wąska nić siklawy, spinając srebrzystym ścięciem błękit nieba i szafir potoku.

A tam znowu, w ciemnej szczelinie, między rudym brązem głazów jaśnieje szmaragdowy czub jakiegoś krzewu, wokoło którego kwitną wielkie, liliowe kwiaty ostu.

To krótki przebłysk „pogodnego życia“. Czarne ściany prostują się jeszcze więcej, zbliżają jeszcze bardziej, stają się groźne, wrogie, okrutne. Potok nie huczy już, szum jego zmienił się w ryk, w nieustanny grzmot, który spotęgowany echem w wąskiej gardzieli, po prostu — przeraża.

Potęga, wspaniałość i groza gór ciąży nad maleńką jak mrówki karawaną.

I niespodziewanie — koniec. Skały rozwierają się, pędem uciekają na boki tworząc kilkadziesiąt metrów szeroką dolinę, gdzie przywykłe do mroku oczy mrużą się oślepione złotymi kaskadami słońca.

Rozlany szeroko potok ucichł nagle, szemrze tylko po drobnych kamykach przeżuwając resztki wściekłości. Zbliżamy się do kresu dzisiejszego etapu.

41 RAZ JESZCZE MIGAWKOWE ZDJĘCIA

Fatimeh nie żąda zapłaty za nocleg, cieszy ją, że mogła ugościć ferenghi:

„Jeśli mi dasz parę „szachi“ jałmużny, błogosławić cię będę“.

Jesteśmy niezmiernie ujęci. Odchodząc wciskamy jej w rękę 10 rls.

„He!“ woła za nami oburzona Fatimeh „jałmużna nie może być tak mała!“

* *
*

Przed gave-hane dwu czarwadarów pokłóciło się o siano. Zakupuje się tu dla zwierząt rodzaj długich, cienkich powróseł z suchej trawy i rzuca mułom na ziemię. Łajdak „mach-mal“ skorzystał z nieuwagi sąsiada i ściągnął mu wiechetek.

Awantura. Czarwadarzy krzyczą, czyniąc olbrzymie teatralne gesty. Wreszcie Hassan zamierzył się na przeciwnika tak majestatycznym ruchem, że ten — zanim opadła „karząca dłoń“ — zdążył uciec i skryć się w głębi izby.

Typowe dla perskiej kłótni. Czyżby przywykli do takich gestów nosząc ongiś obszerne, wschodnie szaty?

* *

*

Mam ze sobą małą maszynkę, metę i rondelek, często grzeję sobie wodę. Od dwóch dni ciągle się spóźniam, woda dawno kipi. A przecież dobrze pamiętam, że w Pahlewi zagotowanie trwało 10 minut.

Olśnienie. Pahlewi — 26 mtr. (depresja Kaspijska), tutaj + 3000 mtr., woda wrze przy około 80 stopniach. Życiowe doświadczenie fizyczne.

* *

*

Nocleg spędzić mamy w szałasie, na płaskim brzegu potoku. Suche gałęzie wierzb i topoli, suche osty, stanowią dach i ściany.

Brrrrr!... mogą tu być olbrzymie pająki, skorpiony, Bóg wie co! Brrrrr! Jest, owszem, ale coś innego. Zbliża się do mnie miejscowa kobieta. Twarz ma mongolską, turkmeński zawój i odzienie. Na migi pokazuje, że chce mnie o coś spytać. Podchodzę.

Patrzą na mnie żałośnie wąskie, skośne oczy, brunatne ręce pośpiesznie rozwijają ze zwoju brudnych szmat niemowlę.

Aż cofnęłam się z wrażenia.

Nieszczęsne maleństwo jest jedną, straszliwą, ropiejącą raną.

Niewielkiego trzeba doświadczenia, by poznać co to jest. W tym straszliwie zarażonym wenerycznymi chorobami kraju często widzieć można takie objawy.

Pokazuję na migi, że nic pomóc nie umiem i zmuszam moich towarzyszy do natychmiastowego wyruszenia w drogę. Wolę nocować wśród skał, wolę ewentualne skorpiony — brrrrr!!

* *
*

Do mego znajomego doktora zgłosiła się młoda Persjanka z dzieckiem.

Jest przerażona. Dziecko chore, ma jakieś wyrzuty, ona nie wie co to znaczy, rozpacza!

Lekarz bada maleńkiego pacjenta, krzywi się, kiwa głową. Nie ma wątpliwości.

„Niestety, syfilis“ oznajmia po persku.

Krótką chwilą milczenia i twarz matki rozjaśnia się radością.

„Maszallah!“ woła „Maszallah! a ja tak się złąkłam! myślałam, że odra! Maszallah!“

„A to panią nie przeraża?“

„To? to przecież mają wszyscy“ woła radośnie „któż by się przejmował!“

* *
*

Od 8 godzin posuwamy się wzdłuż potoku. Pragnienie pali piekielnie, a tej wody pić nikt z nas nie ma odwagi. Wśród rudych skał ukazuje się źródło — nareszcie!

Ale cierpliwość nasza jest jeszcze wystawiona na dłuższą próbę: źródło ledwie się sączy.

Czarnooki, czarnowłosa, owinięty jakąś obszarpaną szmatą pasterz objaśnia nas, że winni temu są bezbożni ferenghi. Oto od strony Amol ku Ab-giarm dążyła kiedyś karawana. Przystanęła przy źródle i ferenghi włożyli w wodę dla ochłodzenia butelki nieczystych, przez Koran wzbronionych, napojów: wódki, araku.

Oburzyły się „dżiny“ gór i chciały zupełnie zniszczyć źródło, lecz ubłagali je pasterze, i pozostawiły tę małą, srebrzystą niteczkę.

„Dla pasterzy, nie dla ferenghich“ powtarza, patrząc na nas niechętnie.

42. PRZEZ WODOSPADY NA MUŁACH

Od owej greckiej „farasangi“, którą żonierze Xenofonta mierzyli przebyte marsze, pochodzi perska nazwa „farsak“. W założeniu jest to przestrzeń, jaką można przejechać konno w godzinę, dziś jednak „farsak“ równa się „stale“ 6 i pół kilometrom.

W tej chwili mam w kościach cztery „farsaki“, czuję to bardzo dokładnie i rozmyślam, że dobrze było by już dotrzeć do wioski Sziawe-sze, gdzie zatrzymać się mamy na nocleg.

Pozbawione strzemion siodło muła jest kolosalnej grubości, na nim leży wielki, domowej roboty wojłok, po czym dwa koce, wszystko spięte wełnianymi poprzęgami i zapinkami z kostek baranich, a na wierzchu dopiero siedzi „hanum ferenghi“ w pozycji przypominającej bardzo t. zw. japoński szpagat.

Nawet najbardziej wytrawny jeździec, najwytrwalszy gimnastyk, cierpi w tej malowniczej pozie ciężkie męki.

No! nareszcie! widzę szmaragdowe, soczyście zielone pola ryżu, małe gliniane domki i most na dopływie Ab-Aras, który właśnie mamy przebyć.

Cały dzień siąpił deszcz, oślizgłe kamienie omykały się spod kopyt zwierząt, wąskie ścieżki obrywały często czyniąc przejazdy nad przepaściami jeszcze bardziej niebezpiecznymi.

Uff! z radością myślę o szklance wrzącej herbaty, zwłaszcza, że przez cały dzień nie spotkaliśmy źródła i, bezustannie słysząc szum potoku, z którego pić nie można w obawie tyfusu, cierpieliśmy Tantalowe męki pragnienia.

Nasze muły poczynają ostrożnie schodzić w głąb wąskiej dolinki, gdzie spienionymi kaskadami gwałtownie opada w dół potok. Kilka metrów zaledwie dzieli nas od mostu, gdy nagle...

— Ab! Ab! Sejl! — ryczy ogłuszająco „amu“, zeskakując błyskawicznie ze swego osła — boru! boru!

Jedno spojrzenie i wszystka krew zbiega mi do serca!

Z góry, z wąskiej rozpadliny między skałami wali wprost na nas jakaś szumiąca i rozjuszona, obrywająca po drodze głazy i kamienie, szara ściana wody.

Ani sekundy do stracenia! Nie umiem zawrócić muła pozbawionego przecież uzdy! Zeskakuję z rozmachem, potykam się o kamienie, kaleczę o ostre krzaki i pędzę w górę pomagając sobie rękami, z przekrzywionym hełmem, zdyszana, przerażona, dygocąca!!!

A woda pieni się, huczy, skręca i kotłuje tuż za nami! Zdaje mi się, że czuję na plecach jej chłód, że doganiają mnie brudne fale!

Obsuwają się pod nogami spękane osypiska, toczą

okrągłe głązy, jeszcze pięć metrów! — trzy! — dwa!
— Uuuff! stanęliśmy na wysokim cyplu skalnym! Uuff!
serce bije mi tak mocno, że znać to nawet przez ubra-
nie. Nie da się ukryć, iż miałam potężnego stracha!

Nie ja jedna zresztą! „Amu“ aż przysiadł na ziemi
i zdjąwszy swą kolorową myckę, obciera pot z czoła:

— Maszallah — powtarza — Maszallah!

Muły, które wcześniej od nas galopem dostały się
w bezpieczne miejsce, stoją teraz nad brzegiem i nisko
pochyliwszy lby, patrzą z nastawionymi uszami na spie-
nioną, ciężką od błota, brązową wodę.

A przewala się ona i huczy, wypełniając bez reszty
dolinkę. Jej skłębione masy zakryły dawno most, a te-
raz tworzą leje i wiry, po których skaczą i tańczą i pę-
dzą zawrotnie w dół pnie, gałęzie, głązy i masy gęste-
go błota.

Uniknęliśmy nielada niebezpieczeństwa! Widzę, jak
z góry toczy się, znika i znów wydobywa na fale wielki
rosochaty pień. Trzeszczą gałęzie uderzone z furią
o skały, pęka w drzazgi twarde ciemne drzewo. To
właśnie działałoby się z nami — rzeczywiście — „Ma-
szallah“!!

— Tam w górze, wysoko, pod wpływem ulewnego
deszczu musiało obsunąć się zbocze — objaśniają nas
mieszkańcy wioski, którzy zbiegli się wszyscy, nie tyle,
by widzieć rozszalałe wody potoku, ile zabłąkanych tu
„ferenghi“.

A „ferenghi“ są w niewesołym położeniu! Przede

wszystkim nocować trzeba na cyplu między polami ryżu, a błotnistymi brzegami dwóch potoków, to jest w miejscu, gdzie już teraz krążą ciemne chmury moskitów.

Poza tym nie wiadomo, co będzie dalej. Wprawdzie wody jak prędko przybrały, tak równie prędko poczęły opadać i o zmierzchu potok wrócił znowu do swego wąskiego, pełnego kaskad i wodospadów łożyska, ale po obu brzegach, na szerokość kilkunastu metrów pozostały naniesione olbrzymie masy błota, błota, które półtora metrową warstwą pokrywa wszystko, oblepia nawet całą budowę mostu.

Gęste, pełne głazów, kamieni, pni i gałęzi stanowi zaporę nie do przebycia i „czarwadar“ oświadcza, że musimy pozostać tu, aż wyschnie i będzie można przejechać po wierzchu.

— Jak to długo może trwać?

— Inszallah — Seruz.

— Ne! ne! naher! — wrzeszczymy zgodnie, oganiając się rozpaczliwie od rojów moskitów, których pełne są już uszy, nos, usta, nawet oczy.

Na dodatek błotnisty zalew zanieczyścił wodę i wrzątek z samowarku ma kolor jasnej kawy. Jednak bakcykle pod wpływem temperatury „winny były“ zdechnąć, że zaś „wszystko, co nie truje — tuczy“, jak mówił mój znajomy, kucharz z wojskowej kantyny, wypijam ze smakiem kilka szklanek gliniastej herbaty i kładę się spać, licząc, że może ranek poprawi sytuację.

„Amu“ krąży jeszcze koło nas, ostrzegając, że „camping“ za daleko położony jest od wioski, że z dżungli może wyjść „palang“ lub przyfrunąć (?) „argrab“, widząc jednak, że go nikt nie słucha, zaklął jeszcze siarczyście w kierunku mułów i poszedł szukać schronienia w gave-hane.

Mam zdecydowane szczęście do wodospadów! Rok temu „ze zjeżonym włosem“ przejeżdżałam na wąskiej łodzi kolosalne „rapides“ Oulujoki, a dziś... przebywam kaskady — na mule!

Po dwugodzinnych bowiem rannych poszukiwaniach „czarwadar“ znalazł wreszcie „bród w błocie“.

Znakomity przejazd! Zaraz po kilku krokach biały osiołek naszego „amu“ wpadł w muł po szyję, zwalając w lepką maź klnącego na czym świat stoi Hassana.

Teraz jednak droga jest nieco przetarta i „rozrobiona czekolada“ sięga zwierzętom po łopatki, ale pozwala im się jednak posuwać.

Odwiecznym obyczajem drobne karawany łączą się razem dla przebycia trudniejszych przejść, toteż ruszają z nami i dwaj drwale z Mazanderanu i świątobliwy „hadzi“ i chudy, milczący chłop.

Oho! kolej na mnie! W imię Ojca i Syna! Mam potężnego stracha — co tu ukrywać!

— Noooo! boruuu!

Muł nisko opuszcza łeb, zdaje się obwąchiwać drogę — ruszamy!

Zgrzytają kamienie pod płaskimi podkowami, obsuwają się w błocie ruchome głązy.

Jeszcze trzy — dwa — jeden krok — uuff! jestem w łożysku potoku.

— Boru! boru! — wrzeszczy „amu“.

A ładne „uf“! Teraz dopiero zaczyna się przeprawa! Wody pienia się, spadają kaskadami, otaczają wieńcami wirów i fontannami kropel wielkie, czarne, okrągłe i oślizgłe głązy.

To jest właśnie „droga“, którą muszę przejechać! „trudno, trudno, trzeba wytrzymać“, jak mówił nasz faktor w czasie badań podatkowych. Nerwowo zapisnam pasek hełmu pod brodą! Korek jest przecież sprężysty i jeśli wyrznię łbem o skałę, powinien trochę pomóc!

— Boru! — ryczy czaradar — Asz! asz! zachęcąm i ja swego muła, który po raz pierwszy okazuje strach, opuścił łeb i chrapiąc, cofa się lekko.

— Asz! asz!

Ruszamy! Brudna woda chlupie wysoko spod kopyt, jeden metr, dwa, pięć... no! jakoś idzie!

Rzrzrzrzrz! zgrzytają podkowy, gwałtownie obsuwając się po kamieniach. A w porę pochwaliłam drogę! Ledwo się mój muł „pobierał“ z upadku na kolana!

Znów kilka metrów spokojniejszych. No! — jeśli kiedy to teraz! — Przez wał wielkich okrągłych głązów

wali się z szumem kaskada i nie ma żadnej wątpliwości, że tam w dole musi być potężnie głęboko!

Muł myśli widocznie to samo. Zatrzymał się na sterzącym z wody głazie i zebrawszy razem cztery kopyta, w dziwnej „psiej“ pozycji, przestępuje i drepcze na miejscu, chrapiąc i strzygąc uszami.

— Boru! Asz! asz! — wrzeszczymy zgodnie ja i „amu“.

Chlups! trzeba nieźle siedzieć w siodle, by nie stracić równowagi przy takim skoku na twarde a niepewny teren! Woda dochodzi do piersi „sefida“, ale czuję wyraźnie, że trafił on kopytami na twarde grunty.

Co? znowu? Robi mi się gorąco. Prąd jest tak potężny, że widzę toczące się kamienie.

— Jeśli zwałę się z moim „sefidem“ i złamię tylko jedną kostkę, to dzieli mnie dwa dni marszu od najbliższej drogi kołowej — przebiega mi przez myśl.

Rzrzrzrzrz — zgrzytają głazy. Muł opuścił łeb, bada teren, rozważa. Każdy krok jest raczej skokiem i obsunięciem się po oślizgłych skalach. Metr — dwa — dziesięć — trzydzieści — czy nigdy nie skończy się ten piekielny przejazd? Gorąco ze strachu jak w łaźni.

No! nareszcie! potok rozszerza się gwałtownie, zalewając równą, gładką przestrzeń.

— Dzięki Bogu minął...

Nie zdołałam dokończyć. Aż jęknęło, tak nagle zapadł się „sefid“ po piersi, szarpnął, wpadł całym zadem

i zwałił ciężko na bok, topiąc w błocie siodło, koce, popręgi.

Dawno jestem na własnych nogach — nie powiem, żeby zbyt pewnych, bo po pas w błocie i to w błocie pełnych, ostrych kamieni, a wciągającym co raz głębiej.

— Komek kunid hanum! — wrzeszczy rozpaczliwie mój towarzysz, uwięziony na swym również grzęznącym w mule „Machmalu“.

Jeden z chłopców rzuca mi łańcuch swego muła i — nareszcie! — otrząsam się na gęstymi krzewami granatu pokrytym brzegu.

Przeprawa przez wąski potok w Sziawe-sze trwała cztery godziny. Przed nami na stokach zielenią się tajemnicze, ciemne „dżengel“ Mazanderanu. Ruszamy w stronę Kaspijskiego morza.

43. „MÓJ PIERWSZY TYGRYS“

Bujne, ciemno zielone, prawie tropikalne lasy, pokrywają północne zbocza Elburcu. Od Kaspijskiego morza wichry niosą zwały chmur i opady przekraczają tu 1500 mm., to też z niedostępnymi czeluści „dżengel“ zieje wilgotne, nieżnośne gorąco, unoszą się roje moskitów, much i bąków, a w niskich zaroślach kłębią splątane wężowiska.

W tych niezbadanych, dziewiczych lasach żyją leopardy i wspaniałe, olbrzymie tygrysy, „tygrysy Hirkanii“, w które, wedle greckiej legendy, zaprzężony był wóz Dyonizosa.

Gdy nastanie lato i straszliwe, duszne upały przytłoczą nietylko nadmorskie równiny Mazaderanu, ale i niższe zbocza gór, dzikie zwierzęta posuwają się dalej ku szczytom, szukając chłodu i — jak twierdzą wieśniacy — po zachodzie słońca często ujrzeć można na górskiej ścieżce, przemykające płowe cielska.

Nasz „Amu“ jest święcie przekonany, że grozi nam, w razie nie przybycia w porę do wioski, poważne niebezpieczeństwo.

W żaden sposób nie można mu wytłumaczyć, że po

pierwsze, nie łatwo ujrzeć „groźną bestię“, a po drugie, tygrys zwykle nie zaczepia ludzi, zwłaszcza idących gromadą.

W odpowiedzi cytuje on wypadek, znany nam z gazet, a który widocznie szerokim echem odbił się wśród ludności.

Oto w fabryce kreozotu, w pobliżu Szachi, robotnik udał się do odległego o 1 km. lasu. Gdy zajęty był rąbaniem drzewa, podeszła doń z tyłu tygrysica i porwawszy znienacka za plecy, pociągnęła w las.

Człowiek któremu wypadła z ręki nawet siekiera, byłby oczywiście zgubiony bez ratunku, gdyby nie przypadek, że w tej samej chwili pozostawione w gąszczu tygrysięta, poczęły żałośnie wzywać matki.

Tygrysica momentalnie porzuciła człowieka, który porwał się z ziemi i co tchu pognął do fabryki.

Natychmiast urządzono obławę, w której wyniku zabito matkę, a tygrysięta pojmano żywcem.

Oczywiście wystarczy jeden taki wypadek, by na długi czas zaszczepić przeważnie w sercach miejscowych ludzi, to też „czarwadar“ popędza muły jak może, byle tylko zachód nie zaskoczył nas w „dżengel“.

Ale jeżeli kiedy, to dzisiaj, trudno przyśpieszyć marsz karawany.

Dróżka, wijąca się w gorącym cieniu starych, skręconych drzew, jest rozmiękła i oślizgła, zawalona kamieniami, pełna zdradzieckich korzeni. Z konarów zwieszają się festony, i pnące cienkich lian.

Nasze cierpliwe dotąd muły, przyzwyczajone do twardych, skalnych ścieżyn ślizgają się, potykają, obsuwają, a przy tym poprostu szaleją z powodu straszliwych much, bąków i komarów, jakie całymi gronami oblepiają im boki.

Dwie zielone gałęzie granatu nie są w stanie obronić mnie od tych przeraźliwych insektów. Ogarnia człowieka rozpacz i klnie całą wyprawę, upał, Mazanderan, zwierzęta, muchy i w ogóle co tylko istnieje.

Na chwilę ustały nasze cierpienia i droga stała się suchsza, wyjeżdżamy na szeroką równą polankę. Chyba jesteśmy w parku, a nie w dzikiej „dżengel“!

Wielkie krzewy granatu o ciemnych owocach, szerokolistne figi, wyniosłe platany, półtorametrowe kępy paproci, akacje o straszliwych kolcach, a obok nich zwały różowego kwiecica, pokrywającego delikatną pianą, gałęzie jedwabnego drzewa.

Zieleń tłoczy się, dusi, płacze setkami cienkich lian wiążąc wyniosłe pnie w nieprzebyte gąszcze.

Tam w czeluściach „dżengel“ rosną liczne drzewa bukszpanowe, dochodzące 6—7 m. wysokości, a 20 cm. średnicy, bezcenne przez swą twardość. Z nich to robią się „łódeczki“ tkackie na całym świecie.

Tam, w górze, za niedostępnymi ścianami lasu są jeszcze wioski, których mieszkańcy nigdy nie schodzili do miast, nie znają soli ani cukru, i żyją, uznając za bóstwa stare drzewa puszczy.

Nie ma do nich ścieżki jezdnej, dotrzeć można tylko

piechotą i to często posuwając się na czworakach pod splątanymi gałęziami.

Ile jest w tym wszystkim legendy, ile prawdy — trudno dociec. Tak jednak objaśnia nas, jadący w tę samą, co i my stronę na pięknym koniu turkmeńskim, urzędnik „administracji państwowej“.

Brzmi to jednak dość prawdopodobnie. Jak trudno przebyć „dżengel“ świadczy fakt następujący: Anglik z ambasady zagłębił się w nie w czasie polowania. Muł zmuszony mimo oporu do posuwania się gąszczu, stąpił nagle na wężowisko i prawie momentalnie runął porażony jadem. Przestraszony podróżny wycofał się natychmiast na ścieżkę.

Droga nasza prowadzi wciąż w dół. Dotarliśmy już do szerokich, otwartych równin Mazanderanu. Ta bogata prowincja, to klejnot Persji. Produkują tu bawełnę, herbatę, tytoń, cytryny, pomarańcze i granty, jedwab i wielkie ilości ryżu, którego szmaragdowe pola spotykamy co chwila.

Na stojących wśród plantacji pojedynczych drzewach (pozostałych po wypaleniu „dżengel“) zbudowane są drewniane „tarasy“. To strażnice, tu dzień i noc siedzą ludzie, broniąc wrzaskiem i hałasem swe pola przed najściem dzików.

Bo Mazanderan roi się od zwierzyny. Leżąca nad morzem Kaspijskim fabryka przetworów z dziczyzny, płaci za dużego odyńca ok. 9 zł., za mniejszego 3—6 zł.

Przytem po zdjęciu szczeciny, skóry zatapia się w błocie jako odpadki.

Za odpadki też uważa się tu często puch dzikich kaczek, gęsi i łabędzi, od których okresami roją się wybrzeża. Jedną sztukę kupić można za ok. 10—20 gr.

Przez równiny porosłe olbrzymią trawą i odmianami ostrych trzciny (teren uprawia się raz na trzy lata) dojeżdżamy do Amol.

Wróciliśmy do cywilizacji. Dowód: zaczepia nas policja. W czasie gdy moi towarzysze poszli wyjaśnić w urządzie, że mimo „dzikiego i plugawego“ wyglądu, jesteśmy spokojnymi „ferenghi“ zjawia się przede mną ciemny, przejęty i rozgadany człowiek.

Naokoło ogolonej czaszki jeżą się kępy włosów (ten rodzaj uczesania ma jakoby w momencie sądu ostatecznego ułatwić aniołowi Gabryelowi porwanie ciała z grobu) grube usta opowiadają coś z nerwowym przejęciem.

Nic nie rozumiem, zwłaszcza, że papie miejscowym dialektem. Wreszcie pojmuję; że wzywa mnie za sobą w ważnej sprawie.

Idziemy. Wąskie uliczki, wysokie mury i znów ciasne przejścia, podejrzanе podwórko (zaczynam się niepokoić: czego właściwie chce ode mnie?) jakiś ogródek i „typ“ wskazuje ręką niskie drzwi w niewielkim glinianym domku.

Popycham je niepewnie i w tej samej chwili rzucam się w tył tak gwałtownie, że omal nie wywracam potęż-

nego kozła! W ciasnej komórcie, leży olbrzymi, rozciągnięty na ziemi — tygrys.

Zabity oczywiście, ale w niepewnym mroku, jego rozarty pysk, straszliwe, bielejące kły i wyprężone łapy, wyglądały tak groźnie, że dotąd jeszcze nie mogę przyjść do siebie z wrażenia.

Człowiek dowiedziawszy się o przybyciu „ferenghi“ (zdumiewające, jak oni tu od razu wszystko wiedzą!) chciał nam natychmiast sprzedać skórę. Tygrysy bije się tu bowiem tylko zimą, 10—12 rocznie i upolowanie go w czasie letnich upałów jest wielkim, a kłopotliwym wyjątkiem.

Już jest ciemno. Nieodżałowana szkoda, nie mogę bowiem uwiecznić na filmie tej „korony wrażeń Mazanderańskich“. A możnaby potem w Warszawie pokazywać owo zdjęcie, objaśniając skromnie: „fotografia z polowania na tygrysy, w którym brałam udział!“.

44. INSEKTY I AUTOMOBILE

„Où allez — vous?“

Jeden z moich towarzyszy, Europejczyk zwany żartami Nufti-khan, jest wyraźnie zirytowany.

To trudno, nie mogę zawsze meldować gdzie idę.

„No... wychodzę“.

„Właśnie idzie o to dokąd?“

Uf! piękna to rzecz rycerska opieka w obcym kraju, ale wszystko ma swoje granice.

„No... tego... muszę iść“.

„Nie pójdzie pani tam, albo ja pójdę razem!“

„A za nic na świecie! jakto!?“

„Tu nie czas na ceremonie. „Tam“ aż kłębi się robactwo, gady, czy ja wiem zresztą! Może jadowite — diabli nadali!“

Ledwo się wyrwałam.

Ale właściwie rozumiem zdenerwowanie Nufti-khana, nie znamy tych wszystkich insektów Mazanderanu, nie zdajemy sobie sprawy, które są groźne, które nieszkodliwe. A jak przystało na stosunki, bądź co bądź, kolonialne, czuje się on odpowiedzialny za towarzyszącą mu, choćby przygodnie, kobietę.

Ściany naszego „hotelu“ poprostu chodzą. 10 cm. stonogi, jakieś wielkie robaki koloru ludzkiego ciała, olbrzymie, podobne do komarów insekty, maleńkie szczypawki i lichy wie co jeszcze. Krążę przezornie tylko po środku swego pokoju. Łóżko już dawno wyniosłam na balkon, a Katol i starannie założona mustikera, obronią mnie, mam nadzieję, przed robactwem. Brrr! co spojrzę, robi mi się gorąco.

W kwestii mycia też są pewne trudności. Przez szparę w drzwiach słychać przyciszoną perorę. To właściciel ostro strofuje „aszpaza“, za chęć przyniesienia nam wody. Czyż nie wie, że pod cienką podłogą znajdują się składy ryżu? Jeśli ferenghi zaczną chlapać — ryż zamoknie. Obejdą się bez mycia.

Ostre, upalne promienie słońca budzą mnie już o 6-jej. Pech — mój balkon znajduje się od wschodu. Trudno, trzeba wstawać.

Wczoraj nie udało nam się zdobyć auta do Meszedisera, a choćby do Babal, ale dziś, jako, że „święty piątek“, ma być podobno niesłychana ilość okazji.

„Czehel-czehel“ zapewniają zgodnie gospodarz zajazdu i właściciel garażu.

„Czehel“ — właśnie...

Mija... 7-a..., 8-a..., 9-a. Niema ani jednego szofera, ani jednej maszyny.

Zwiedziliśmy już maleńkie miasteczko, wypili śniadanie. Teraz siedzimy na podwórku, pod rachitycznym krzakiem, koło śmietnika.

Rzecz niebywała w tym kraju: nie ma tu nawet ogródka!

10-ta, 11-a.

„Nous mourerons sur le fumier d'Amol“, oświadcza ponuro mój towarzysz.

Ta rezygnacja wzruszyła serca bogów. Z turkotem i szczękiem zajeżdża auto. Pasażerowie zatrzymali się na obiad i — gruby szofer, za fantastyczną cenę 5 tomanów, zgadza się odwiedzić nas tymczasem do Babil.

Gwałt, rwetes. Kufierki, łóżka — ruszamy.

Humory świetne. Wydostaliśmy się z Amol. Dalej już pójdzie łatwiej — jakże! Babil to 40-tysięczne miasto, stolica prowincji Mazanderanu.

Zgrzytnęły hamulce.

Kontrola policyjna. To już druga na przestrzeni 20 km. Kto? skąd? dokąd? na jak długo?

Uff! Nareszcie! Szerokie ulice, porządne domy — Babil.

Pierwsza rzecz, trzeba kazać odczytać mój, tajemniczymi perskimi hieroglifami wypisany, bilet kolejowy. Nie wiem bowiem, czy ważny jest tylko jeden dzień, czy też trzy.

„Dla pewności“ maszerowaliśmy w górach po 11 godzin dziennie i w rezultacie zdążyli na czas, bo nawet w najgorszym razie złapiemy jutro rano pociąg w Szachi.

Muszę przecież koniecznie przejechać świeżo wykoń-

czony odcinek słynnej kolei trans-irańskiej, zobaczyć kolosalne wiadukty, serpentyny, mosty.

A zatem, przede wszystkim, do garażu, gdzie poinformują nas, jaka jest komunikacja samochodowa z Szachi.

Mały, zalany słońcem nieprawdopodobnie rozżarzony domek. Kilku oczekujących pasażerów, dwu szefów, właściciel.

Zbiorowymi siłami odczytują bilet. Ważny do jutra. A dojazd do Szachi?

O! bardzo łatwy, auto można wynająć — trzy tomany. Tylko nie warto jechać.

„Jakto?”

„Od wczoraj pociąg chodzi tylko dwa razy na tydzień: we wtorek i piątek. Dziś jest właśnie piątek”.

Ręce mi opadły. „Oczyrna duszy” ujrzałam mój statek, odpływający z Pahlevi. Znowu nie zdążę — znów czekać trzeba następnego.

A bodaj to wszyscy...!

E! co się będę irytowała!? Jedźmy nad morze, nuż znajdziemy nieco chłodu.

„Auto do Meszediser?”

„Dziś nie ma już żadnej maszyny”.

Więc znów będziemy się smażyli na tych przebrzydłych brukach i asfaltach miasta — tym razem Babel dla odmiany!

„Dlaczegoż tak mało u was samochodów?”

„Bo — oświadcza z pewną dumą, właściciel — po-

licja pozwala krążyć tylko tym, które są w doskonałym stanie“.

To co innego — chapeaux bas! — Zupełnie słusznie.

Właśnie byliśmy w trakcie spożywania obiadu (jak dla mnie: herbata, kakao, melon i arbuż) gdy z krzykiem wpadł chłopak z garażu, oznajmiając, że jest „maszine“, że jechać trzeba zaraz, natychmiast, że szofer nie ma czasu etc.!

Znów gwałt, znów kuferki, koce, łóżka — ruszamy.

Rozlega się ogłuszający szcęk żelastwa. Stukają wentyle, brzęczy karoseria, skrzypi kardan. Rozumiem — maszyna musi być w doskonałym stanie.

Nie ujechaliśmy 500 mtr. — kontrola policyjna. No! to już czwarta dzisiaj — dochodzimy do wprawy. Jest to irytujące, ale trwa, przyznać trzeba, krótko. Już znówu przy akompaniamencie „metalicznych dźwięków“ suniemy z zawrotną szybkością 10 km. na godzinę ku Meszediser.

„Gdyby urwał się tył naszego wozu wraz ze mną — wrzeszczę, usiłując przekrzywić brzęk — zaczekajcie na mnie!“

„Well!“ — ryczy Anglik.

W złą godzinę.

W tej samej chwili maszyna chwieje się — podryguje rozpaczliwie — i opada niezręcznie na bok.

Wyrznęłam głową w drzwiczki, ale zdołałam dojrzeć jak ku haszczom obrzeżającym drogę, pomknęło samodzielnie — koło!!

Ostatecznie głupstwo — nic się nikomu nie stało, a że na piekielnym upale siedzimy już 1¹/₂ godzinki — detal!

Wreszcie uczepliwszy jakoś za pomocą drutów, sztyftów i licho wie czego zbuntowane koło — ruszamy.

Ciekawa jazda. Sama widziałam, że nie zmieniło ono kształtu, a maszyna idzie w takich podrzutach, jakby miało teraz kształt elipsy.

— No, nic! gorzej, że zbliżamy się znów ku Babol. Kontorla policyjna.

Żandarmi patrzą na nas trochę zdumieni — lecz cierpliwie notują potrzebne dane.

Znów ulice, znów plac, znów garaż, znów oczekiwanie.

Nie! Mamy szczęście — właśnie rusza do Meszediser wyładowana maszyna.

Właściciel garażu, czując się winnym naszej sytuacji, bezceremonialnie wyrzuca jednego z pasażerów (co ferenghi, to bądź co bądź ferenghi) i pozostawiwszy na ulicy z jego pakunkami, desperującego Persa — mkniemy znów ku morzu.

Teraz mam za swoje!!

Dla naszego szofera 100 km. na godzinę to „drobiazg!”

A chybcą się podejrzenie koła, „rzuca” widoczny w kierownicy „luz”.

Jedyna nadzieja, że ludzi w czteroosobowej maszynie siedmioro, a ja siedzę we środku i w razie czego powinnam upaść na miękkie.

Hamulec. Kontrola policyjna. Tym razem żandarmi witają nas śmiechem. Ci sami ferenghi, w ciągu godziny czterokrotnie na tym samym posterunku — to już ewenement.

Śmiejcie się pogany! Jak znów co trzaśnie, wrócimy jeszcze raz.

Ale nie trzasło.

45. OH! MADAME! QUEL PAYS!

„Czy tutejsze węże są jadowite?“

„Tchy... wie pani... informuje rodak, oni mówią, że nie, ale zawsze lepiej nie załazić od pyska“.

Dobryś! A skądże mam wiedzieć, z której strony takie giętkie bydle ma pysk! Właśnie dzisiaj leżałam spokojnie i niewinnie na hamaku, między wielkimi bananami, przeglądając francuskie pisma z przed miesiąca, gdy nagle — paf! na gazetę spadł z góry wąż. Nie duży, najwyżej 40—50 cm. dla mnie jednak wystarcza. Skoczyłam jak gazela i od tego czasu nie kładę się na hamaku.

Lecz cóż! wczoraj rano schodziłam z balkonu, na którym sypiam, a razem ze mną schodził wąż, także niewielki, ale jako „towarzysz łoża“ — za nic! A dziś znowu, w głębi ogrodu, między smukłymi łodygami bambusów, przewijał się wielki, półtora metrowy gad. Brrry! stanowczo lepiej nie załazić od pyska!

Uff! jak gorąco! Wielkie liście bananów, smukłe łodygi bambusów, drzewa pomarańczowe i cytrynowe, ozdobione złotymi kulami owoców, stoją w rozżarzonej

powietrzu nieruchome, martwe, zalane złotymi kaskadami słońca.

A wśród róż, wielkich purpurowych kwiatów i gąszczów przesyconych zielonym mrokiem, śpiewają cykady.

Ich delikatny, brzęczący głos, to najcharakterystyczniejszy dźwięk Mazanderamu.

W „dżengel“ uniemożliwiał rozmowę, na szosie głużył chwilami szum motoru, a teraz — o! — tysiące tych radosnych stworzeń zaśmiewa się po prostu z mego rozklejonego upałem niedołęstwa.

„Cyk, cyk, cyk! — cyk, cyk, cyk! — cyk, cyk, cyk!”

Jest zaledwie 38 stopni w cieniu, ale przesycone wilgocią powietrze przygniata, dławi, odbiera siły do tego stopnia, że nie mogę się nawet wybrać na plażę.

Zmobilizujmy jednak resztki woli, bo to jedyny ratunek. Tylko kilka kroków do łódki, przez tę maleńką miejscowość, będącą w pełnej rozbudowie.

Po tamtej stronie rzeki, wpadającej tu właśnie do Kaspijskiego morza, widać szeregi białych, europejskich willi. Meszediser, port rybacki i handlowy, usilnie rozbudowuje się na miejscowość kąpielową. Porządne pensjonaty, wykańczany obecnie wielki, ultra nowoczesny hotel, wznoszą się obok glinianych lepiarek. Typowy w Iranie kontrast.

Tu już troszkę chłodniej. Za jednego riala, czarny chłopak przewozi nas płaską łódeczką o płóciennym daszku, na cypel, gdzie znajdują się nowe porządne

kabinki. Jeszcze kilkanaście metrów po bezdennym piasku... — nareszcie!!

Srebrzyste, wieńczone grzywami pian, fale, biją o łagodne brzegi ciągnącej się kilometrami równej, rozżarzonej plaży. Woda ma około 30 stopni, a z góry leją się potoki słońca.

Nie mogę wytrzymać jego zajadłych promieni i kąpię się w helmie. Przecież jest korkowy i nie powinno mu to zaszkodzić.

Dość pływania! Oszczędzajmy serca w tym klimacie i chodźmy trochę odpocząć na piasku, szarym wprawdzie, ale za to drobnym i miękkim. Tylko pędem na suchy teren! Nie znoszę tych obrzydliwych robaków, rojących się na wilgotnym brzegu i gromadami oblepiających nogi.

No już! tu jesteśmy bezpieczni. Tylko rozłożyć koc, lub lepiej mokre prześcieradło, bo piasek zbyt gorący, przytem uważać trzeba na wielkie szczypawki, których tyle tu łązi. Ich ugryzienie nie jest wprawdzie groźne, ale zawsze boli potężnie.

O! O! jedna idzie po piasku, a druga jest już na kocu. I trzecia! Eeee! chodźmy lepiej do wody. Ten wężyk, którego wczoraj w niej widziałam, musiał być przyniesiony przez potok; węże nie żyją przecież w morzu.

Całe towarzystwo z naszej „Pension Panians“ rozkoszuje się kąpielą. Jest i l'importante madame Sadzi, żona wielkiego dygnitarza, dzięki czemu o względy jej

zabiegają wszyscy. To też obnosi majestatycznie swą studwudziestokilową godność, jada przy stole podwójne porcje i z pożądliwie zmrużonymi oczyma, poleca każdemu jadącemu do Ram-sar, by powtórzył mężowi, iż za wszelką cenę i natychmiast winien ją odwiedzić. Zupełnie jak w Europie.

Mamy dziś piątek, dzięki czemu pławi się w morzu i chudy, a doprawdy imponujący dzielnością rodak i żona francuskiego dyrektora tutejszych fabryk jedwabiu, powtarzająca mi przy każdej okazji ze łzami: „Oh madame! quel pays! des serpents, des scorpions, des tigres! et moi qui menais une vie si tranquille! je n'avais jamais quitté Lyon!“.

Widzę nawet w gromadce mniej lub więcej przesadzonych Ormianek „wesołego hotelarza“. O! ten wart osobnego studium! Bo myślałby kto, że zawód jego jest osiadły, filisterski. A tymczasem pan Duval, że swymi amerykańskimi okularami i zwichrzoną czupryną, spędził pięć lat w Brazylii, rok w Boliwii, dwa lata w Chili; wszędzie zakładając i organizując wielkie hotele z ramienia przeróżnych towarzystw.

I teraz czyni to samo. Ram-sar, Czaluss słynne ultranowoczesne, niedostępnie drogie hotele, gdzie służba nosi podobno korony cesarskie w klapach liberii (przedsiębiorstwa te są własnością prywatną Szacha) to jego dzieło.

Obecnie dozoruje tu budowy owego wspaniałego gmachu, który dziś z nim oglądałam. I teraz także,

wracając do domu monsieur Duval, objaśnia mnie, informuje, opowiada z niezrównaną werwą.

I pyta. O mój sąd, o znajomości, o to co widziałam, co mi kto mówił. Przystanęliśmy na wąskim quai. Odpowiadam wesoło, swobodnie, szczerze.

„Niech pani uważa“ mruczy przez zęby przechodzący rodak.

Prawda! strzeżmy się ludzi zbyt wesołych. Przytem odnośnie pana Duval wspomniano mi już, że nie zawsze zebrane wiadomości zachowuje dla siebie.

Wracam skwaszona do domu, to jest na ów drewniany balkonik, gdzie przez balustradę przechyla się puszta gałąź jedwabnego drzewa i lakierowane liście cytryn.

Zapadła noc i na granatowym niebie mrugają roje gwiazd. Jak zabawnie nisko leży gwiazda polarna! Złote wielkie kule pomarańcz jarzą w niepewnej poświacie, jak latarnie elfów, a pod olbrzymimi liśćmi bananów zbiera się groźny nieprzenikniony mrok. Tam daleko nad rozsrebrzonym pasem Kaspijskiego mruga porozumiewawczo światło sygnałowej latarni.

Z zadumy budzi mnie ogłuszający głos gongu. Dinner! nielada rozkosz! Pierwszy raz, odkąd jestem w Persji, trafiłam w „Pension Panians“ na prawdziwie Europejskie jedzenie. Bez żadnego zapachu! poprostu zapomniałam o istnieniu baranów!

Przyczyną jest prawdopodobnie to, że na wielkich równinach Mazanderanu, pasie się wiele krów i dobre

mleko nie należy tu do takich rarytasów jak we wnętrzu kraju.

Biegnę pędem przez ogród do oszklonej jadalni.

„Cyk, cyk, cyk! — cyk, cyk, cyk!“ zaśmiewają się cykady, tym razem prawdopodobnie z mojego łakomstwa.

46. GODAFEZ SZUMA

Działo się 20 czerwca. W wytapetowanym kolorowymi afiszami biurze „Inturista“ pusto.

„Pragnę wyjechać w połowie lipca. Oto mój paszport, proszę go zbadać, wypisać co należy i postarać się o wizę tranzytową sowiecką. Przychodzę wcześniej, chcąc uniknąć trudności“.

Paszport mój krąży z rąk do rąk, oglądany, badany, sprawdzany. Niezmiernie uprzejmy urzędnik zwraca mi go, twierdząc, iż nie ma żadnych przeszkód — wiza będzie w trzy dni.

„Czy napewno?“

„Gwarantujemy“.

Mija sześć tygodni. Zjawiam się ponownie. Bardzo mi zależy na szybkim wyjeździe. Mam w kraju termin, którego niedotrzymanie naraża mnie na poważne straty.

„Bilety i paszport gotowe będą niezawodnie pojutrze o 12-ej. Wyjechać pani może za dwa dni“.

Znakomicie. Rozpoczyna się gonitwa.

Wiza wyjazdowa Perska, zamawianie auta, pakowanie rzeczy, pożegnalne wizyty, ostatnie sprawunki etc. etc.

Gwałt „zarwańska ulica“ przy temperaturze 45 st. C w cieniu.

Punktualnie o oznaczonym czasie, zjawiam się u Inturista.

Załatwiłam już wszystko. Zamierzam wyjechać jutro.

Uprzejmy urzędnik zbliża się do mnie z niepewną miną.

„Wizy niema“.

„Dlaczego??“

„Konsulat odmówił. Musi porozumieć się z centralą w Moskwie, to potrwa trzy tygodnie“.

„Właśnie trzeba było rozpocząć owe starania miesiąc temu! Byłam przecież u Was!“

„Tak — słusznie. Tylko... ten... niezauważyliśmy, że pani jest dziennikarką, dla dziennikarzy są specjalne obostrzenia“.

Badając mój paszport pół godziny, tego drobiazgu nie zauważyli.

Nie pomogły starania w konsulacie, protekcje, telefony.

Dostałam porażenia ciepłego z irytacji, leżałam dwa dni i pozostałam w Iranie jeszcze trzy tygodnie.

Spędziłam je w wysokich górach. Opłaciło się — ale nie ma jak ułatwienie podróźnicze naszych czasów!

* *

*

„Adieu!“

Zawarczał motor. Między poczwórnymi rzędami drzew szerokiej Avenue Pahlevi, znikły biało ubrane postacie Nufti-khana i nieodłączonego Sejfuli.

Nie oglądam się za siebie. Poco gonić wzrokiem to, co ucieka na zawsze.

Pozostały daleko za nami wspaniałe, rozległe „khia-bane“ i małe wąskie „kucze“, „dorożkę“ obwieszona mosiężnymi ozdobami i stylowe, „przedmiejskiego czajihane“. Policjant w długich do łokcia, białych rękawiczkach pod wielkim parasolem, handlarz orzechów, sprzedawca baranich flaków, Soliman natrętny pośrednik przy kupnie dywanów, makat, srebra, żółte niskie domy, gliniane mury, poetyczne baseny i ogrody pełne melancholijnych babilońskich wierzb. — Cały ten nieznośny, upalny, a tak miły i pociągający Teheran — znikł już na horyzoncie.

Bardzo mi smutno, a tyle razy zmęczona klimatem, trudnościami, odrębnością warunków — wzdychałam do wyjazdu! Wschód ma to do siebie, że ledwo minąwszy granicę własnego kraju, już pragnie się wracać.

Ja jeszcze nie opuściłam Iranu, a żal mi potężnie tych pustych, kamieniami zasypianych, jednostajnych krajobrazów wewnętrznej wyżyny, tych bujnych, tajemniczych, zielonych mrokiem przesyconych „dżengel“ Mazanderanu, tych szmaragdowych pól ryżu w Gilanie, tych groźnych, majestatycznych —i wspa-

niałych gór, i błękitnych meczetów Ispahanu i pysznych ogrodów Szirazu, i nieporównanej doliny Szaristanek i szmaragdu potoków i wizji srebrnego szczytu Demawentu na szafirowym niebie i cudownych wiosek ukrytych w głębi ciasnych kamiennych gardzieli i całej tej Persji, dalekiej, często jednostajnej, często przygniatającej melancholią, irytującej wieloma objawiami swego „europejskiego“ życia, ale zawsze pociągającej, egzotycznej i bliskiej w swej niezwalczonej obcości.

Z prawdziwym smutkiem uprzytamniam sobie, że oto ostatni raz, ze zjeżonym przez strach włosem, pędzę wynajętym samochodem — po krętej górskiej drodze, pomrukując prosząco do szofera „Jawasz!“ „Jawasz“. — Ostatni raz jestem w Reszt, ostatni raz wzywam do pomocy „nazmije“, skarżąc się, że zbyt długo już trwa postój. Ostatni raz pokazuję „dżawasy“ i ostatni raz pod chrzęszczącymi lekko krzewami oleandrów spożywam śniadanie w Pahlevi.

Potem porwał mnie wir wyjazdowych trudności.

Upał, kurz, gwar. Sto kontroli, podpisów, obliczeń, zmęczenie, zdenerwowanie, irytacja.

Wreszcie zastukały pod stopami deski pokładu — ryk syreny — ruszamy.

Pewnie nigdy już w życiu nie zobaczę tych ciemnych twarzy, okrągłych czapeczek, nie usłyszę na wszystkie tony powtarzanego uniwersalnego słówka „Bahle“.

Na lagunie kołyszą się płaskie łódeczki z płóciennym dachem, którymi tylekroć jeździliśmy z Nouftim na pla-

żę w Meszediser, kódeczki, którymi dziś jeszcze przeprowiałam się do bazaru, po turkmeńskie jedwabie.

Ktoś biegnie wzdłuż molo, wołając: „Hanum! Hanum!“. Prawda! I „Hanum“ też słyszę pewnie po raz ostatni w życiu!!

Zawarczała śruba, białe bryzgi wirują u ścian okrętu. Oddalamy się od brzegu...

Już tylko zdala, we mgle, majaczeją jasne budynki Pahlevi, piękny nowoczesny most i smugi piany u znikających brzegów Azji...

„Gadafez szuma!“.

K O N I E C

SPIS RZECZY

	str.
1. Jadę do Persji	5
2. W „Internacjonalnym wagonie“	6
3. Kraj w pełnym rozwoju	13
4. Przez Gilan — najurodzajniejszą prowincję Iranu	22
5. Wioska w oliwnym gaju	30
6. Pierwszy dzień w Teheranie	36
7. Azjowie, Semici, Turkmeni	42
8. Dzień jakich wiele	49
9. Od turbanów i fezów do europejskich ka- peluszy	54
10. Woda z rynsztoka i sal-lek	61
11. Fotografie na $\frac{1}{50}$ część sekundy	67
12. Odsłonięcie kobiety	88
13. Bez czaduru	92
14. Nowe prawo małżeńskie i „Sighe“	99
15. Tron pawia i najpiękniejsze dywany świata	104
16. Nocą przez pustynię	108
17. Ispahan — miasto błękitnych meczetów	114
18. Gigantyczne zmiany Szacha-Abbasa	123
19. Kilkuletni rzemieślnicy-artyści	128
20. Meczet dygocących wież	133
21. Chrześcijańskie miasteczko w morzu Isla- mu	139
22. Sztuka i ornamenty	147

23.	My i oni	154
24.	Pierwsza fajka opium	157
25.	Kolacja na puszystym dywanie	166
26.	Sziraz i cudotwórcza studnia Saadięgo	175
27.	Allah odwrócił się od Nomandów	181
28.	Felieton ryzykowny	186
29.	I znów $\frac{1}{50}$ część sekundy	193
30.	Persepolis	201
31.	Europejczycy	206
32.	One i oni	214
33.	Błękitna dolina szaristanek	218
34.	Starożytna droga Szacha-Abbasa	227
35.	999 Karawanseraji i 999 mostów	235
36.	Wieczór u stóp Demawentu	240
37.	Przez wąwozy Elburcu	246
38.	Ask	252
39.	„Znakomita“ droga	258
40.	W przełomie potoku	266
41.	Raz jeszcze migawkowe zdjęcia	271
42.	Przez wodospady na mułach	275
43.	„Mój pierwszy tygrys“	283
44.	Insekty i automobile	289
45.	Oh! madame! quel pays!	296
46.	Godafez szuma	302